

Katarzyna Duda
Wałbrzych, czyli witajcie w piekle

Krzysztof Mroziwicz
Kto rządzi, ten błądzi

Donald Trump
– mistrz matactwa

Mozzarella
w rękach mafii



ZACHCIANKA PRAWIE ZA MILIARD

Zamach na
Grób Nieznanego
Żołnierza





Akademia Humanistyczna

im. Aleksandra Gieysztora



Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo
Narodowe

seminaria doktorskie
w dyscyplinie historii i nauk o polityce

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

INFORMACJE I ZAPISY

Dziekanaty właściwych Wydziałów
ul. Mickiewicza 36B, Pułtusk

www.ah.edu.pl

CYTATY

PROF. TADEUSZ BARTOŚ,
filozof

Kościół katolicki w Polsce jest dziś najbardziej zdemoralizowaną i demoralizującą grupą społeczną.

„Fakty i Mity”

PAWEŁ WOJTUNIK,
były szef CBA

Wiele osób nie śpi spokojnie, bo nie wie, co i w jakiej kolejności zostanie ujawnione przez Falentę.

„Polska The Times”

ANDRZEJ GRABOWSKI,
aktor

Bez pracy nie wytrzymuję. Nie dlatego, że muszę zarobić, tylko dlatego, że muszę pracować.

„Viva!”

MARYLA RODOWICZ,
piosenkarka

Nie lubię odnosić sukcesów bez walki. To jest bardzo podniecające.

„Angora”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Koszmarny rok szkolny

Dzieci wyślemy na przyspieszone wakacje i niech rodzice się martwią, co z nimi zrobić. Nowy minister edukacji nie miał żadnego pomysłu, by jakoś wypełnić lukę w nauczaniu po strajku nauczycieli. Nie zrobił więc nic. Podobnie jak ministerstwo umęczone chaosem produkowanym w nadmiarze przez eksministra Zalewską. Teraz władza odechnie, mając ponad 5 mln uczniów i nauczycieli na wakacjach. A jeśli coś mąci spokój ministra, to obawy o to, co będzie 1 września. Czy czeka nas druga tura strajkowa?

Szkoła zawsze była barometrem tego, co się dzieje w społeczeństwie. A że teraz jest wyjątkowe nagromadzenie emocji, to uczniowie siłą rzeczy są wciągani w wojny dorosłych. Gołym okiem widać spadek prestiżu nauczycieli. Nie pamiętam takiego etapu w najnowszej historii, by na nauczycieli, w tym przypadku na tę większość, która strajkowała, ze strony władzy politycznej i ministerstwa edukacji spadło tyle epitetów, kłamstw i zarzutów deprecjonujących ten zawód. Skutki tej krótkowzrocznej i bardzo brutalnej wojny widać w szkołach. I w relacjach szkoła-rodzice-uczniowie. Nigdy nie było tylu agresywnych zachowań wobec nauczycieli ze strony rodziców. I ze strony samych uczniów. Ublizanie nauczycielom staje się w polskich szkołach normą. Podobnie jak roszczeniowe zachowanie rodziców.

Co z odpowiedzialnością za wychowanie dzieci? Można powiedzieć, że mamy impas. Szkoła przytłoczona obowiązkami biurokratycznymi i antyreformą Anny Zalewskiej walczy o przetrwanie, a nie o wychowanie dzieci. Efekty czterech lat rządów Zalewskiej są opłakane. W oświacie nikt nie jest zadowolony z przeprowadzonych zmian. Niczego nie poprawiają, a wiele z tych obszarów, które jako tako funkcjonowały, zepsuto. PiS tradycyjnie winę za oświatowy armagedon zwała na kogoś innego. Teraz wali w samorządy i nauczycieli.

Obrzydzenie człowieka ogarnia, gdy słucha tych bredziastawów, którym rozdano ten sam tekst do wygłoszenia w różnych mediach. I zdyscyplinowana armia klepie te same komunały, ujadając na tego, kogo wskazała centrala. Piszę o tych ludziach bez szacunku, bo oni mają zerowy szacunek do wyborców. Traktują ich dosłownie jak ciemną masę, która kupi każdą brednię. Byle była wystarczająco często powtarzana.

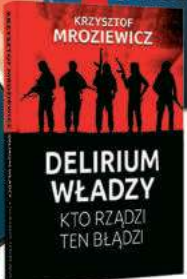
Rok szkolny skończył się marnie. Szkoła, nauczyciele i uczniowie mają jeszcze więcej problemów. Żadnego nie rozwiązano. A doszły tak fundamentalne spory, że szykuje się gorąca jesień.

BAKOWSKI

 www.tygodnikprzeglad.pl

**OBEJRZYJ RELACJE
Z PROMOCJI NASZYCH
NAJNOWSZYCH
KSIĄŻEK!**





W NUMERZE

KRAJ

- 8 Zamach na Grób Nieznanego Żołnierza**
Odbudowa pałacu Saskiego
to dewastacja miejsca pamięci
- 10 Pałac buty, plac dominacji**
Historia zatoczyła koło
- 16 Gdy stracili pracę,
skończyło się wszystko**
– rozmowa z Katarzyną Dudą
- 20 Druga szansa na dorosłość**
Młodzi, ale już bezdomni
- 24 Kto rządzi, ten błądzi?**
– rozmowa z Krzysztofem Mroziewiczem
- 50 Jak kamień w wodę**
Gdzie jest ciało 23-latk?
- 52 Ten pierwszy mejl**
Początki polskiego internetu

ZAGRANICA

- 28 Prezydent na zakupach**
Duda usłużny wobec Trumpa
- 30 Chaszkudzi**
Trump kłamał w sprawie dziennikarza
- 34 Mozzarella w rękach mafii**
Korespondencja z Rzymu
- 38 Plan na starość**
Zarobić na seniorach

KULTURA

- 40 Kino nie jest młotem na rzeczywistość**
– rozmowa z Januszem Kijowskim
- 44 Teatr w Opolu: wiele hałasu o nic?**
Pracownicy kontra dyrektor
- 48 Culturalia**
- 66 Nowe wystawy w Muzeum Karykatury**

ZDROWIE

- 54 Polipigułki skuteczniej
obniżają ciśnienie**
Jak zdyscyplinować pacjenta

EKOLOGIA

- 56 Jerzyk – śmigając pod obłokami**
Łowca owadów w wielkim mieście

OBSERWACJE

- 58 Szuter i wełniana czapka**
Piłka nożna na Wyspach Owczych

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Koszmarne rok szkolny
- 14 Bronisław Łagowski**
Handel bronią
- 19 Jan Widacki**
Co zrobiono z prawem karnym
- 27 Roman Kurkiewicz**
Zapomnijmy o pamięci
- 37 Tomasz Jastrun**
Z podróży
- 43 Ludwik Stomma**
Zagłada
- 47 Edward Mikołajczyk**
Koniec monopolu „Wiadomości”



16
KRAJ

GDY STRACILI PRACĘ, SKOŃCZYŁO SIĘ WSZYSTKO

– rozmowa z Katarzyną Dudą



34
ZAGRANICA

MOZZARELLA W RĘKACH MAFII

Korespondencja
z Rzymu



JERZYK – ŚMIGAJĄC POD OBŁOKAMI

Łowca owadów w wielkim mieście

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER/EAST NEWS,
MARCIN SMULCZYŃSKI/EAST NEWS



Amerykanie toną
w studenckich długach

**PROF. WIESŁAW
ŁUKASZEWSKI,**
psycholog
Co to znaczy być sobą

JOANNA PAJKOWSKA,
żeglarka
Na środku oceanu mogą spać
spokojnie

✉ Czy Polsce potrzebne są bazy armii USA?

Amerykanom zależy przede wszystkim na naszych poligonach, największych w Europie. Pamiętam zachwyty nimi, gdy wstępowaliśmy do NATO. Zaraz potem pod wpływem Amerykanów zmieniono zasady ich użytkowania, co dawało wówczas (o ile dobrze pamiętam) obniżkę kosztów o 1,5 mln dol.

Jednostki USA są rozlokowane właśnie obok poligonów, a nasze jednostki przeniesiono w inne, mniej atrakcyjne miejsca. Dlatego przyjęto zasadę rotacyjnej obecności – ćwiczą jedni, a potem drudzy.

Tysiąc nowych żołnierzy będzie obsługiwało poligony, które podarowano Amerykanom „za frajer”, dokładając jeszcze 2 mld zł na ich utrzymanie.

Pamiętam wojnę Gruzji z Rosją. Na terenie Gruzji stacjonował batalion amerykański (wg gen. Packa), byli tam również izraelscy instruktorzy. Rosjanie po zatrzymaniu ataku Gruzinów (Gruzja zaczęła wojnę) bombardowali terytorium Gruzji



przez kilka tygodni, a USA zamiast włączyć się w konflikt, poprzestały na dyplomatycznym bla, bla. Takie są realia, których nie rozumieją nasi politycy.

Ryszard Kamiński

Bazy nie zwiększają bezpieczeństwa Polski. Denerwują Rosję i fałsią umowy zawarte wiele lat temu. Dla Polski może to źle się skończyć. Trump jest daleko i rozgrywa swoją potyczkę naszym kosztem.

Bożena Miernik

USA organizują bazy na terenach, z których planują uderzenie na Federację Rosyjską. Tereny te w momencie agresji na Rosję staną się polem bitwy. W ten sposób US Army nie tylko nie zwiększa bezpieczeństwa Polski, ale przeciwnie, naraża nasze terytorium na uderzenia odwetowe.

Bartosz Bieszczad

✉ Bierzcie przykład z PKS Ostrowiec Świętokrzyski

Przeczytałem artykuł o upadaniu kolejnych PKS-ów. Tymczasem PKS Ostrowiec Świętokrzyski nadal funkcjonuje i od wielu lat przewozi ludzi zarówno między miasteczkami i wioskami, jak i na duże odległości. Ostrowczanin ma możliwość dotarcia autobusem PKS do Warszawy, Łodzi, Wrocławia, Krakowa, Lublina, Kołobrzegu, Lwowa, Opola, Rzeszowa, Rymonowa-Zdroju, Międzyzdrojów, Przemyśla, Zakopanego. Ten PKS, kierowany teraz przez dyr. Wodyńskiego, to firma z misją.

Podam przykład: po świętach trudno wyjechać z wielu miejscowości. Ale nie z Ostrowca! W zeszłym roku po Wszystkich Świętych bilety na kurs o godz. 12.30 do Warszawy sprzedawano w kasach do ostatniego chętnego – na dwa, trzy autobusy, a byli jeszcze rezerwowi kierowcy i zdarzało się, że na jedną godzinę podstawiano siedem autobusów do Warszawy. Do Krakowa jeden normalny i dwa dodatkowe. I tak jest w związku ze wszystkimi dniami wolnymi.

Andrzej Nowak



ZDJĘCIE TYGODNIA

Jedynie ujęcie wody
pitnej dla 40 rodzin
we wsi Nawargawa
w środkowych Indiach.





PYTANIE TYGODNIA

Co warto przeczytać w trakcie wakacji?

PROF. LUDWIK STOMMA,
antropolog kultury

Zależy, po co się czyta. Żeby poobcować ze świetną i nietrudną literaturą – Hrabala i Cendrarsa, przede wszystkim „Gwiezdną Wieżę Eiffla”. Z Polaków Marcina Wicher. Żeby oprzytomnieć – książki Łagowskiego i Walickiego o Rosji, a także Pawła Petryki „Polska Ludowa – prawdy niechciane”. Żeby wiedzieć, z kim mamy do czynienia – Tomasza Piątko o Macierewiczu i Morawieckim. Z historii – „Saladyna”, świetną monografię pióra Geoffreya Hindleya. Zawsze i wszędzie nowele Babla.

WIESŁAW UCHAŃSKI,
Wydawnictwo Iskry

Niezwykle ciekawa jest książka prof. Walickiego „O Rosji inaczej”. Pozycja wybitna, nietatwa, ale w dzisiejszych czasach bardzo ważna. Dodam do tego właśnie wydaną przez Iskry „Wojnę według Karskiego” Tomasza Łubieńskiego – esej o roli Polski, w którym Karski jest pretekstem do rozważań historyzoficznych.

TOMASZ JASTRUN,
poeta, prozaik

Koniecznik trzeba przeczytać Macieja Zarembę Bielawskiego „Dom z dwiema

wieżami”. Autobiograficzny reportaż, losy rodziców autora, dramat wyjazdu z Polski w 1968 r. Mądra, głęboka książka, rodzinne śledztwo, ale też opowieść o Polsce dawnej i obecnej. Znakomite są dzienniki wybitnego węgierskiego prozaika Sándora Márai. Teraz ukazał się tom czwarty, przedostatni. Najbardziej jednak polecam tom pierwszy, dziennik z czasów wojny.

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO,
poetka, krytyczka literacka, pisarka

W wakacje najlepiej czytać wiersze, ponieważ zawsze warto je czytać, ale w wakacje szczególnie. Jeśli wiersz traktować jako kumulację ludzkiej wrażliwości i inteligencji, to od razu wiadomo, że wyjazdy, zmiany miejsca i perspektywy, będą sprzyjać lekturze. „Błękitna wieża” – tom wierszy słoweńskiego poety Tomaža Šalamuna w przekładzie Miłosza Biedrzyckiego i Rafała Wawrzyńczyka zabierze Państwa w podróż znacznie dalsze i ciekawsze niż jakiś, pozał się Boże, autobus.

JACEK MARCINIAK,
Studio EMKA

Z książek wydanych przez nas dobra na lato jest „Zwycięska Formuła. Przywództwo, strategia, motywacja jak

w Formule 1” Davida Coultharda. Autor, w latach 90. kultowy kierowca, jako konsultant i biznesmen wykorzystuje to, czego nauczył się na torze. To fascynująca opowieść o interesach przy okazji ciekawej dyscypliny sportowej. Polecam także interesujący i dowcipny „Marketing Drakuli”, napisany przez trzech rosyjskich marketologów. To z jednej strony poradnik, jak wykozystać ludzkie lęki w sprzedaży towarów, a z drugiej – ostrzeżenie dla klientów, by nie poddawali się bezkrytycznie reklamie.

EDWARD MIKOŁAJCZYK,
komentator

Świetną lekturą jest „Amerykańska księżna” Virgillii Sapiehy, opublikowana w 1940 r., ale dopiero teraz przetłumaczona na polski. To zapiski o wielkich walorach literackich. Autorką jest kobieta z amerykańskiego inteligentnego domu, która po ślubie z Pawłem Sapiehą przyjechała do ziemianńskiego majątku w powiecie lwowskim, by nim zarządzać, o czym nie miała przecież zielonego pojęcia. Nieoczekiwanie świeży język, poza tym ciekawie zobaczyć, co myślała o nas kobieta z zupełnie innego świata. Choć czasem można się zdenerwować.

Not. Michał Sobczyk

Zamach na Grób Nieznanego Żołnierza

Odbudowa pałacu Saskiego, którą zapowiada Andrzej Duda, będzie dewastacją tego miejsca i narodowej pamięci

Jarosław Górski

„Stajemy dziś w tym miejscu świętym dla Warszawy i Polski, by upamiętnić...” – tak często zaczynają się przemówienia polityków, również z obecnego obozu rządzącego, podczas uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Obecny wygląd tego obiektu – za konserwowana ruina, pozostałość po wysadzanej przez Niemców kolumnadzie pałacu Saskiego – przywodzi wspomnienie ostatniej wojny i zagłady stolicy. Ma potężną symboliczną, emocjonalną wymowę. Niestety, jest już w zasadzie pewne, że ów symbol zostanie zdewastowany.

11 listopada ub.r., podczas uroczystości na placu Piłsudskiego w Warszawie upamiętniających setną rocznicę odzyskania przez nasz kraj

wiającą to specustawę. Prace mają się zakończyć w 2023 r.

Rozpaczliwe poszukiwanie celu

Deklaracja prezydenta zdaje się przybliżać rekonstrukcję budowli, jednak w żaden sposób nie odpowiada na pytanie, dlaczego odbudowa, czy raczej budowa na nowo, tego akurat obiektu miałyby być znakiem tej Polski, która wzrasta. Czy rzeczywiście każdy będzie mógł pałac Saski zobaczyć od wewnątrz? I po co? Z jakich powodów w ogóle odbudowywać pałac? Wydaje się, że do odbudowy dojdzie na mocy kolejnej arbitralnej decyzji władz państwowych, bez społecznych i środowiskowych konsultacji.

Stowarzyszenie Saski 2018, które od 2012 r. lobbuje na rzecz odbudowy, szacuje niezbędne środki na

której przewodzi, mówił pod koniec zeszłego roku o już „załatwionych” środkach z budżetu państwa i wymienił zakres kwot „od 500 mln do 1 mld zł, ale bliżej tych 500 mln”. Władze miasta twierdzą, że koszt byłby jednak bliższy 1 mld zł. Z kolei wiceminister kultury Magdalena Gawin mówi, że koszty odbudowy nie przekroczą 300 mln zł. Na podstawie tak rozbieżnych szacunków trudno wyliczyć możliwe korzyści i straty, które przyniesie budowla.

Tym bardziej że nie wiadomo, czemu pałac ma służyć. Marszałek Karczewski mówił też, że mają tu się znaleźć przestrzenie wystawowe prezentujące m.in. dzieje polskiego parlamentaryzmu: „Mogłyby być tam prezentowane odzyskane dzieła sztuki, zrabowane podczas II wojny światowej, czy sylwetki ojców niepodległości i wybitnych Polaków”.



Makieta Pałacu Saskiego.

niepodległości prezydent Andrzej Duda solennie zadeklarował wolę odbudowy pałacu Saskiego. „Chciałbym – powiedział – żeby pałac z powrotem stanął, chciałbym, żeby był widowym znakiem tej Polski, która wzrasta. Chciałbym, żeby był to budynek publiczny, który będzie mógł zobaczyć także od wewnątrz każdy z moich rodaków i w którym będzie mógł także załatwić różne swoje sprawy”.

Dziś wiadomo, że prace przy odbudowie ruszą wkrótce, kiedy tylko zdominowany przez PiS Sejm uchwali już przygotowaną umożli-

210-275 mln zł netto, co jednak wydaje się bardzo optymistyczną wizją, niezawierającą m.in. kosztów budowy i rozbudowy koniecznej infrastruktury miejskiej, modernizacji ulic będących drogami dojazdowymi, budowy podziemnych parkingów. Stowarzyszenie na swojej stronie internetowej domaga się wyasygnowania tych kwot z budżetu miasta. Jednak prezydent stolicy Rafał Trzaskowski jest przeciwny wydawaniu na ten cel pieniędzy z miejskiej kasy.

Marszałek Senatu Stanisław Karczewski, który chciałby przenieść do odbudowanego pałacu instytucję,

Szukanie przeznaczenia pomieszczeń senackiej części pałacu, stanowczo zbyt obszernej na potrzeby samej izby wyższej, odbywa się chyba nieco na siłę. Odzyskane dzieła sztuki mogą i powinny być ekspozowane w miejscach, z których je zrabowano, lub w już istniejących muzeach. Czy mamy pałacą potrzebę utworzenia kolejnego miejsca, w którym będą prezentowane sylwetki wybitnych Polaków, to także kwestia dyskusyjna. W Warszawie mówi się również o tym, że w pałacu powstanie muzeum Lecha Kaczyńskiego i że z tego właśnie wy-



Podczas prac archeologicznych w latach 2006-2008 odsłonięto fundamenty pałacu Saskiego.

nika determinacja strony rządowej w forsowaniu rekonstrukcji budowli.

Na przeznaczenie północnej części zostanie dopiero rozpisany konkurs, co również oznacza, że w tej chwili nikt nie ma na nie konkretnego pomysłu. Po spotkaniu marszałka Karczewskiego z prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim 27 lutego br., kiedy powołano wspólny rządowo-miejski zespół do spraw odbudowy, przedstawiciele ratusza mówili, że jeśli mają się zgodzić na rekonstrukcję, to chcieliby, aby pałac był przestrzenią ogólnodostępną, z której będą mogli korzystać mieszkańcy stolicy. Jednak to też jest stwierdzeniem enigmatycznym i może oznaczać wszystko, łącznie z tym, że urządzi się tutaj kolejną luksusową galerię handlową.

Z biurowca biurowiec

Nie bardzo wiadomo, jakie względy symboliczne czy sentymentalne przemawiają za podjęciem tak ogromnej i tak bardzo zmieniającej charakter tej części miasta inwestycji. „Pałac Saski to wielka wartość, to wspaniały budynek, który był w centrum Polski, centrum Warszawy”, mówił marszałek Karczewski. Nie wyjaśnił jednak, na czym polega ta

wartość i dlaczego uważa budowlę za wspaniałą. Pałac Saski – inaczej niż jego ogród i plac powstały z jego dziedzina – nie obrósł jakąś cenną legendą, nie jest obecny – jak plac i ogród – w literaturze, sztuce czy choćby piosence. Nie rozgrywały się w nim wydarzenia ważne dla naszej historii. Przez większość swojego istnienia był symbolem obcej dominacji. Jeszcze w XVIII w. stał się

Do odbudowy pałacu dojdzie na mocy kolejnej arbitralnej decyzji władz państwowych, bez społecznych i środowiskowych konsultacji.

niszczącym obiektem z pokojami i magazynami na wynajem, po przebudowie w 1842 r. był w nim biurowiec wykorzystywany przez kolejne wojska: zaborcze carskie, okupacyjne kajzerowskie, Sztab Generalny Wojska Polskiego i na końcu przez hitlerowski Wehrmacht. Z racji takiego przeznaczenia nie było w nim ani ciekawych wnętrz, które warto by pieczołowicie rekonstruować, ani wyposażenia, po którego utracie ktoś chciałby uronić łzę. W przeciwieństwie do sąsiedniego pałacu Brühla, który ma być zrekonstruowany w drugiej kolejności, był po prostu brzydki, nieforemny.

Odbudowany pałac z przyległościami będzie zapewne wydusz-

ką, podobną do pałacu Jabłonowskich na pobliskim placu Teatralnym. Kolejnym warszawskim biurowcem z podziemnym parkingiem, zaduszonymi, oszklonymi dziedzińcami i nowoczesnymi wnętrzami przykrojonymi do potrzeb pracy urzędniczej, tylko z fasadą imitującą dawną architekturę. Wątpliwe, czy w ogóle udałoby się odtworzyć wnętrza według odnalezionych planów z lat 20.

XX w., a jeśli tak, czy dałoby się je dostosować do potrzeb współczesnych użytkowników, osób z niepełnosprawnościami, jak i gdzie zamontować windy, urządzić wymaganą liczbę toalet, doprowadzić instalacje wodne, kanalizacyjne, elektryczne, telekomunikacyjne, przeciwpożarowe itp., a więc wszystko to, czego w oryginalnej budowli nie było albo było w dużo mniejszej skali.

Istnienie Grobu Nieznanego Żołnierza absolutnie wyklucza odbudowę pałacu w jego korzystniejszej, saskiej odsłonie z pierwszej połowy XVIII w. Nie będzie można już odbudować środkowego korpusu, zburzonego w 1839 r. Restauracja paskiewiczowskiej kolumnady wymusi

► odbudowę skrzydeł w tym samym, ciężkim, nieładnym, petersburskim stylu. Niesymetryczne i przysadziste skrzydła pozbawionego korpusu pałacu nie dadzą urody ani placowi Piłsudskiego, ani ulicom Wierzbowej i Królewskiej. Więcej walorów estetycznych miał przylegający do placu Saskiego pałac Brühla, który także ma zostać odbudowany. I również nie wiadomo, jakim kosztem i z jakim przeznaczeniem. Zapewne będą w nim biura i wysokie urzędy, można więc się spodziewać kompletnego zakorkowania lub wyłączenia z ruchu przylegających do placu Piłsudskiego wąskich ulic. Senatorów i urzędników wysokiego szczebla trudno

W dodatku całkowicie zdemoluje jego symboliczny przekaz. Grób Nieznanego Żołnierza jest dziś trwałą ruiną, jedynym miejscem w stolicy, które ma taki status. Nie wiemy, dlaczego trzy arkady, pod którymi się znajdował, ocalały. Czy był to niezwykle zbieg okoliczności, czy „cudowne ocalenie”, a może celowe działanie niemieckiego sapera, w którym odezwała się resztką przyzwoitości i solidarności dla polskiego żołnierza?

Przetrwanie wśród ruin właśnie Grobu Nieznanego Żołnierza nadaje mu szczególne znaczenie, mocniejsze, niż miał on przed wojną. Niektórzy porównują warszawskie

Pałac Saski odbudowany wraz z kolumnadą całkowicie zdemoluje symboliczny ładunek Grobu Nieznanego Żołnierza.

będzie namówić do dojeżdżania tu nie limuzynami, ale metrem czy tramwajem.

Dewastacja symbolu

Przeciwnicy odbudowy zauważają, że nie wiadomo, jak umieszczenie w pałacu Senatu i urzędów wpłynęłoby na status placu Piłsudskiego. Czy byłaby to wciąż ogólnodostępna przestrzeń, czy ze względów bezpieczeństwa zostałby on zamknięty? Czy publiczność miałaby wciąż dostęp do Grobu Nieznanego Żołnierza od strony placu, czy tak jak dziś każdy mógłby złożyć kwiaty na płycie i przeczytać napisy na tablicach?

Wśród wszystkich wątpliwości jedna rzecz jest pewna: pałac Saski odbudowany wraz z kolumnadą zdemoluje Grób Nieznanego Żołnierza.

Jarosław Górski

Jarosław Górski

Pałac Saski, a także plac utworzony z jego dziedzińca, to miejsce, w którym jak w soczewce skupiła się historia naszego kraju. Miejsce, które kolejni władcy – swoi i obcy – czynili symbolem dominacji, panowania nad Polakami i ich stolicą.

Pomnik potęgi Wettynów

Pierwszy był August II. Jako elektor saski Fryderyk August Wettyn w 1697 r. został wybrany na króla w budzącej wiele wątpliwości elekcji (jego rywal, książę Franciszek Burbon-Conti, zdobył prawdopodobnie więcej głosów), jednak w roku 1706, kiedy szala zwycięstwa w wojnie północnej przechyliła się na stronę Szwedów, rzekł się korony na rzecz ich stronnika Stanisława Leszczyńskiego. Trzy lata później, kiedy Rosjanie zadali Szwedom klęskę pod Połtawą, August wrócił do zrujnowanej wojną północną i wciąż gnębionej wojną domową, rokoszami szlacheckimi i buntami chłopskimi Rzeczypospolitej. Wiedział, że w kraju, w którym ma wśród magnaterii i szlachty tyłuż oddanych zwolenników, co zajadłych przeciwników, musi umacniać swoją władzę nie tylko na drodze militarnej i politycznej, ale także symbolicznej. Dlatego postanowił stworzyć okazałą rezydencję prywatną, która pozwoliłaby zademonstrować potęgę i bogactwo rodu Wettynów.

W 1713 r. August zakupił od rodu Morsztynów bardzo ładny, zaprojektowany przez Giovanniego Battistę Gisleniego barokowy pałac po zachodniej stronie Krakowskiego Przedmieścia i w pewnym oddaleniu od tej ulicy. Pałac był zbyt niepozorny jak na potrzeby króla, dlatego jego intendenci zakupili kilkanaście sąsiednich dworów i nieruchomości, które wyburzono, aby zrobić miejsce na boczne skrzydła, oficyny i budynki gospodarcze oraz ogromny dziedzińiec. Z tyłu pałacu zaplanowano kilkunastohektarowy ogród w stylu francuskim. Zasadnicza rozbudowa, pod kierunkiem saksońskich architektów, zakończyła się w roku 1724, choć prace przy budynkach i ogrodzie trwały jeszcze długie lata.

August II zamieszkał w swoim pałacu, tu przyjmował swoich zwo-



WYJEŹDZASZ NA WAKACJE?
Zabierz ze sobą PRZEGLĄD!

Czytaj w e-prenumeracie
gdzie chcesz i kiedy chcesz.

ZAMÓW

www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Pałac buty, plac dominacji

Kolejni władcy czynili z pałacu Saskiego i przylegającego do niego placu symbol panowania nad Polską

lenników i zjednywał przeciwników politycznych, urządzał ucztę i imponował pokazami krzepy. Lubił łamać podkowy, przenosić armaty, którym nie dawało rady kilku artylerzystów, żelazne sztaby niedające innym się zgąć owijał gwardzistom na szyjach, jakby były z wosku.

Pałac i królewskie popisy podobały się szlachcie i mieszczaństwu. Król zyskał sporą popularność, mimo że Polska za jego panowania straciła faktyczną suwerenność, ambasadorzy carów jawnie kupowali głosy na sejmach, a wojska rosyjskie i pruskie maszerowały po jej terytorium jak po swoim, przy okazji rabując i gwałcąc. Pałac Saski warszawiakom imponował, a dzięki dobudowaniu w latach 30. XVIII w. u wylotu pałacowego ogrodu zespołu koszar królewskiej gwardii, zwanych Mirowskimi, Warszawa zyskała założenie urbanistyczne, zwane Osią Saską, które stało się bodźcem do rozwoju stolicy ze wschodu na zachód.

August III, syn i następca Augusta II, w Polsce i swoim warszawskim pałacu bywał rzadko i niechętnie, częściej zatrzymywał się w Zamku Królewskim. Jednak podczas jego panowania przy pałacu Saskim, od strony ogrodu, wykończony został budynek teatralny, tzw. Operalnia, wyposażony w nowoczesne maszyny sceniczne, obszerny orkiestron i widownię dla ponad 500 widzów. I ogród, i teatr zostały udostępnione publiczności za biletami, przez co zintegrowały się z miastem. Jeszcze za panowania Augusta III sporą część opustoszałych apartamentów pałacowych zaczęto wynajmować na mieszkania i biura, co sprawiło, że także dziedziniec pałacowy został otwarty.

Demonstracje Repnina i zabawy Konstantego

Po elekcji Stanisława Augusta Poniatowskiego w 1764 r. sąsiadujący



Warta przy Grobie Nieznanego Żołnierza, 1946 r.

z pałacem Saskim pałac Brühla przy ulicy Wierzbowej 1 zajął rosyjski ambasador, książę Nikołaj Replin. W pałacu Saskim wynajmował on kwatery dla oficerów rosyjskich pułków, które go ochraniały, a często brały udział w pacyfikacjach niemiłych Rosji przedsięwzięć politycznych polskiej szlachty czy porywały polityków sprzeciwiających się rosyjskiej dominacji. Demonstracyjne manewry Rosjan na placu Saskim skutecznie dyscyplinowały warszawiaków i szlachtę jeżdżącą do stolicy.

Po kongresie wiedeńskim dowódcą wojsk Królestwa Polskiego i faktycznym carskim namiestnikiem został wielki książę Konstanty. Zdaje się, że szykował się do zamieszkania w pałacu Saskim, ale wnętrza były w fatalnym stanie, świadkowie mówili o pozrywanych tapiseriach,

łuszczącej się farbie i pluskwach w obiciach mebli. Wielki książę zamieszkał więc w pałacu Brühla, jednak w pamięci mieszkańców Warszawy skojarzył się na zawsze z pałacem Saskim. Ogromny pałacowy dziedziniec nadawał się bowiem znakomicie do urządzania niekończących się manewrów, musztr, przeglądów wojsk. Wielki książę oglądał je z pałacowych okien, najchętniej jednak schodził na plac, aby przejeżdżać konno wzdłuż szpalerów i z bliska szukać najmniejszego żołnierskiego wykroczenia, a za każde policzkować, lżyć, nakazywać brutalne chłosty wykonywane na miejsu.

Na wzór Petersburga

Plany przebudowy pałacu Saskiego powstawały niemal od momentu utworzenia w 1815 r. Królestwa Polskiego. Budynki pałacowe były w złym stanie, nieremontowane od wielu lat, o niemożliwej, barokowej architekturze. Budynek centralny uniemożliwiał komunikację między dziedzińcem i Krakowskim Przedmieściem a największym warszawskim ogrodem publicznym. Architekt Piotr Aigner proponował przebudowę skrzydeł pałacu w stylu klasycystycznym i utworzenie ogromnej, nawiązującej do architektury petersburskiej, kolumnady wzdłuż Osi Saskiej, pod którą trzeba by wykarczować znaczną część ogrodu Saskiego. Pierwszy namiestnik Królestwa Polskiego, gen. Józef Zajączek, planował postawienie w centralnej części placu Saskiego gigantycznej kolumny zwieńczonej posągami „wskrzesiciela Polski”, cara Aleksandra. Polskie władze Królestwa i Warszawy z egzaltacją manifestowały wtedy lojalność wobec cara-króla i planowały uczynić pałac, powszechnie zwany Królewskim, reprezentacyjnym miejscem stolicy, gdzie mogłyby się odbywać wielkie uroczystości ku czci domu panującego.

► Jednak budżet Królestwa Polskiego, m.in. z powodu wydatków militarnych na zaspokojenie ambicji i upodobań Konstantego Pawłowicza, nie był w stanie udźwignąć takich obciążeń, a pałac nadal niszczał. Mieściły się w nim tanie mieszkania na wynajem, warsztaty rzemieślnicze i magazyny. Jednak po powstaniu listopadowym, kiedy Królestwo Polskie straciło nawet nominalną niezależność, władze, pod wodzą osobiście zainteresowanego sprawami pałacu i placu namiestnika Iwana Paskiewicza, powróciły

li zabici przez spiskowców. Wokół pomnika spoczywało osiem brązowych lwów, a w narożach obelisku umieszczono cztery, także brązowe, dwugłowe rosyjskie orły. Warszawska ulica stworzyła opisujący pomnik epigramat: „Ośmiu lwów i czterech ptaków pilnuje siedmiu fajdaków”. Plac i pałac Saski były już teraz traktowane jako symbol rosyjskiej buty i dominacji i na swój sposób bojkotowane przez warszawiaków. Bolesław Prus, który w „Lalce” dał wspaniały opis Warszawy przełomu lat 70. i 80. XIX w., starannie unikał jakichkolwiek

Niepodległość i symbole

Po odzyskaniu niepodległości władze państwowe i miejskie chciały z pałacu i placu Saskiego zdjąć odium symbolu rosyjskiej dominacji nad Polską. Zaczęły się spory o to, co zrobić z soborem św. Aleksandra Newskiego. Przeciwnicy burzenia świątyni proponowali, aby przebudować ją na kościół katolicki, przestrzeń muzealną czy widowiskową. Jednak zwyciężyli zwolennicy radykalnego rozwiązania – do 1925 r. budowla, wraz z dzwonnica, została rozebrana.

W tym też roku w arkadach pałacu Saskiego, w którym zainstalował się Sztab Generalny Wojska Polskiego, złożono przywiezione ze Lwowa zwłoki nieznanego żołnierza poległego podczas walk polsko-ukraińskich w 1919 r. Przykryto je kamienną płytą, a na filarach umieszczono tablice upamiętniające pola bitew wojen ostatnich lat, w których walczyli i ginęli polscy żołnierze. W ten sposób powstał, wzorowany na paryskim, warszawski Grób Nieznanego Żołnierza, który niemal od razu stał się miejscem narodowego kultu. Na dziedzińcu pałacowym dodatkowo ustawiono wywieziony po powstaniu listopadowym przez Paskiewicza do Homla, a teraz odzyskany, pomnik księcia Józefa Poniatowskiego. Niektórzy sarkali, że spiżowy koń księcia jest odwrócony zadem do Grobu Nieznanego Żołnierza, ale odpowiadano im, że w ten sposób książę Pepi pełni konną wartę przed mauzoleum.

W latach 90. XIX w. podjęto decyzję o wybudowaniu na placu Saskim soboru św. Aleksandra Newskiego.

do planów uczynienia z pałacu Saskiego symbolu rosyjskiej dominacji. Pałac z przyległościami został w 1837 r. odsprzedany kupcowi Iwanowi Skwarcowowi, który został zobowiązany do radykalnej przebudowy. W konkursie projektów zwyciężył architekt Wacław Ritschel. Jego rysunki najbardziej spodobały się carowi Mikołajowi, którego gust miał w Rosji rangę prawa.

Dlaczego car wskazał projekt Ritschla? Zapewne dlatego, że nowa, klasycystyczna architektura pałacu przypominała budynki Petersburga. Bardzo „warszawski” centralny korpus został zburzony i zastąpiony kolumnadą umożliwiającą przejście z głównego dziedzińca (który stał się teraz miejskim placem) do ogrodu Saskiego. Skrzydła boczne zostały rozbudowane, każde zyskało własny wewnętrzny dziedziniec. W ich fasady wbudowano ciężkie korynckie pilastry, podobne do tych, które występują w budowlach Petersburga. Przebudowa pałacu Saskiego, podobnie jak np. zamiana katolickich kościołów w cerkwie i ich przebudowa w stylu bizantyjskim, miała nadać Warszawie charakter miasta rosyjskiego.

Symbol hańby

29 listopada 1841 r., w 11. rocznicę Nocy Listopadowej, na placu Saskim, naprzeciw kolumnady łączącej skrzydła pałacu, z wielką pompą odsłonięto 30-metrowy żelazny obelisk ku czci siedmiu polskich generałów, którzy nie zgodzili się przystąpić do powstania listopadowego i zosta-

wzmianek o obiektach wzniesionych przez Rosjan i „zruszczonych”. Plac i pałac Saski, w którym w tamtych czasach mieściło się dowództwo rosyjskiego okręgu wojskowego, nie został wymieniony w powieści ani razu, choć przecież Wokulski odwiedzał ogród Saski, do którego z Krakowskiego Przedmieścia było mu najbliżej właśnie tamtędy.

Reputacja placu Saskiego jako miejsca hańby pogłębiła się, kiedy w latach 90. XIX w. zienawidzony obelisk przeniesiono na plac Zielony, za to z inicjatywy niestawnej pamięci rusyfikatora, generała-gubernatora Iosifa Hurki, podjęto decyzję o wybudowaniu tu soboru św. Aleksandra Newskiego. Główna bryła ukończona w 1912 r. (przed 300. rocznicą

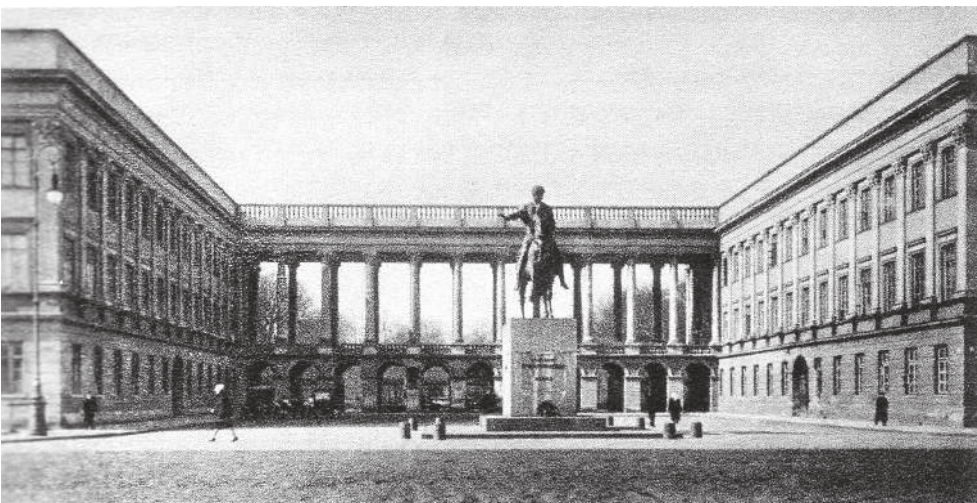
W 1925 r. w arkadach pałacu Saskiego złożono zwłoki nieznanego żołnierza poległego podczas walk polsko-ukraińskich w 1919 r.

panowania rodu Romanowów) budowli, w stylu nawiązującym do moskiewskich świątyń prawosławnych, górowała nie tylko nad placem Saskim, ale i nad całym niskim śródmieściem. 70-metrową dzwonnica widać było daleko spoza miejskich rogatki. Władze carskie, aby uzyskać środki na budowę i wyposażenie tak ogromnej i pełnej przepychu budowli, obłożyły warszawiaków i mieszkańców Królestwa Polskiego specjalnym haraczem. Płaciły go nawet parafie katolickie. Nic więc dziwnego, że kiedy sobór został ukończony, warszawiacy nakładali drogi, żeby nie przechodzić przez plac Saski.

Ledwie dwa lata po zamachu majowym, w 1928 r., sanacyjne władze Warszawy przemianowały plac Saski na plac Marszałka Józefa Piłsudskiego. Duża część opinii publicznej uznała to za kolejny znak, że Polska z demokracji zmienia się w autorytarną dyktaturę, a piłsudczycy zdobyte władzy bez ponownego przelewu krwi nie oddadzą. Wydaje się, że wybór tego akurat placu do uczczenia Piłsudskiego był bardzo przemyślany, a dokonano go właśnie ze względu na lokalizację Grobu Nieznanego Żołnierza. W pewnym sensie cały polski kult bohaterów miał się kojarzyć z osobą Piłsudskiego. Po Warszawie krążył



Pałac Saski około roku 1890. Przed budynkiem widać obelisk ku czci siedmiu polskich generałów, którzy nie zgodzili się przystąpić do powstania listopadowego.



Pałac Saski w roku 1930.

Ocalały fragment arkad pałacu Saskiego po wysadzeniu w 1944 r.



wówczas kawał nawiązujący do legendarnego kabotyństwa nowego patrona placu. Marszałek, wracając z ćwiczeń wojskowych do Belwederu, zdrzemnął się w samochodzie. Budzi się i pyta: „Gdzie jesteśmy?”. „Na placu Piłsudskiego, panie marszałku”, odpowiada kierowca. Marszałek znów przysnął i znów się budzi: „Gdzie jesteśmy?”. „Na ulicy Marszałkowskiej, panie marszałku”. Po kolejnej drzemce Piłsudski znów pyta: „Na placu Zbawiciela”, odpowiada kierowca. Piłsudski marszczy brwi: „No, może trochę przesadzili”.

Symbol niemieckiej cywilizacji

Niemieccy okupanci w pałacu i placu Saskim widzieli dowód promieniowania wyższej niemieckiej kultury na barbarzyński Wschód. W 1940 r. przemianowali więc plac na Sachsenplatz, a parę miesięcy później na Adolf-Hitler-Platz. Pałac został siedzibą dowództwa Wehrmachtu. Został obwieszony kilkumetrowymi chorągwiami ze swastyką, a na placu ustawiano instalacje z nazistowskimi symbolami. Sprzed Grobu Nieznanego Żołnierza zniknęła warta honorowa. Jednak harcerze Szarych Szeregów przez całą okupację prowadzili akcję przypominającą warszawiakom o czci dla tego miejsca. Przez plac codziennie przechodziły setki osób. Do tych, którzy nie ukłonili się przed grobem lub nie zdjęli przed nim czapki, podchodzili młodzi ludzie i zwracali uwagę. Wkrótce większość mieszkańców stolicy kłaniała się sama z siebie.

W grudniu 1944 r. niemieccy saperzy wysadzili pałac Saski w powietrze. Zrobili to bardzo dokładnie, cały budynek został zrównany z ziemią. Z wyjątkiem jednak trzech przęsł środkowej arkady, tych, pod którymi znajdował się – i znajduje do dziś – Grób Nieznanego Żołnierza. Nie wiadomo, dlaczego Niemcy nie wysadzili tego maleńkiego fragmentu, który miał tak olbrzymie znaczenie symboliczne dla Polaków. Po wojnie odnaleziono w ocalałych filarach wywiercone otwory, w których miały być założone ładunki wybuchowe.

Symboliczna ruina

Już 17 stycznia 1945 r. żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego rozpoznali w ocalałym fragmencie kolumnady ▶

► pałacu Saskiego Grób Nieznanego Żołnierza i zaciągnęli przy nim wartość honorową. Z braku instalacji gazowej i zniszczy rozpalili na nim ognisko zasilane drewnem ze zrujnowanych klatek schodowych i wiązań dachowych. W kolejnych tygodniach saperzy rozminowujący ruiny pałacu odnaleźli i poskładali strzaskaną płytę nagrobną oraz kamienne tablice z nazwami pół bitewnych. Wyłaniający się z morza gruzów jakby cudownie ocalały fragment kolumnady z Grobem Nieznanego Żołnierza robił ogromne wrażenie na powracających mieszkańców i gościach odwiedzających stolicę. Kiedy tylko nieco uprzątnięto gruz sprzed arkad, zaczęli tu się pojawiać zagraniczni oficjalni goście, którzy składali kwiaty. Jednym z pierwszych, w maju 1945 r., był gen. Dwight Eisenhower, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Pałac Saski był w czasie okupacji siedzibą dowództwa Wehrmachtu.

Decyzja o tym, że pałac Saski nie zostanie odbudowany, a Grób Nieznanego Żołnierza pozostanie trwałą ruiną, zapadła na początku 1946 r. Tak wspominał to w książce „Gawędy warszawskiego architekta” Zygmunt Stępiński: „W lutym 1946 r. otrzymałem od ówczesnego przewodniczącego Komitetu Naczelnej Rady Odbudowy Warszawy, architekta Mariana Szychalskiego, polecenie wykonania projektu Grobu Nieznanego Żołnierza. Komisja – w skład której wchodził przedstawiciel wojska i Biura Odbudowy Stolicy – zdecydowała, że przy odbudowie należy zachować część arkad. (...) W projekcie odbudowy przewidziałem rekonstrukcję trzeciej arkady od strony ogrodu Saskiego, co umożliwiłoby następnie założenie sklepienia nad całym grobem. Zdecydowałem się na odbudowę balustrady nad arkadami do wysokości kilkudziesięciu centymetrów pozostałych resztek kolumn. Chodziło mi o to, żeby tej ruinie będącej symbolem męczeństwa narodu polskiego nadać formę trwałej rzeźby architektonicznej związanej z historią Warszawy”.

W pierwszych powojennych miesiącach idea pomnika ruiny była żywa wśród Polaków. Padały propozycje, by nigdy nie odbudowywać

Warszawy. Niektórzy proponowali, aby zostawić dawne getto jako morze gruzów. Albo któryś z kwadratów śródmiejskich ulic. W końcu jedyną ruiną pomnikiem pozostał Grób Nieznanego Żołnierza. Wkrótce pojawiły się na nim nowe tablice z nazwami pół bitewnych II wojny.

Historia zatoczyła koło

Od 1946 do 1990 r. dawny plac Saski nosił nazwę placu Zwycięstwa. Odbływały się tu uroczyste zmiany wart i przeglądy wojsk, odwiedzające Polskę głowy państw obowiązkowo składały na Grobie Nieznanego Żołnierza kwiaty. 31 maja 1972 r. tłumy warszawiaków entuzjastycznie witały prezydenta USA Richarda Nixona.

2 czerwca 1979 r. mszę na placu Zwycięstwa odprawił po raz pierwszy goszczący w Polsce po wyborze na papieża Jan Paweł II. To tu wobec ponad 100 tys. wiernych wygłosił kazanie, w którym padły słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”, które miały zostać odebrane jako wezwanie do walki z ustrojem. 31 maja 1981 r., a więc w apogeum karnawału Solidarności, odbyła się msza pogrzebowa prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego. I mimo że władze partyjne w latach 80. właśnie przez plac Zwycięstwa poprowadziły trasę pochodów pierwszomajowych, ewidentnie przegrały z Kościołem starcie o symboliczne skojarzenia.

A dziś dawny dziedziniec pałacu królów Sasów znów nosi nazwę placu Piłsudskiego. Ruina ostaniec pałacu i mieszczący się w niej Grób Nieznanego Żołnierza wciąż jest jednym z miejsc w Warszawie o najmocniejszym ładunku symbolicznym. Choć sam plac obrasta innymi symbolami. Jest tu smutny pomnik Piłsudskiego, papieski krzyż upamiętniający czasy, kiedy w Polsce można było odprawić mszę dla kilkuset tysięcy ludzi. Ostatnio pojawiły się ekstrawagancki pomnik Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. oraz pomnik Lecha Kaczyńskiego. Plac, na którym miejsca dla podobnych realizacji jest jeszcze mnóstwo, staje się symboliczną własnością PiS i klerykalnej prawicy.

Jarosław Górski

Przeciętny obywatel nie przeniknie tajemnic handlu bronią. Może samoloty F-35 są warte ceny, jaką nam podyktowano, a może nie są warte. Nie wiem i wraz ze mną nie wie tego 30 mln moich rodaków. Zaciekawia mnie prezydent Trump, ponieważ dla niego każda broń jest towarem, a każdy towar bronią. Polska jest dla niego sojusznikiem, dopóki ma za co kupować latający towar śmiercionośny lub gaz skroplony. Albo inny towar – Amerykanie są narodem wynalazców. Pod rządami Trumpa nie wybuchnie konwencjonalna III wojna światowa, lecz światowa wojna handlowa.

Gdybym był prezesem Polski, to bym Andrzeja Dudy do negocjacji z Trumpem nie dopuścił. Prezydent Duda poinformował dziennikarzy nielicznie zebranych w Ogrodzie Różanym przed Białym Domem, że największą zaletą narodu polskiego jest męstwo i nim góruje nad Rosjanami. Monte Cassino – twierdził – i powstanie warszawskie stanowią powszechnie podziwiane dowody tego męstwa.

Prezydent Andrzej Duda miał wykute na pamięć poglądy, jakie instruktorzy pionu edukacyjnego IPN wygłaszają przed młodzieżą szkół średnich i podstawowych. I wygłosił te poglądy z aplombem prokuratora i zaciekłością misjonarza, który dopiero co przyswoił sobie dogmaty, które głosi. Za słuchaczy miał panią Melanię Trump, samego Trumpa, swoją małżonkę, dziennikarzy niezbyt licznie przybyłych, przedstawicieli urzędniczego personelu Białego Domu i innych jeszcze ludzi, których nie wyłowilem wzrokiem. I oczywiście milion widzów. Dzięki obecności prezydenta Stanów Zjednoczonych było to w tym momencie centrum polityczne świata. O czym prezydent Polski uznał za stosowne poinformować to centrum zebrane w Ogrodzie Różanym? Polska należy do chrześcijańskiego Zachodu i zawsze do niego należała. Ma ona jednak odwiecznego wroga – Rosję, która od wieków czyha na jej terytorium, dokonuje zaborów, a gdy zostanie powstrzymana, jak w 1920 r., to się mści, jak we wrześniu 1939 r., gdy razem z nazistowskimi Niemcami napadła z zemsty na Polskę. Polska jest chrześcijańska, trzeba wiedzieć od kiedy i Duda podał dokładną datę

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

Handel bronią

chrztu: 966 r. Po II wojnie światowej Rosja okupowała Polskę do 1990 r.

Ktoś z dziennikarzy zapytał, dlaczego rząd usuwa sędziów Sądu Najwyższego. Na to Duda, już gniewny, jeszcze bardziej się rozgniewał i poinformował zebranych, że w czasie okupacji komunistycznej sędzią mógł być tylko komunista i ci sędziowie utrzymali się na stanowiskach do ostatnich wyborów. Po wojnie komuniści zamordowali 20 tys. żołnierzy niezłomnych, sędziowie wydawali wyroki śmierci, zwłoki ukrywano pod ziemią, partyzantka antykomunistyczna działała 20 lat po wojnie. Sędziowie Sądu Najwyższego orzekali w czasie stanu wojennego, kiedy to katowano ludzi, więziono i zabijano. Nasi wyborcy domagają się

Szydło, wyróżniająca się zdrowym rozsądkiem i ciesząca się popularnością wśród wyborców. Miałaby sens kandydatura Jarosława Kaczyńskiego, któremu potrzebne jest zalegalizowanie swojej kierowniczej roli w państwie. Wszyscy, tylko nie Duda.

Jeśli chodzi o rusofobię, to Andrzej Duda jest bardziej jej ofiarą niż propagatorem. Przez cały okres Polski Ludowej antyrosyjska poezja romantyczna należała do lektur obowiązkowych i idealizowała powstania antyrosyjskie, zgodnie z duchem rusofobii Lenina. Ważniejsze od literatury było powszechne utożsamianie komunizmu z narodem rosyjskim. Przekonanie, że Rosja jest państwem wobec Polski zaborczym, istniało już w czasach, gdy Polska była zaborcza

powie wam, że pod rosyjskim. I nie będzie wiedział, że Polska właściwa („Korona”) znalazła się pod zaborem państw niemieckich.

Ustrojem ustanowionego przez kongres wiedeński Królestwa Polskiego była monarchia konstytucyjna. Talleyrand mówił, że polska szlachta – a tylko ona w kraju się liczyła – nie jest nawykła do szanowania prawa, a już zwłaszcza konstytucji, i tylko jakaś siła zewnętrzna może ją do tego zmusić. Szlachta Królestwa Polskiego najpierw nadużywała swobód konstytucyjnych, a następnie wydała Rosji wojnę.

O pakcie Ribbentrop-Mołotow teraz mówi się obłudnie. Skutki tego paktu były dwojakie. Zsyłki ludności polskiej na Sybir to była zbrodnia na zbrodni. Ale czy zajęcie terenów zabużańskich i zaniemeńskich to także była zbrodnia? Jeżeli tak, to domagacie się przywrócenia sprawiedliwości, bo ta zbrodnia, w przeciwieństwie do pierwszej, jest odwracalna. Krzyczą, że ich ten pakt bardzo boli, a nie robią nic, żeby trochę mniej bolało. W rzeczywistości już nic ich ten pakt nie obchodzi.

Ludzie obozu postsolidarnościowego nie mają za grosz tego, co można nazwać instynktem państwowym. Ciągłe walczyć z komunizmem, wszędzie widzą trwanie komunizmu, Andrzej Duda z tą manią nie jest wyjątkiem. Odpieprcie się od komunizmu, zaczniście myśleć o państwie. Otrzymaliście państwo gotowe, nie musieliście walczyć o granice, lepsze pod każdym względem od II RP, uprzemysłowione w stopniu, o jakim przed wojną wizjonerzy nie marzyli, z administracją, jakiej nie potrafiliście stworzyć, nawet kolei nie potraficie utrzymać na poziomie, na jakim je przejęliście. Najbardziej jesteście zadowoleni i pyszni z powodu handlu bronią z amerykańskim kontrahentem.

Gdybym był prezesem Polski, tobym Andrzeja Dudy do negocjacji z Trumpem nie dopuścił.

czystki w sądownictwie, czy mamy się sprzeniewierzyć naszemu programowi wyborczemu? Wszystkiego nie zapamiętałem, przeważała niesamowita nienawiść do Rosji i PRL. Kto cierpliwy, znajdzie całość w internecie. Usłyszy tam, że Rosja, nie mogąc już napadać na Polskę, napada na Gruzję i Ukrainę.

Trump słuchał tego z widocznym zakłopotaniem, które rzadko gości na jego obliczu, i powiedział na zakończenie, że Ameryka będzie miała dobre relacje z Rosją i Polska będzie miała dobre relacje.

Politycy polscy w większości dokładnie reprezentują swoich wyborców pod względem braku ogłady. Czy PiS, do którego przykleja się coraz więcej zdolnych ludzi, nie potrafi wyłonić odpowiedniejszego kandydata na prezydenta? W jakiejś prawicowej gazecie znalazłem wzmiankę, że dobrą kandydatką byłaby Beata

wobec księstw ruskich. Dziwne, że Polacy, uskarżając się na cudzą zaborczość, nie stawiają sobie pytania, jakim – jeśli nie zaborczym – sposobem Lwów znalazł się w Polsce. O tym akurat wspomina historiografia dydaktyczna. Mogliby się zastanowić, co robił Batory pod Pskowem. Myślą, że Smoleńsk był polski, a zaborczy Moskałe nam go zabrali, jak teraz Krym Ukrainie. Warto, żeby jeśli nie uczniowie, to studenci wydziałów historycznych trochę dłużej posiedzieli nad mapą zaborów. Domyśliliby się może w końcu, że Rosja zabierała ziemie zaludnione przez ludność głównie prawosławną i mówiącą po rusku, a więc kiedyś zabrane przez Polaków. Tak zwaną Kongresówkę Rosji przyznał kongres wiedeński, a więc nie był to zabór. Zapytajcie człowieka, który ukończył wyższe studia, pod jakim zaborem znalazła się Warszawa po trzecim, ostatnim rozbiórce, a od-

Rozmawia Jakub Dymek

Gdy stracili pracę, skończyło się wszystko

Górnicy mundur to duma,
ochroniarska czapeczka tylko wstyd

Napisałaś książkę o ofiarach polskiej transformacji. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, żeby o transformacji mówić językiem już nieco stonowanym; że media zazwyczaj prezentują polukrowaną wersję opowieści o polskiej drodze po 1989 r. Tymczasem w twojej książce mamy napady z bronią, głód, wydzieranie sobie z rąk worków z węglem z biedaszybów... Co to za historie?

– To Wałbrzych, jedna z tych dzielnic, które przywitały mnie hasłem „Witajcie w piekle” wypisanym na murze. W 1989 r. zaczynają krążyć pogłoski o zamknięciu kopalni – w ciągu czterech lat, między 1994 a 1998 r., zostają zamknięte wszystkie trzy. Pracę w samych kopalniach traci 20 tys. osób, nie wspominając o wszystkich zakładach pracujących na potrzeby kopalni.

W Wałbrzychu przywitało mnie hasło „Witajcie w piekle” wypisane na murze.

I nie mówiąc o rodzinach?

– Dokładnie tak. Zamknięcie kopalni ma bezpośredni wpływ na cały region i całe grupy społeczne. Wkrótce potem 3 tys. osób pracuje w biedaszybach – 3 tys.! To była całkowicie nieformalna struktura, ale wielka jak naprawdę spory zakład pracy.

Jedną z takich historii jest ta pana Bogdana. On traci pracę w kopalni Wałbrzych, ostatniej działającej w mieście. Jego żona straciła pracę prawie 10 lat wcześniej, gdy przywytano Diorę produkującą elektronikę. Od lat więc żyją z jego pensji. Gdy Bogdan traci pracę, mają już tylko zasiłek. No i ten dawny górnik zaczyna chodzić – nie jeździć autobusem, bo nie ma na bilet – szukając jakiegokolwiek pracy. Żadnej nie może znaleźć, bo mając 37 lat, jest rzekomo za stary. „Przyjmujemy do 35. roku życia”, mówią mu. Pracę, która uratowała mu życie, jak wspomina, dostał w Szczawinie – zamiatał ulice.

To typowa opowieść?

– Książkę zaczynam od Zagłębia Dolnośląskiego i historii deklasacji robotników, rodzin, całych branż i miast, bo zazwyczaj o górnictwie w Polsce mówi się tylko w odniesie-

niu do Górnego Śląska. A przypadek Wałbrzycha i tego, co się w nim stało po 1989 r., był równie, jeśli nie bardziej, znaczący. Ze wszystkich miast w Polsce, które odwiedziłam, Wałbrzych był najbardziej zniszczony i zaniedbany – szczególnie jego trzy dawne górnicze dzielnice: Podgórze, Sobięcín i Biały Kamień. Są miejsc, które przywołują na myśl krajobraz postapokaliptyczny – przemysłowy i miejski armagedon.

Zebrane w mojej książce historie łączy jeden schemat – to losy robotników i ich rodzin, ludzi, którzy pracowali w przemyśle i górnictwie przed 1989 r., zdobyli wykształcenie i kwalifi-

kacje, a w toku transformacji okazało się, że to doświadczenie jest dla nich obciążeniem, nie atutem. I zostają zdegradowani. Piszę o tych, którzy „odnaleźli się” w III RP jako pracownicy i pracownice ochrony i sprzątnia obiektów.

Nie dało się inaczej?

– Część osób z likwidowanych kopalni dostawała odprawy. Ale obchodziła się z nimi, trzeba to dziś powiedzieć, nierzadko lekkoomyślnie. Powstał bum na kupowanie mercedesów,

W PRL była pewność zatrudnienia. Podstawowe dobro, jakim była praca, było dostępne.

mebli do domu, RTV-AGD – jednym słowem konsumpcję. Nadzieje, że dawni górnicy masowo zainwestują swoje odprawy i pozakładają firmy, okazały się płonne.

Pamiętajmy, że mówimy o ludziach, którzy dotychczas pracowali zawodowo i byli wychowani w rzeczywistości, w której po prostu „praca była”. Często nie myśleli, że coś takiego jak bezrobocie może ich w ogóle dotknąć, skoro wcześniej

mogli podjąć czy zmienić pracę dowolnie z dnia na dzień.

Gdy kończyła się odprawa lub zasiłek, zaczynało się naprawdę gorączkowe poszukiwanie pracy, próby emigracji, szukanie pomocy po rodzinie i znajomych. W ostateczności biedaszyby. Ci, którym się „udało”, pracują bardzo często w ochronie lub sprząając np. urzędy.

Degradacja, o której piszesz, polega na tym, że mający wcześniej pracę prestiżową, stabilną i w PRL relatywnie dobrze płatną robotnicy przemysłowi skończyli w zawodach, których się wstydzą, w niestabilnych formach zatrudnienia i z bardzo niskim wynagrodzeniem. Przeciwny koniec skali?

– Tak. Kwestia dumy i wstydu jest bardzo ważna. Bo czym innym jest górniczy mundur na Barbórkę, a czym innym ochroniarska kurtka. Zresztą nie można powiedzieć, że dziś ochroniarze mają „mundur” – często z oszczędności dostają tylko czapeczkę i bluzę po kimś. Jedynie to, co widać znad lady. Widziałam taki przypadek w jednej z prestiżowych, hipsterskich redakcji w Warszawie, gdzie portier – oczywiście na umowie poniżej stawki minimalnej

– mówił, że wstydzi się chodzić w tym, co mu dają, a do tego, krążąc po parkingu, zdziera własne buty. Kwestia ubioru i wyglądu zewnętrznego jest niezwykle ważna dla poczucia własnej wartości – nawet nie wiesz, ile razy słyszałam od kogoś, że wstydzi się pokazać, jak teraz wygląda.

Robotnicy się wstydzą, bo ideologia III RP mówiła im, że mają być kowalami swojego losu i ludźmi sukcesu?

– Ideologia ma z tym bardzo niewiele wspólnego. Zupełnie nie chodzi o to, że to lub coś innego dyktowały wtedy gazety. Jeżeli ktoś zbiera puszkę i kłamie przed kolegami, że to



KATARZYNA DUDA

– absolwentka prawa i politologii na Uniwersytecie Opolskim. Doktorantka w Kolegium Ekonomiczno-Społecznym SGH. Bada warunki zatrudnienia osób sprzątających i ochroniarzy zatrudnianych przez firmy prywatne. Jest autorką dwóch raportów poświęconych skutkom stosowania outsourcingu usług przez instytucje publiczne, zrealizowanych dla Ośrodka Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle’a.

hobby, bo ma pracę – nie ideologia jest powodem tego wstydu.

Czy transformacja zaczęła się w 1989 r. i skończyła w latach 90.?

– Dla wielu osób, z którymi rozmawiałam, ani komunizm się nie skończył w 1989 r., ani transformacja w latach 90. Dla robotników system, który znali, często trwał tak długo, jak długo istniał ich zakład pracy. Dopóki były stołówki i wczasy pracownicz, dopóki były żłobki i przedszkola dla dzieci, dopóki istniał przemysł – zmiana epoki nie była aż tak fundamentalna. Jednak gdy tracili pracę, zmieniało się wszystko – bo nie było już tego świata, do którego oni chcieli wrócić. Dla niektórych więc „komuna” kończy się nie w 1989 r., tylko nawet w 2004 lub 2011 r. Można powiedzieć, że najważniejszą zmianą w życiu wielu ludzi był upadek ich fabryki – nie rok 1989 i wybory albo wejście do NATO i Unii Europejskiej. **Tęsknota za PRL jest wśród twoich rozmówców powszechna?**

– Tak. Ale co znaczy tęsknota za PRL? Za opiekuńczym zakładem pracy, za stabilnością, bezpieczeństwem, pewnością zatrudnienia i wolnością jego zmiany. Jedna z pań, z którymi rozmawiałam, mówi, że zmieniała pracę jak rękawiczki. Inny pan opowiada, że facetom, którzy rozebrali i chcieli ukraść ciągnik z pobliskiego PGR, zabrano tylko premię, a kierownik na nich nakrzyczał. Zakład pracy, który funkcjonuje jak małe państwo opiekuńcze, jest obiektem wielkiego szacunku i tęsknoty.

„Nam się dobrze żyło”, „do pracy chodziliśmy uśmiechnięci”, „wra- cało się z pieśnią na ustach”... Twoi rozmówcy mówią o pracy w przemyśle w Polsce Ludowej, jak gdyby to była sielanka. Czasem uzasadniona tęsknota może się zamienić w bezkrytyczną idealizację.

– Nie widzę tego ryzyka. Żeby krytykować idealizację w wypowiedziach bohaterów i bohaterek mojej książki, należałoby powiedzieć, że

w PRL nie było pewności zatrudnienia. A była. Podstawowe dobro, jakim była praca, było dostępne. I oni właśnie to wspominają. Do tego zakłady pracy spełniały jeszcze inne funkcje: kulturalne, oświatowe, sportowe. A dziś ci sami ludzie tego nie mają.

Żaden ochroniarz czy pani sprzątająca nie ma ani pewności zatrudnienia, ani możliwości skorzystania z tego, co gwarantowała praca w przemyśle w Polsce Ludowej: wakacji, premii, dostępu do kultury. Jeszcze do 2017 r., dopóki nie weszła w życie stawka godzinowa, zarabiali 2-3 zł na godzinę. I jak tu myśleć o wakacjach? Nowa Polska po prostu im oferuje mniej.

A jednak skądś brały się strajki robotnicze w PRL, a większość postulatów Solidarności dotyczyła początkowo spraw bytowych i społecznych. Ci sami robotnicy buntowali się przeciwko biedzie i niesprawiedliwościom Polski Ludowej.

– I czasami mówili, że tego żałowali. Karol Modzelewski stwierdził, że za kapitalizm nie przesiedziałyby w więzieniu ani dnia – dawni robotnicy Ursusa, którzy też przecież strajkowali i ryzykowali wiele, mówią dziś coś podobnego. Że żałują swojego zaangażowania w Solidarność, w protesty i strajki, że zostali pozostawieni samym sobie.

Górnicy i pracownicy przemysłu i tak częstokroć mieli dużo lepiej niż np. włókienniki.

– I temat zazdrości i nierówności między różnymi grupami zawodowymi też się pojawia. W pamięci o transformacji i latach poprzedzających rok 1989 obecny jest fakt uprzywilejowania górników. Ale rozmawiałam także z panią Danusią, żoną górnika, która wtedy odpowiadała koleżankom zazdroszczącym jej nowych garnków czy mebli, że ceną za te „przywileje” jest to, że mąż każdego dnia może z pracy zwyczajnie nie wrócić. Wybuch metanu w 1985 r. zabił 18 górników, prawie 700 m pod ziemią.

Kogo obwiniają ofiary transformacji?

– To jest chyba najsmutniejsze. Siebie nawzajem. Górniczy z Dolnego Śląska Górnoślązaków. Hanysy górol i na odwrót. Górniczy stoczniovców i stoczniovcy górników. Załogi ▶



► jednych zakładów wytykają palcem załogi drugich. Sąsiedzi swoich sąsiadów. Porażający jest brak solidarności.

Typową reakcją na pytanie o odpowiedzialność za upadek tego czy innego zakładu lub kopalni jest stwierdzenie, że tamci – inni robotnicy czy inne branże – nie przyjechali strajkować, nie pomogli się bronić, bo byli zajęci swoimi sprawami albo tchórzliwi. Albo nie byli „prawdziwymi” robotnikami jak my, tylko przyjezdnymi nie wiadomo skąd. To straszne, bo w rozmowach o winie nie pojawia się wcale często...

...Balcerowicz?

– Tak. Nie jest winny Balcerowicz ani żaden polityk, tylko inny górnik. Uderzające.

Czy widać w tych opowieściach odmienne doświadczenie kobiet i mężczyzn?

– Niespecjalnie. Piszę o robotnikach z Siedlec, które zostały salowymi, i o robotnikach z Ursusa, którzy są ochroniarzami. Gdy weźmie się tę soczewkę: drogę zawodową dawnych pracowników przemysłu, różnice między mężczyznami a kobietami nie uderzają. W końcu piszę o sytuacji ludzi, którzy tak czy inaczej skończyli w sektorze sprywatyzowanych, realizowanych przez

zewewnętrzne agencje, niskopłatnych usług. W ochronie, najbardziej śmieciowej branży, pracują i mężczyźni, i kobiety. Głośna historia folwarku pod Opolem – o której ty też pisałeś – gdzie stawka godzinowa wynosiła 1,19 zł, dotyczyła jednak kobiety podwykonującej usługę ochrony obiektu. Kobiety, dodajmy, w kryzysie bezdomności i chorej.

Ofiary transformacji obwiniają siebie nawzajem.

Dlatego wybrałaś słowo ofiary w tytule książki?

– Wszyscy tego się czepiają... (śmiech). Rafał Woś napisał, że powinniśmy mówić nie o ofiarach, ale o bohaterach transformacji. Może. Jednak ofiara to ktoś, komu zrobiono krzywdę. Tym osobom zrobiono krzywdę, potraktowano je niesprawiedliwie, zburzono im dotychczasowe życie – dlaczego miałyby nie być właśnie ofiarami?

Jak się odnajdujesz w dzisiejszych dyskusjach o bilansie transformacji?

– Myślę o Wałbrzychu. To, co tam się stało, było wyborem. Ktoś zde-

cydował, żeby zamknąć kopalnię i żeby zamknąć je wszystkie w ciągu mniej niż pięciu lat. Ludzie, owszem, dostawali odprawy. I dziś już wiemy, że to nie pomogło. To też polityczny wybór. Byli górnicy pytają gorzko, czemu w Czechach opłaca się wydobywać węgiel, a w Polsce nie? Ja nie mówię o diagnozie całego sektora wydobywczego w Polsce, bo nie mam do tego kompetencji, ale mówię i chcę przypominać, że takie, a nie inne reformy, decyzje o zamknięciu lub sprywatyzowaniu tych zakładów – to wszystko był polityczny wybór. Nie wiem, czy można było utrzymywać te zakłady w nieukończoność, ale wiem, że przestały funkcjonować błyskawicznie. I to było dla ludzi często bezlitosne.

Myślę, że teraz lepiej rozumiem, niestety, o co chodziło Balcerowiczowi, gdy w jednym z wywiadów sugerował, że cała socjalistyczna kultura pracy, cały model, wszystko to musi zniknąć. To był prawdziwy cel i jemu podporządkowane były kroki architektów transformacji.

Ale ludzie nie mogli tak po prostu zniknąć?

– No właśnie.

Jakub Dymek

JAKA POLSKA PO POPiS-ie?

Spółeczne Forum Wymiany Myśli z Wrocławia zaprasza na ostatnią przed przerwą wakacyjną – a zarazem jubileuszową, 25. – comiesięczną debatę.

Spróbujemy tym razem odpowiedzieć na pytanie, czy w świetle kiepskich dla środowisk lewicowych i postępowych wyników wyborów do europarlamentu i publikowanych sondaży przed wyborami do Sejmu i Senatu jest możliwa inna Polska: bardziej obywatelska, republikańska, realizująca hasła równości, braterstwa, wolności i autentycznej demokracji.

Czy można w naszym kraju cokolwiek zmienić? Zbudować państwo przyjazne ludziom, bez nienawiści do innego, bez stygmatyzowania inaczej myślących i prześladowań ludzi o wyraźne lewicowych przekonaniach?

Zestaw panelistów tej debaty gwarantuje jej wysoki poziom i merytoryczność stawianych tez.

Radosław S. Czarnecki



SPÓŁECZNE FORUM WYMIANY MYŚLI WE WROCŁAWIU
ZAPRASZA NA SPOTKANIE DYSKUSYJNE



Prof. Monika Płatek
Anna Grodzka
Maciej Wiśniowski
moderacja
Radosław Czarnecki

27.06.2019 godz.17.30
przebieście Garncarskie 2
Café księgarnia Tajne Komplet

Z Galicji



Jan Widacki

Opinia publiczna wie tyle, że PiS w wielkim pośpiechu zreformowało prawo karne, że z tego pośpiechu wyszła być może ustawa niedopracowana, przeciwko czemu protestowali jacyś prawnicy. Minister Ziobro zarzucił tym prawnikom kłamstwo, postraszył sądem, potem sądem już nie straszył, ale przy kłamstwie obstawał.

Przeciętny Kowalski rozumiał też tyle, że znowelizowany kodeks zaostriżył kary za rozmaite przestępstwa, z czego on, Kowalski, jest w sumie zadowolony. Otóż trzeba jasno powiedzieć, że ostatnia nowelizacja Kodeksu karnego zmieniła całą filozofię prawa karnego, a skutki tego prędzej czy później odczuje właśnie przeciętny Kowalski. Spróbujmy więc w sposób możliwie przystępny wyjaśnić, krok po kroku, co się stało.

Zacznijmy od tego, co to jest prawo karne. Otóż prawo karne to, najogólniej rzecz ujmując, takie prawo, które określa, jakie czyny są zabronione pod groźbą kary, jakie kary za jakie czyny się wymierza i na jakich zasadach. Aby napisać takie prawo, trzeba wcześniej rozważyć, jakie czyny powinny być zakazane pod groźbą kary i czemu kara ma służyć. Przemyślenia na ten temat datują się od starożytności. Jedni twierdzili, że kara ma sens praktyczny,

szatana. Jeśli jednak chciano by przestępstwom zapobiegać, trzeba było poznać ich przyczyny. Z tej potrzeby zrodziła się kryminologia.

W dobie pozytywizmu, gdy rozwinięte już były nauki szczegółowe, w tym nauki o społeczeństwie i nauki o człowieku, na przestępcę i przestępstwo spojrzano inaczej. Zaczęto dociekać przyczyn przestępstw metodami pozwalającymi na empiryczną weryfikację. Tych przyczyn szukano w warunkach społecznych (nurt socjologiczny), w jednostce i jej odziedziczonych cechach (nurt indywidualny), wreszcie w obydwu tych czynnikach i ich wzajemnej interakcji (nurt multikauzalny). Przyjęcie, że przestępczość jest zdeterminowana takimi czynnikami, musiało zmienić całą filozofię karania. Kara, tracąc cel metafizyczny i metafizyczne uzasadnienie, miała realizować cele praktyczne. Chronić społeczeństwo przed przestępcą (kiedy siedział w więzieniu, nie był groźny), a jego samego w miarę możliwości poprawić, wychować. Ponieważ wiadomo było, że ludzie łatwiej staczą się na drogę przestępstwa, gdy są nieprzystosowani społecznie, a to nieprzystosowanie jest często wynikiem zaniedbań wychowawczych w rodzinie, braku zawodu i możliwości znalezienia pracy, czas pobytu w więzieniu starano się wykorzystać na resocjalizację. Gdy skazany nie miał zawodu – na naukę zawodu.

Co zrobiono z prawem karnym?

jej celem jest oddziaływanie profilaktyczne. Bojąc się kary, ludzie nie popełniają czynów, za które ona grozi. Drudzy w karze widzieli rodzaj pokuty za dokonany czyn. Kara miała zatem przywrócić przestępcy-grzesznikowi utraconą przez fakt popełnienia przestępstwa łaskę bożą. Inni uważali, że przestępca swoim czynem narusza ład moralny, a kara uczyni temu ładowi moralnemu zadość. W obydwu ostatnich stanowiskach kara miała sens metafizyczny, nie praktyczny. We wszystkich trzech natomiast karano przede wszystkim przestępstwo, nie przestępcę. Ciężkie przestępstwo – surowa kara. Lżejsze – kara łagodniejsza. Ale zawsze kara była tak lub inaczej uzasadnionym odwetem.

Towarzyszyło temu przekonanie, że surowość kary to najlepsze remedium na przestępczość.

Życie jednak pokazało, że wprowadzenie kary są coraz surowsze, coraz okrutniejsze (przypomnijmy sobie wszystkie kwalifikowane kary śmierci w dawnym prawie polskim: wbijanie na pal, łamanie kołem itd.), egzekucji dokonuje się publicznie, ku przestrodze, ale przestępczość wciąż rośnie. Surowość kar ani tym bardziej ich okrucieństwo nie miały wpływu na poziom przestępczości. Stąd wzięło się u myślicieli doby oświecenia przekonanie, że nie tędy droga. „Lepiej przestępstwom zapobiegać, niż za nie karać”, twierdzili Monteskiusz i Beccaria. „Nie surowość kary, ale jej nieuchronność powstrzymuje przed przestępstwem”, wywodził Beccaria. „Surowość kar lepiej odpowiada despotyzmowi, (...) łatwo byłoby udowodnić, iż we wszystkich państwach Europy kary zmniejszały się lub powiększały, w miarę jak zbliżano się lub oddalano od wolności”, dodawał Monteskiusz.

Karanie za przestępstwa nie wymagało poznawania przyczyn przestępczości. Toteż mało kto nad przyczynami się zastanawiał. W ostateczności wszystko można było zwać na kuszenie przez

Gdy był alkoholikiem lub cierpiał na zaburzenia osobowości – na terapię. Poza tym karano nie jak dotąd przestępstwo, ale konkretnego człowieka – przestępcę. A ponieważ każdy jest inny, aby osiągnąć cel, jakim jest resocjalizacja, dla każdego potrzebna była inna kara. Tę zmianę podejścia dobrze ilustruje przykład. W austriackim prawie karnym z 1852 r., obowiązującym na części ziem polskich do roku 1932, za zabójstwo umyślne przewidziana była tylko kara śmierci. Była to „sankcja ściśle oznaczona”. Musiała być zastosowana wobec każdego, kto popełnił zabójstwo umyślne, bez względu na jego właściwości osobiste, motywacje, sposób działania, stopień winy itd. W polskim Kodeksie karnym z 1932 r. za zabójstwo umyślne przewidziana była sankcja od 5 do 15 lat więzienia, dożywotniego więzienia albo kara śmierci. Sąd przed wymierzeniem kary musiał dokładnie zbadać to, co przy sankcji ściśle oznaczonej było bez znaczenia. Karano bowiem człowieka, nie przestępstwo.

Ostatnia nowelizacja Kodeksu karnego wykreśliła jako cel kary jej oddziaływanie wychowawcze. Cofnęliśmy się w prawie karnym o ponad 100 lat. Kara jest znów, jak do XIX w., tylko odwetem. Nowelizacja w sposób drakoński zaostriżyła kary, a to – jak twierdzi Monteskiusz – jest symptomatyczne „dla państwa oddalające się od wolności”. Niestety, to niejedyna oznaka tego, że oddalamy się od wolności liberalnej demokracji i zmierzamy do autorytarnej despotii.

Kowalski może tego wszystkiego nie rozumieć. Nie rozumie tego zapewne minister Ziobro, traktujący prawo karne wyłącznie instrumentalnie, uprawiając klasyczny „populizm penalny”. Z przyczyn zasadniczych nie był w stanie tego pojąć wiceminister Jaki. Ale wiceminister Warchoł dobrze to wie, a w każdym razie wiedzieć powinien. Jest doktorem habilitowanym z zakresu prawa karnego. I tego z kolei ja nie mogę zrozumieć.

Anna Brzeska

– Zanim poznałem naszą młodzież, wyobrażałem sobie bezdomnego jako osobę 50-letnią, nietrzeźwą, śpiącą na przystanku. W życiu nie pomyślałbym, że w kryzysie bezdomności mogą być 18-latkowie – przyznaje Wiktor Sierociński z Fundacji Po DRUGIE.

Podobne wyobrażenie o bezdomności ma zapewne większość z nas. Ale to nie jest kompletny obraz. Część osób w kryzysie podejmuje pracę, korzysta z noclegowni, nosi czyste ubrania i stara się wrócić do normalnego życia. Pod pojęciem bezdomności kryje się całe spektrum trudnych sytuacji życiowych.

Z czego wynika bezdomność młodzieży? Wydawać by się mogło, że młodzi opuszczający placówki opiekuńczo-wychowawcze czy resocjalizacyjne powinni otrzymywać wsparcie w postaci mieszkań socjalnych. Agnieszka Sikora: – Podstawą do ubiegania się o lokal socjalny jest trudna sytuacja życiowa. Rzeczywiście większość wychowanków może się starać o mieszkania po ukończeniu 18. roku życia. Ale nie każdy dostanie taki lokal. Niektórzy na przykład mieszkania czekają nawet około trzech-czterech lat.

Jak podkreśla prezeska fundacji, w Warszawie i tak nie jest najgorzej, ale dobra sytuacja nie dotyczy wszystkich dzielnic. Młodzież opuszcza

dych ludzi. Przeznaczone są dla osób w wieku 18-25 lat, potrzebujących kompleksowej pomocy w procesie usamodzielnienia się, terapii (często leczenia uzależnień lub terapii dla DDA – dorosłych dzieci alkoholików) albo wsparcia w poszukiwaniu pracy. Jednym z najważniejszych punktów regulaminu jest abstynencja alkoholowa i narkotykowa.

Mieszkańcy korzystają z pomocy specjalistów zatrudnionych w fundacji – psychologa, terapeuty uzależnień, prawnika i doradcy zawodowego. W miarę potrzeb fundacja kieruje ich także do innych organizacji i instytucji. Młodzież może liczyć też na wsparcie opiekuna mieszkania, który jest w stałym kontakcie z podopiecznymi

Druga szansa na dorosłość

Dopóki człowiek nie trafi na ulicę, nie docenia takich rzeczy jak łóżko czy bieżąca woda – mówią młodzi bezdomni

Są wreszcie ci, o których wciąż mówi się mało – bezdomna młodzież.

– Widzicie mnie teraz ładnie ubranego, w marynarce, włosy przeczesane. Ale wyobraźcie sobie mnie tysego, w dresach, stojącego w bramie, przeklinającego. Nikt z was nie chciałby mnie wtedy spotkać. Bo nie widzicie drugiej strony – rodzice tego chłopaka w bramie są alkoholikami. Nie ma żadnego wsparcia ze strony bliskich, nie potrafi sam stanąć na nogi. Jaki przykład dała mu rodzina? Chyba tylko taki, że trzeba się napić, żeby było fajnie. I tak to się zapętlą – mówi Damian, podopieczny Po DRUGIE.

Fundacja, w której znalazł wsparcie, funkcjonuje od ośmiu lat. – Większość naszych podopiecznych to byli wychowankowie placówek opiekuńczo-wychowawczych oraz resocjalizacyjnych. Bardzo często gdy opuszczają placówkę, nie mają nic. Brakuje im nie tylko dachu nad głową, ale także bliskich, wspierających osób – tłumaczy współzałożycielka i prezeska Agnieszka Sikora.

placówki zwykle w wieku 18-25 lat, zależy to od typu placówki i tego, czy dana osoba uczy się w trybie dziennym. Zdarza się jednak, że młodzi łamią regulamin (głównie chodzi o picie alkoholu i inne używki) i z placówek zwalnia się ich wcześniej. Czasem pełnoletni wychowankowie sami podejmują decyzję o odejściu, mimo że wciąż mogliby tam mieszkać.

Jednak młodzi ludzie stają się bezdomni nie tylko ze względu na brak mieszkań socjalnych dla „wychowanków państwa”. Problem dotyczy również osób do niedawna mieszkających w rodzinach – szczególnie takich, gdzie pojawiły się przemoc czy alkoholizm, niezapewniających dzieciom odpowiedniego wsparcia ani poczucia bezpieczeństwa.

Trening życia

Fundacja, dzięki współpracy m.in. z Urzędem m.st. Warszawy, prowadzi obecnie trzy mieszkania treningowe, w których przebywa dziesięcioro mło-



i pomaga im na co dzień organizować samodzielne życie.

– Młodzi ludzie dzwonią do nas o każdej porze – dodaje Agnieszka Sikora. – A te telefony są różne. Hitem był ten do jednej z naszych pedagogów, Weroniki Zaród – w mieszkaniu skończył się papier toaletowy. Młodzież oczekiwała, że pani Weronika wsiądzie w samochód i ten papier przywiezie. Ta anegdota może się wydawać zabawna, ale pokazuje, z jakimi problemami młodzież do nas trafia. Wydawałoby się, że pewnych rzeczy nauczyli się w swoich placówkach, jednak tak nie jest. Prawdą jest to, co mówił prof. Marek Konopczyński, że nie ma takiej możliwości, by człowieka wychowanego w instytucji nauczyć tego, co jest poza nią. To zawsze sztuczne środowisko.

Damian: – Większość osób w naszym wieku, jeśli coś się dzieje, dzwoni do mamy czy taty. My dzwoniemy do pani Weroniki, pani Agnieszki, pana Wiktora (Wiktor Sierociński w fundacji zajmuje się m.in. zakwaterowaniem interwencyjnym), pana Irka (Ireneusza Stawińskiego, współzałożyciela fundacji, od pięciu lat opiekuna mieszkania treningowego). Fundacja daje nam takie poczucie miłości i bezpieczeństwa, jakie powinniśmy uzyskać w rodzinnych domach.

Prócz codziennej terapii podopieczni mają zajęcia teatralne, a także – raz w tygodniu – zajęcia z rysunku i relaksacji. – Nie wierzyłam, że nasi chłopcy będą siedzieć i rysować – opowiada Agnieszka Sikora.

kie życie, jakie my prowadzimy – żeby zobaczyli, że ze znajomymi można pograć w piłkę nożną, w ping-ponga, zorganizować grilla.

– Znalazłem się tu z powodu zaniedbania rodzinnego – wyjaśnia Patryk, inny podopieczny fundacji. – Mama zostawiła mnie, gdy miałem trzy miesiące, tata – gdy miałem osiem lat. Od tamtej pory wciąż borykałem się z myślą, dlaczego mnie zostawili. Trafiłem do dziadków, ale potem babcia zachorowała na raka. W fundacji znalazłem w końcu azyl. Wcześniej byłem bardzo wycofany, nie kontaktowałem się z nikim. Po dłuższych rozmowach, m.in. z panią Agnieszką i panią Weroniką, po wielu trudach przebywania w mieszkaniu

do pracy i wszystko będzie dobrze. Ale tak się nie stało. Oni myślą w ten sposób: skoro jest mieszkanie, można zorganizować imprezkę, zaprosić znajomych, a nawet przenocować kolegę czy koleżankę w kryzysie. Raz znaleźliśmy kogoś leżącego w tapczanie, w środku. Okazało się, że bez naszej wiedzy przebywał w mieszkaniu treningowym już dwa miesiące. Gdy podopiecznych odwiedzał kurator czy asystent rodziny – bo przez moment były tam i dzieci – ten chłopak wchodził do tapczanu i leżał w nim nawet przez dwie godziny. Z kolei nasz Damian, po tym jak znów złamał regulamin, siedział kiedyś schowany pod zlewem. Mamy dużo takich sytuacji – choć na szczęście coraz mniej.



W trzech mieszkaniach treningowych prowadzonych przez fundację przebywa dziesięcioro młodych ludzi.

– Chyba nikt z nas nie wierzył, dopóki nie zobaczyliśmy, że oni siadają przy stole, słuchają jakichś japońskich fletów, relaksują się i rysują. I próbują poprzez te zajęcia dotrzeć do tego, co w nich dobre. Odbudować, przypomnieć sobie pozytywne chwile w ich życiu. Bo trzeba mieć świadomość, że większość naszej młodzieży ma za sobą traumatyczne i bardzo złożone doświadczenia. Wszystko, co zostało dla nich zrobione, okazało się niewystarczające.

– Zachęcamy ich też do udziału w akcjach wolontariackich – mówi Wiktor Sierociński. – Chcę, by młodzi ludzie, mający mało czasu na to, aby pobiegać czy uprawiać inne sporty, także mieli do dostępu do tych aktywności. Próbujemy ich wciągnąć w ta-

treningowym jestem bardziej pewny siebie, otwarty. Za to jestem wdzięczny fundacji. Ale wkładam też coś ze swojej strony w jej życie.

Agnieszka Sikora dodaje: – Dzisiaj Patryk robi u nas grafiki. Na razie takie drobne, wewnętrzne, ale będziemy to rozwijać. Damian natomiast próbuje sił w przedsięwzięciach artystycznych. Jednak dopóki nie przejdą procesu terapii, nie jesteśmy w stanie ruszyć z nimi z miejsca.

Uzależnienia

Szefowa Po DRUGIE przyznaje, że gdy powstało pierwsze mieszkanie treningowe, była przekonana, że to rozwiąże większość problemów. – Sądziłyśmy, że młodzi ludzie pój-
▶

Pracownicy fundacji przyznają, że największym problemem są uzależnienia, które dotyczą nawet 80% podopiecznych. Ireneusz Stawiński: – W ciągu pięciu lat istnienia mieszkania treningowego dla chłopców przevinęło się przez nie ok. 40 osób. Obowiązuje w nim abstynencja alkoholowa i narkotykowa i głównie dlatego nie są w stanie zagrazać tam miejsca.

– To nie tylko alkohol, ale również dopalacze – dorzuca Agnieszka Sikora. – Niebywałe, jak poniszczono głowy mają ci młodzi ludzie. Coraz więcej trafia też do nas osób z zaburzeniami psychicznymi i niepełnosprawnością intelektualną.

W większości wypadków udaje się umieścić podopiecznych na terapii. W tym miesiącu będzie w niej

► uczestniczyć – lub już uczestniczy – sześcioro młodych ludzi, których wspiera fundacja. Problem jednak z tymi, którzy muszą przejść jednocześnie detoks narkotykowy i alkoholowy. Nie zawsze bowiem udaje się szybko znaleźć dla nich miejsce w szpitalu, na oddziałach wyspecjalizowanych w takim podwójnym leczeniu, działających w ramach NFZ.

Historia Gutka, kolejnego podopiecznego fundacji, jest przykładem, że bezdomna młodzież to nie tylko wychowankowie placówek czy dzieci alkoholików. – Dwa lata żyłem na ulicy. Mieszkałem wszędzie: w melinach, piwnicach, na strychach, dworcach czy w parkach. Wcześniej zostałem wyrzucony z domu. Miałem 20 lat. Właśnie wyszedłem ze szpitala psychiatrycznego, w którym spędziłem rok. Moi rodzice nie nadużywali alkoholu, pracowali. Zawsze zastała nas ta maska „dobrego domu”, ale ja nie czułem się w nim szczęśliwy. Rodzice nigdy mnie nie rozumieli, nie cieszyli się z moich osiągnięć. Byłem traktowany jak człowiek błąd, ktoś, kto już urodził się winny. Oskarżali mnie wciąż o wszystko – nawet jeśli czegoś nie zrobiłem. By o tym nie myśleć, zacząłem brać dopalacze. Byłem nieufny, agresywny i nadpobudliwy. Po czasie spędzonym na ulicy, dzięki koledze, z którym się wspierałem, trafiłem najpierw na Żytnią (Ośrodek Tylko dla osób w kryzysie bezdomności prowadzony przez Caritas Archidiecezji Warszawskiej – przyp. red.). Gdy tam pani obiecała mi, że jeszcze tego samego dnia dostanę dach nad głową i pomoc, nie mogłem w to uwierzyć. Musiałem tylko pojechać na rzecz. Ale potem zacząłem się zastanawiać: po co będę tam jechał, skoro mogę iść się napić? Pomyślałem, że znów ktoś chce mnie oszukać. Ale coś mnie tknęło i jednak spróbowałem. Przyjechałem. Ośrodek na Żytniej skierował mnie do Fundacji Po DRUGIE, bo tu jest oferta dla młodych ludzi. Początki były ciężkie, zamieszkałem najpierw w hostelu, a potem przenieśli mnie do mieszkania treningowego. Fundacja dała mi zrozumienie, zaufanie, miłość i rodzinne ciepło. Zgłupiałem zupełnie. Od dziecka nie miałem tego w rodzinnym domu.

Agnieszka Sikora: – Gutek musi iść na terapię. Jeśli nie pójdzie, zginie. Ale on wymaga ośrodka dla uzależ-

nionych ze współwystępującymi zaburzeniami psychicznymi). Pierwszy termin spotkania z terapeutą w Wyższowie to 15 sierpnia. Dziś nie mamy go gdzie umieścić. A nie wiadomo, jak długo on będzie miał tę gotowość, by się leczyć. Ten czas może decydować o jego życiu.

Kolejka

Uzależnienia to niejedyny problem. Kolejka do mieszkań treningowych rośnie. W czerwcu chętnych może być więcej ze względu na koniec roku szkolnego i opuszczanie przez młodych ludzi placówek. Prócz mieszkań treningowych Po DRUGIE prowadzi więc system zakwaterowania interwencyjnego w hostelach pracowniczych. – Wymyśliłiśmy to rozwiązanie, ponieważ uznaliśmy, że hostel będzie lepszy niż schronisko dla bezdomnych – wyjaśnia Agnieszka Sikora. – Nie dlatego, że nie doceniamy wysiłków kolegów pracujących w tych placówkach, ale by zapobiec sytuacji, w której młodzi ludzie wpadają w kolejny system – pracy z osobami w kryzysie bezdomności. Młodzież źle adaptuje się w towarzystwie dorosłych i zaczyna przyjmować model funkcjonowania osoby w kryzysie bezdomności, a z czasem trudne staje się wyrwanie z niego. Mówimy o ludziach, którzy mają po 18-20 lat. Kiedy widzę w niektórych noclegowniach sale, gdzie na podłodze materac leży obok materaca, pęka mi serce. Wiem, że nie położyłabym tam mojego syna, gdyby z jakiegoś powodu znalazł się w kryzysie. Ale co mogę zrobić? Muszę ich tam odsłać, bo inaczej znów trafią na ulicę – ubolewa.

Miejsca w hostelach udostępniane są dzięki m.st. Warszawa i Ministerstwu Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej oraz samorządowi województwa mazowieckiego – w ten sposób fundacja może kierować ofertę również do osób spoza Warszawy. Miejsc wciąż jednak jest zbyt mało.

Fundacji marzy się hostel tylko dla jej podopiecznych, gdzie byłaby możliwość stałego monitorowania młodych ludzi, przygotowywania ich do samodzielności podobnie jak w mieszkaniu treningowym, sprawdzenia, czy są w stanie wytrwać w trzeźwości.

Agnieszka Sikora tłumaczy, że trudno nawet oszacować, ile tych miejsc potrzeba: – W tej chwili systemowo

nikt nie sprawdza, czy osób zwolnionych z placówek wychowawczych, które wróciły do domu rodzinnego, nie spotyka tam kolejna katastrofa.

Wiktor Sierociński: – Kiedyś wyobrażałem sobie, że każda z tych instytucji ma tak wypracowany system wychowawczy, że nie pozwala na to, by po opuszczeniu placówki młodzież lądowała na ulicy. Niektórym jednak z tego systemu udaje się uciec. Wielu jest po prostu wypuszczanych do domu, ale wszyscy wiemy, że te domy to tragedia. Dzieci opowiadają nam później, że tam wracają, mówią tylko „Cześć, mamo” i wychodzą. Bo nie mają po co tam w ogóle wchodzić.

Długi i praca

Ogromnym problemem są długi podopiecznych. Agnieszka Sikora: – 80% spraw i zagadnień, które musimy poruszyć z zakresu prawa, to zadłużenia. Wynikają one z różnych rzeczy – od chwilówek po nieopłacone mandaty i kupione na raty telefony. Zdarza się po 15 tys. zł długu. Niektórzy myślą, że ich zobowiązania po jakimś czasie się anulują. Staramy się więc uczyć ich odpowiedzialności. Bywa, że nie chcą podejmować legalnej pracy. Wolą pracować na czarno, żeby uniknąć zajęć komorniczych. Tłumaczymy im, że to nic nie da, bo któregoś dnia mogą trafić za te długi do więzienia. Wyjaśniamy, że komornik nie zabiera całej pensji i dadzą sobie radę, szczególnie że mają zakwaterowanie i naszą pomoc. Piszemy do komorników czy Krajowego Rejestru Długów, bo zdarza się, że musimy sami sprawdzać, ile wynosi zadłużenie. Potem informujemy odpowiednie instytucje o sytuacji podopiecznych i piszemy wnioski o rozłożenie spłaty zobowiązań na raty.

Prócz mieszkań treningowych i terapii fundacja zapewnia wsparcie doradcy zawodowego. – Stawiamy na to, żeby młodzież się aktywizowała, brała sprawy w swoje ręce – kontynuuje Agnieszka Sikora. – Jest to oczywiście bardzo skomplikowane, bo trudno od 18-latk, nawet takiego, który wychował się w „zwykłej” rodzinie, oczekiwać, że po prostu pójdzie do pracy, utrzyma ją, a jeszcze przy okazji będzie się uczył. Mimo wszystko staramy się uświadamiać młodym ludziom, że nie muszą być klientami pomocy społecznej.

Podopieczni fundacji najczęściej pracują w ochronie, sklepach i gastronomii. Zwykle mają wykształcenie gimnazjalne. – Trzeba pamiętać, że ta grupa młodzieży, z którą pracujemy, to często ludzie z bardzo traumatycznymi doświadczeniami, powodującymi różnego rodzaju ograniczenia – zwraca uwagę Agnieszka Sikora. – Co więcej, wielu wychowanków placówek resocjalizacyjnych nie ma możliwości nauki innego zawodu niż fryzjerstwo czy gastronomia, bo tylko taką ofertę mają ich placówki.

Kuba, podopieczny fundacji: – U mnie w domu mama najbardziej opiekowała się siostrą. Tata pił, awanturował się. Jeden z dwóch starszych

Nie mam z nim kontaktu, odkąd trafiłem na ulicę. Pamiętam, że stało się to w czwartek. Już tego dnia nic nie jadłem. I potem dopiero w poniedziałek udało mi się coś zjeść. Jeździłem nocnymi autobusami, wybierając takie, które miały dłuższe trasy. Miałem ze sobą litr wody. Potem dwukrotnie mnie napadnięto. Uznałem, że mam dość. Nie miałem pojęcia, dokąd pójść. Stwierdziłem, że pojedę do domu po zmarłych dziadkach. To był letniskowy domek poza Warszawą, jednak ja przebywałem tam również zimą. W marcu trafiłem do fundacji. Mama mieszkała w pobliżu z partnerem, ale on nie zgodził się, bym u nich nocował. Martwiła się o mnie,

po kilka godzin, to jasne, że nie pójdzie do pracy. My staramy się pomóc, by w mieszkaniu treningowym były jedzenie i chemia. Z ośrodka pomocy społecznej młodzi ludzie mogą dostać maksymalnie 500 zł – w zależności od placówki. I to wszystko. Jak mamy mu pomóc? Musimy bardzo często tatać różne dziury, pozyskiwać sponsorów, ludzi dobrej woli. Pracownicy firmy Dell raz w tygodniu przynoszą nam posiłki. Ostatnio byłem na gali Top Woman in Real Estate, na której wręczano nagrody kobietom pracującym w branży nieruchomości. Czekafam do końca, mimo zmęczenia, by i stamtąd przynieść coś do zjedzenia dla naszej młodzieży. To był wspaniały spędzony czas, ale wróciłam do domu o godz. 4 rano.

Prezeska fundacji podkreśla jednak, że jej podopieczni również ciężko pracują, czasem po 12 godzin. – Wierzę, że kiedy młodzi ludzie wejdą w rytm codziennej pracy, już z tej drogi nie zawrócą. Oczywiście nadal potrzebne jest im wsparcie, często też terapia. Ale wiem, że wychodzenie z ich sytuacji jest tak trudne, że kiedy już stają na pewnym poziomie, porzucenie wszystkiego, co osiągnęli, jest o wiele mniej prawdopodobne.

Damian: – Fundacja pozwoliła mi się rozwinąć, zobaczyć, że można być innym człowiekiem. Rodzinny dom i wsparcie to podstawa normalnego funkcjonowania. To jest jednak coś, czego nam brakuje. Kilka razy, z powodu złamania regulaminu, musiałem opuścić mieszkanie treningowe, by potem wrócić na terapię. Gdyby nie fundacja, pewnie piłbym teraz w bramie. Myślę, że warto odpowiedzieć sobie na pytanie, jak można pomóc, zamiast unikać tego tematu.

Anna Brzeska

PS Podczas kolejnej rozmowy z panią Agnieszką Sikorą okazało się, że Gutek trafił na pół roku do zakładu karnego. Fundacja zorganizowała dla niego terapię, ale aresztowano go, zanim ją rozpoczął. – Gdyby wcześniej udało się znaleźć dla niego miejsce, może dałoby się jeszcze negocjować z sądem, by odbył leczenie – mówi Agnieszka Sikora. – Zapewne wróci do nas za pół roku. Tymczasem będziemy się starać, by odbywał terapię w więzieniu.



Kadra i młodzież związana z fundacją Po DRUGIE. W żółtej sukience – prezes Agnieszka Sikora.

braci wyprowadził się z domu, drugi mało się interesował tym, co się działo. Zostałem ja. Zawsze byłem dojrzalszy, niż wskazywałby mój wiek. Tylko ja miałem jakiś wpływ na ojca alkoholika, starałem się opiekować mamą i siostrą. Raz nie poszedłem do szkoły, potem drugi, w końcu zrobił się z tego cały tydzień. I tak zostało. Miałem wtedy 15 lat. Przez cztery lata praktycznie nie wychodziłem z domu. Trwało to do czasu, gdy nasza rodzina została eksmitowana z mieszkania. Tylko mama pracowała i nie dała rady za nie płacić. Siostra skończyła wtedy 18 lat, ja miałem prawie 20. Siostra zamieszkała u znajomych, mama z nowym partnerem. Ojciec już wcześniej został eksmitowany, wynajął sobie pokój.

jednak nic nie mogła zrobić. W końcu pomogła mi siostra, która powiedziała mamie o fundacji. Mama umówiła mnie na rozmowę z panią Agnieszką. Jestem tu już dwa miesiące, w tej chwili w mieszkaniu treningowym. Z regulaminem nie mam problemu, nie jestem uzależniony. Myślę, że gdy skończę terapię, wrócę do szkoły już od września. Wszystko zawdzięczam fundacji. Dopóki człowiek nie trafi na ulicę, nie docenia takich rzeczy jak łóżko czy bieżąca woda.

Pieniądze

Agnieszka Sikora: – Brakuje nam wsparcia dla takich osób jak Kuba. Jeżeli on jest codziennie na terapii

Kto rządzi, ten błądzi?

Najważniejszą sprawą jest dobra prognoza, opisanie tego, co będzie się działo

Rozmawia Robert Walenciak

„Delirium władzy. Kto rządzi, ten błądzi”. Rzadko zdarza się tak przystający do treści tytuł. Czytałem tę książkę z rosnącą wściekłością. Przewijają się przez nią cyniczni władcy, psychopaci, ludzie bez skrupułów, zdemoralizowani rządzeniem. Taki jest świat? Taka jest władza?

– To władza zmienia ludzi, a nie ludzie zmieniają władzę. Gdy Kaddafi zaczynał swoją rewolucję, był normalnym człowiekiem. Gdy Saddam Husajn zaczynał karierę polityczną, nikt nie przypuszczał, że tkwią w nim jakieś załazki psychopaty. Ale gdy mówi pan, że lekturze książki towarzyszy rosnąca wściekłość, to chyba rodzaj najlepszej skrótovej recenzji. Choć nie taki był mój zamiar. Starałem się mieć na tyle dystans do opisywanego problemu, żeby nie wpaść w emocje. Zwłaszcza że koniec tej książki dotyczy spraw polskich.

„Nasza chata z kraja” – też pesymistyczny rozdział.

– Kilka fragmentów musiało się odnieść do Polski, dlatego że Polska znalazła się na niebezpiecznej granicy, która oddziela nas od Trzeciego Świata. Czyli czegoś takiego, co nie było ani kapitalistyczne, ani socjalistyczne, tylko było trzecią drogą. Ale dzisiaj ten termin ma inne znaczenie, mianowicie to jest taki świat, gdzie demokracja jest demokratą. Wy-myśliliśmy ten termin na określenie władzy w Pakistanie. A okazuje się, że gdyby poszukać w rozmaitych miejscach w Europie, można by go dopasować do niektórych państw Bałkanów czy do obszaru byłego Związku Radzieckiego. Także do niektórych posunięć naszych polityków. **Jednocześnie opisuje pan ludzi, których ta władza wciąga i demo-**

ralizuje. Przykład Turcji – Recep Tayyip Erdoğan, najpierw burmistrz Sztambułu, a teraz polityk grający poza granicami tego, co możemy zaakceptować.

– Pan prezydent Erdoğan, kiedy był 18-letnim młodzieńcem, miewał do czynienia z tureckim wymiarem sprawiedliwości, gdyż z nadmierną domagał się przełamania zasady sekularyzacji państwa. Umieścił w swoich utworach literacko-publicystycznych trochę Koranu i okazało się, że stanowi to naruszenie zasad sekularystycznych, które gwarantuje konstytucja. Zresztą konstytucja okazała się później dla niego dosyć elastycznym materiałem, który można ugniać według własnego widzimisię.

Jak to się dzieje, że polityk zdobywa władzę, a potem, krok po kroku, odchodzi od przyjętych zasad?

– Każdy polityk, niezależnie od tego, jakiej jest orientacji, stosuje – czytał czy nie czytał – „Państwo i rewolucję” Lenina. To taka broszurka, w której dokładnie wyjaśniono, co należy zrobić po zdobyciu władzy. Mianowicie należy rozbić stary aparat władzy.

I biorą władzę, i rozbijają...

– Teraz by się przydało napisać pamflet na książkę Lenina, pod tytułem „Chamstwo i rewolucja”. Co by oznaczało, że nie z państwem jako aparatem władzy mamy do czynienia, ale że państwo poszli na polowanie. Alternatywą dla państwa wychodzącego z dworu na polowanie jest zaś chamstwo, czyli coś, co na początku w języku polskim było nie wartościujące, lecz określające. A że z tego się zrobiło chamstwo jako zjawisko społeczne, to myślę, że taką książkę ktoś powinien napisać.

Czy istnieje jakaś granica, która potrafi zatrzymać tych wszystkich tyranów bądź kandydatów na



KRZYSZTOF MROZIEWICZ

– dziennikarz, były dyplomata, wykładowca uniwersytecki

tyranów? Odnoszę wrażenie, że władza posuwa się tak daleko, aż napotka opór.

– Przykładem odwrotnym jest postawa gen. de Gaulle’a. Obalili go studenci, którzy zaczęli protesty z tego powodu, że dykcja Sorbony nie pozwalała mieszkać dziewczynom i chłopakom w jednym akademiku. To był powód do demonstracji na skalę państwową! De Gaulle wyjechał wtedy do zięcia, który był dowódcą wojsk francuskich stacjonujących w strefie okupacyjnej w Niemczech Zachodnich. I podał się do dymisji! Uznał, że po prostu dalej kroczyć tą drogą się nie da.

Wielki mąż stanu...

– Zapisał się w historii jako ten, który przekształcił państwo kolaborantów w jedno z mocarstw zwycięskiej koalicji, bo tak przecież Francja zakończyła II wojnę światową.

Jest różnica między nami, Europejczykami, a ludźmi z innych kontynentów, jeśli chodzi o sprawowanie władzy?

– Lubimy powtarzać jak mantrę, że istnieje coś takiego jak okrucieństwo Wschodu. Tylko że mówimy to z kontynentu, który przez stulecia był jedną wielką rzeźnią. Że przypomnę wojnę 30-letnią, rewolucję francuską, nie mówiąc o ostatnich wyczynach totalitaryzmów. Musimy sobie w Polsce uświadomić, że jesteśmy pierwszym od 400 lat pokoleniem, które nie musiało wkładać munduru, stawać w okopach pod Warszawą, bronić jej przed wojskami nieważne czyimi... Młodszym ode mnie o pokolenie czy dwa wydaje się, że tak zawsze było i tak musi być. A było dokładnie odwrotnie. Nawiasem mówiąc, w krajach latynoamerykańskich, również azjatyckich, sytuacja jest podobna.

Weźmy Chiny – po tylu latach wojen, a potem szaleństw władzy – mogą się rozwijać.

– Chiny zawsze były wielkim mocarstwem gospodarczym, tylko my w Europie o tym nie wiedzieliśmy. Że np. w XVIII w. 70% światowego PKB pochodziło z Chin.

W rozdziale o Chinach pisze pan, dlaczego tamto państwo upadło – i w ogóle dlaczego upadają mocarstwa. Z powodu degeneracji elit. Jeśli chodzi o Chiny – elity zajęły się konsumpcją opium.

– A kupcy Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii, którzy to opium wozili z Indii, zachowywali się tak jak diler pod szkołą podstawową w Warszawie.

Spójrzmy w przyszłość – czy będzie czasem mniej lub bardziej udanych władców, idących od konfliktu do konfliktu, bo najważniejsza będzie dla nich ich władza? Czy z tej spirali wrogości jest jakieś wyjście?

– W dzisiejszym stanie rzeczy, technik komputerowych, wciąż spływających informacji, których nie ma czasu weryfikować, bo za chwilę mamy lawinę następnych, dla przywódcy najważniejszą sprawą jest dobra prognoza, opisanie tego, co będzie się działo. I to jest zadanie dyplomatów. Mnie koledzy ambasadorowie w Delhi pytali: Czym się różni to, co teraz robisz, od tego, co robiłeś jako korespondent? Zastanowiłem się więc i doszedłem do wniosku, że niczym to się nie różni.

Józef Winiewicz, były wiceminister spraw zagranicznych, a przed wojną dziennikarz, mówi, że różnica polega na tym, że dziennikarz pisze artykuł dla tysięcy ludzi, a dyplomata dla kilku.

– Dokładnie to chciałem powiedzieć. Poza tym, jak mówił Melchior Wańkowicz, dziennikarz musi umieć podsłuchiwać pod drzwiami, natomiast dyplomata często jest za tymi drzwiami. I wie, że tam nic takiego się nie dzieje. Ale nie może tego głośno powiedzieć, bo po co bytaby wtedy dyplomacja?

Ale niezależnie od tego, po której stronie drzwi się jest, trzeba napisać...

– Rzecz podstawowa: bez czytania nie ma pisania. A poza tym jeżeli masz dobrą wiedzę backgroundową na temat miejsca, w którym akurat coś się stało, potrafisz ocenić, czy ci, co właśnie mówią na ten temat w telewizji, wypowiadają się do rzeczy, czy nie. Czy potrafią wyjaśnić,

To władza zmienia ludzi, a nie ludzie zmieniają władzę.

dlatego tak się stało i jakie mogą być skutki. Dziś dziennikarstwo internetowe może być bardzo szybkie, każdy może być dziennikarzem, czyli w gruncie rzeczy nikt nim nie jest. Każdy może przekazać dowolną informację bez podawania źródła, bez stosowania tych wszystkich zasad, które jeszcze nie tak dawno obowiązywały – że trzeba wiedzieć, kto to zrobił, kiedy to się stało, gdzie to się stało, kto to widział... Ja swoich studentów pytałem, jaki jest początek Biblii. I wszyscy powoływali się na Ewangelię wg. św. Jana, że na początku było Słowo. Otóż początek Biblii jest wzorem depeszy reuterowskiej. Na początku Pan Bóg stworzył niebo i ziemię... Kto zrobił? Co zrobił? Kiedy zrobił? Kto to widział? Nikt nie widział, bo jeszcze wtedy nie było nikogo. **Czyli i dziennikarz, i dyplomata muszą napisać, co się dzieje i co będzie się działo.**

– Trudną sprawą jest odpowiedź na pytanie, co będzie. Na przykład mój kolega z PAP, Eugeniusz Guz, który był

korespondentem w Niemczech, potrafił przewidzieć, kto wygra wybory, kto gdzie wyjedzie... Ale do tego potrzebna jest dokładna znajomość i tego, co się dzieje tam teraz, i tego, co się działo 200 lat temu. W związku z tym na konkretne pytanie jest tylko jedna odpowiedź – jeżeli coś jest możliwe, to się stanie. Wobec tego powinniśmy zacząć się zastanawiać, co zrobić, żeby to, co ma się stać, nie było możliwe. I to już jest kwestia nie prognozowania przyszłości, tylko publicystyki kierowanej do elit władzy, które muszą wiedzieć, że jeżeli nie zmieni się np. dymu z komina na coś ożywczego, to klęski żywiołowe będą się powtarzały co 15 minut.

Więc to kwestia elit władzy powoduje, że wpadamy z pułapki w pułapkę?

– Niestety, problem polega na tym, że każda władza zaczyna od nowa, od początku. Rozwala, jak u Lenina, stary aparat, wprowadza swoich ludzi. I to nie jest tak jak w starej

brytyjskiej administracji, która co prawda jest biurokracją nie do wytrzymania, ale tam, kiedy się zmienia minister, który wcale nie musi być fachowcem, to nic się nie dzieje, administracja zarządza, pracuje jak dobrze naoliwiona maszyna. Gdy państwo tak działa, to wtedy jest dojrzła demokracja. Druga rzecz, biorąc pod uwagę sytuację w Polsce – chcę przypomnieć cztery wolności Franklina Delano Roosevelta.

Wolność słowa, wolność wyznania, wolność od niedostatku i wolność od strachu.

– Kluczowym elementem tej czwartej wolności było przekonanie, że większość musi bronić mniejszości. Że musi dbać o to, by społeczeństwo, grupy społeczne, zwłaszcza te mniejszościowe, nie bały się własnego państwa.

Jaka robota jest fajniejsza – korespondenta czy dyplomaty?

– Korespondenta, niewątpliwie. Tylko że jest gorzej płatna.

Dlaczego korespondenta? Musi jeździć, nie ma czasu na odpoczynek, nie ma immunitetu, nie chodzi na przyjęcia...

– Gdyby pan musiał być trzy razy dziennie na bankiecie, ze szklanką



► whisky w rękę, po tygodniu by pan zrozumiał, że to nie do wytrzymania. Korespondent... Czytam teraz reportaże hiszpańskie Ksawerego Pruszyńskiego. Z wojny domowej. A on przecież był przede wszystkim dyplomatą. No i to on spowodował, że Izrael w ogóle powstał. Mało kto wie, że Izrael zawdzięcza powstanie Ksaweremu Pruszyńskiemu i że jak przyjeżdża tu premier Netanjahu, to zamiast mu to powiedzieć, tłumaczymy się nie wiadomo z czego.

Ja też tego nie wiedziałem.

– To powiem, jak było z Izraelem i Pruszyńskim, bo to jest też odpowiedź na pytanie, co ciekawsze – dziennikarstwo czy dyplomacja. Otóż przed wojną Pruszyński jeździł również do Palestyny, był tam parę miesięcy, opisywał ją, myśląc nie tylko o tym, o czym myślał Rothschild, żeby kupić ziemię od Arabów i osadzić tam Żydów. Pisał także w reportażach analizy dotyczące tego, co się dzieje w Palestynie i co może być w przyszłości, jeśli Żydzi się tam przeniosą. Przyszedł rok 1945 i pierwszym am-

basadorem nowej Polski w Stanach Zjednoczonych został Oskar Lange, który był wcześniej naukowcem w Stanach, gdzie zyskał światową rangę jako specjalista od teorii ekonomii socjalizmu. Lange znał Pruszyńskiego jeszcze z Krakowa, z Uniwersytetu Jagiellońskiego, i znał jego reportaże z Palestyny. Wezwał go do ambasady i zaproponował mu, żeby wszedł do komisji Narodów Zjednoczonych, która ma się zajmować podziałem Palestyny. Pruszyński wszedł do tej komisji i okazało się, że jego kompetencje są takie, że natychmiast wybrano go na jej przewodniczącego. Jako przewodniczący złożył po paru miesiącach raport, w którym dowodził, że trzeba stworzyć dwa państwa – Izrael i Palestynę. Stany Zjednoczone to później zaakceptowały i zaproponowały na forum ONZ, żeby to się stało. W związku z tym rola Pruszyńskiego jest tutaj niewątpliwa.

Jako dziennikarza czy jako dyplomaty? Co było ważniejsze? Praca reportera, który opisał Palestynę i problem żydowski, czy praca

dyplomaty, który negocjował kształt nowego państwa i jego granice?

– Gdy się czyta jego „Palestynę po raz trzeci”, ma się wrażenie, że jest to pisane dzisiaj, przez dobrego ambasadora w Tel Awiwie. Czyli on już wtedy pisał o przyszłości. Tak samo jak jego kolejna książka reporterska „Sarajewo 1914 – Szanghaj 1932 – Gdańsk 1937” też jest pisana o przyszłości. A jeśli chodzi o to pisanie o przyszłości, powiem, jak to robią ambasadorowie. Otóż szwedzki ambasador został wysłany w latach 30. do Kwirynału, tam wręczył listy uwierzytelniające i został akredytowany we Włoszech i w Watykanie. Przez parę lat nic nie pisał, nie wysłał ani jednej depeszy. Wreszcie centrala w Sztokholmie zapytała go, dlaczego nic nie pisze. A on odpowiedział: „Nic nie piszę, ponieważ nic ważnego się nie dzieje”. Po czym ni stąd, ni zowąd w kwietniu 1939 r. przyszła do Sztokholmu jego depesza z Rzymu: „II wojna światowa wybuchnie około 1 września 1939 r.”...

Robert Walenciak



W bieżącym numerze także:

- Georges Lefeuve
Kto wygra wojnę w Afganistanie?
- Vincent Sizaire
Niebezpieczne bezpieczeństwo
- Sylvie Laurent
„Gdy na nich patrzę, widzę nas samych”
- Gwenaëlle Lenoir
Śladami George’a Orwella
- Katarzyna Czaczoł, Michał Pospiszyl
Romantyczny antykapitalizm

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (12 numerów): 82 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Kredyt Bank IV Oddział w Warszawie
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Jacek Kuroń – tak, brakuje mi go, lubiłem jego tubalną, wszechogarniającą empatię i polityczny instynkt, witalną moc inspirowania innych i umiejętność uruchamiania ich energii. Jacek od 15 lat nie żyje. Jan Karski – zrobił naprawdę wiele dla ratowania polskich, i nie tylko, Żydów w czasie II wojny światowej, sporządził raporty z wypraw do getta – innego, osobnego świata za murem, tuż obok ulic, gdzie tętniło polskie życie. Wcześniej jako urzędnik państwowy przygotowywał koncepcyjnie wysiedlenie Żydów z Polski. Właśnie powstał skwerek jego imienia w Paryżu.

Przywołałem akurat ich dwóch, żeby przez chwilę się zastanowić, po co nam ci wielcy zmarli, do czego nam ich życie w naszym życiu służy, w czym ma nam pomóc, co powiedzieć, czego sami nie wiemy, czego nauczyć, co pozostaje poza naszym doświadczeniem edukacyjnym. Nie wchodzę (no, może trochę wdepnę) w pompatozno-triumfalno-rządowo-parlamentarne zaklinanie rzeczywistości i uczynienie roku 2020 rokiem Jana Pawła II. Wedle

Kiedy spoglądam na tych przypadkowych trzech mężczyzn, którzy dla bardzo różnych ludzi są ważni, a nawet dla wielu są i mogą być wskazywani jako wzorzec, czuję niepokój. Że to sami mężczyźni. Że głątwa o Wojtyłę jest całkowitym pustostanem, że Kuroń zostawił po sobie wystarczająco dużo, by wiedzieć, co robić, że Karski w czytelny sposób niósł w sobie tragiczną sprzeczność i piękno wywyżnienia się z niej. Że tak naprawdę odwracanie się w poszukiwaniu wzorców nazbyt często przystania konieczność reagowania tu i teraz. To nie jest takie skomplikowane. Ale wolimy laurki, skwerki, lamenty, że ich nie ma, że niezastąpieni, że brakuje, że kto teraz, że jak to, że jak tamto, że ongiś to byli, a dzisiaj to nie ma.

I wtedy czytam o Pii Klemp, 35-letniej biologce z Niemiec, która jest kapitanem morskim i, jak się szacuje, podczas rejsów ratunkowych statkiem „luventa” uratowała prawie tysiąc osób tonących w Morzu Śródziemnym, na granicy Europy (tej Europy, w której JP II „uczył nas otwartości, wyrozumiałości, ale i odwagi w obronie wartości chrześcijańskich, na których

Zapomnijmy o pamięci

słów sejmowej uchwały, „Jego postawa, Jego nauczanie są głęboko wrośnięte w dzieje naszego narodu. Ojciec Święty nauczał, jak bardzo od uznania godności człowieka, od przestrzegania jego praw, od umiejętności dialogu i przebaczenia, od budowy ładu społecznego na prawdzie, wolności i sprawiedliwości, od szacunku dla każdego człowieka, od obrony każdego życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci, od poszanowania rodziny i naturalnej więzi międzyludzkiej, od budowania cywilizacji miłości, jak bardzo od tego wszystkiego zależą szanse społeczeństw i rozwój oraz pokój, zarówno wewnętrzny, jak i międzynarodowy”. I dalej: „Święty Jan Paweł II był człowiekiem pokoju i nadziei. Z niespotykaną pogodą i miłością, ale i niezwykłą siłą i pewnością wskazywał całemu światu, każdej wspólnocie, wszystkim ludziom, każdemu człowiekowi, jak życie czynić bardziej ludzkim. Uczył nas, że żadna wspólnota nie może przetrwać bez prawdziwej solidarności, ale także solidarność nie może istnieć bez miłości. Pamiętamy Jego słowa: Solidarność – to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemień, to brzemień niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu. Jedni przeciw drugim. I nigdy »brzemień« dźwigane przez człowieka samotnie. Bez pomocy drugich”. Brrr... Tylko czworo postów miało odwagę nie podnieść ręki podczas głosowania nad tą uchwałą. To Joanna Scheuring-Wielgus z partii Teraz!, Krzysztof Mieszkowski z Nowoczesnej oraz Krzysztof Brejza i Grzegorz Furgo z PO-KO. OKO.press (wszystkiego najlepszego z okazji trzecich urodzin!) zresztą podaje, że tych dwóch ostatnich miało jednak się pomylić...

oparta jest Polska i Europa”). Jej statek został w 2017 r. zajęty przez władze w porcie Lampedusa, a ona sama wraz z załogą stanie wkrótce przed włoskim sądem oskarżona o organizowanie nielegalnej imigracji. Grozi jej 20 lat więzienia plus kary finansowe za uratowanie każdego tonącego.

W Rzeszowie dwie sąsiadki: Irena Paterek i Irena Cymbalista, rozpoczęły – i wygląda na to, że wygrały – walkę o ocalenie 200-letniego dębu, który miał zostać ścięty z powodu rozbudowy drogi i budowy ronda. Obie kobiety przygotowały petycję do władz w jego sprawie i w potwornym upale przez wiele godzin czuwały pod dębem, zbierając podpisy pod petycją. Projekt zostanie zmieniony – dąb pozostanie.

Cóż takiego może powiedzieć Pii Klemp skwerek Karskiego w Paryżu? Ona wszystko wie. Ratowała i uratowała tysiące ludzkich istnień. Nasza Europa (och, jakże chrześcijańska, otwarta i nigdy jeden przeciw drugiemu) postawi ją przed sądem, kryminalizując ratowanie życia...

Panie Ireny zapewne musiały słyszeć albo czytać o Jacku Kuroniu – w tym konkretnym momencie ruszyły (siadając) do działania.

Jestem głęboko przekonany, że to na nie powinny być skierowane nasz wzrok, uwaga, szacunek. W przypadku Pii Klemp – potrzeba solidarnościowej walki o jej uniewinnienie i w dalszej perspektywie o zmianę polityki „twierdzy Europa”.

I co z tego, że za 50 lat, jeśli Europa i świat przeżyją, ktoś zaproponuje w Hamburgu skwerek Pii Klemp, a ktoś w Płocku posadzi mały dąb imienia dwóch Iren?

A co do tego wszystkiego ma papież z Polski? Nic, jak zwykle nic.

Prezydent na zakupach

Wielką niewiadomą są koszty, jakie Polska poniesie w wyniku zobowiązań zaciągniętych przez Andrzeja Dudę w czasie wizyty w USA

Longin Pastusiak

Prezydent Andrzej Duda, który lubi demonstrować sympatię do polityki amerykańskiej i przymilać się do niezbyt sympatycznego prezydenta Donalda Trumpa, od początku kadencji, przez trzy kolejne lata, bezskutecznie zabiegał o oficjalną wizytę w Waszyngtonie. Udało się dopiero 18 września 2018 r. Obaj prezydenci odbyli wówczas rozmowę w Gabinetcie Ovalnym Białego Domu, chociaż – jak można było zobaczyć – Donald Trump siedział wygodnie i rozmawiał z posłusznie stojącym obok polskim prezydentem.

Rozmawiano wówczas m.in. o stosunkach militarnych polsko-amerykańskich, zainstalowaniu w Polsce stałych baz amerykańskich, gotowości zbudowania bazy pod nazwą Fort Trump. Nazwa, która miała schlebiać samolubnemu prezydentowi USA, była zaskoczeniem dla samych Amerykanów, ponieważ tam nie ma zwyczaju nazywania czegośkolwiek na cześć urzędujących czy żyjących byłych prezydentów. Różne obiekty obdarza się natomiast chętnie nazwiskami nieżyjących byłych prezydentów.

Dwa dni przed tegorocznym spotkaniem prezydentów obu krajów 13 kongresmenów Partii Demokratycznej skierowało list do prezydenta Trumpa, wyrażając zaniepokojenie naruszaniem praworządności w Polsce przez rząd Prawa i Sprawiedliwości i apelując o rozmowę o tym problemie z polskim prezydentem. Zdaniem kongresmenów obecny rząd polski niedostatecznie wspiera demokratyczne wartości.

Najważniejsze rozmowy obu prezydentów odbyły się w Białym Domu 12 czerwca. Ich owocem była wspólna deklaracja o współpracy obronnej. Dotyczyła ona wielu spraw związanych z obecnością wojsk amerykańskich w Polsce. Obecnie rotacyjnie stacjonuje w naszym kra-

ju ok. 4,5 tys. żołnierzy. Nowe porozumienie przewiduje zwiększenie ich liczby o ok. 1 tys. Polska zgodziła się sfinansować uzgodnioną infrastrukturę. W ten sposób będzie czwartym krajem w Europie, po Niemczech, Wielkiej Brytanii i Włoszech, gdzie stacjonuje najwięcej żołnierzy amerykańskich. Uzgodniono również stworzenie Wysuniętego Dowództwa Dywizyjnego USA w Polsce. Siły zbrojne obu krajów będą wspólnie wykorzystywać m.in. Centrum Szkolenia Bojowego w Drawsku Pomorskim. Nowym elementem polsko-amerykańskiej współpracy obronnej jest zapowiedź utworzenia w Polsce eskadry bezzałogowych statków powietrznych MQ-9 Sił Powietrznych USA, przeznaczonych do działań wywiadowczych, zwiadowczych i rozpoznawczych.

Ponadto uzgodniono stworzenie infrastruktury wspierającej obecność w Polsce m.in. sił specjalnych USA,

porozumienie o współpracy w dziedzinie cywilnego użytkowania energii nuklearnej i o zwalczaniu przestępczości, z którą Amerykanie od dawna się borykają.

Trump, znany ze zmiennych i często sprzecznych poglądów, tym razem dziękował Polsce za to, że jest „wzorowym sojusznikiem”. Oceniał, że więzi polsko-amerykańskie „są na rekordowo wysokim poziomie”. Uniikał jednak sprecyzowania terminu zniesienia obowiązku wizowego dla Polaków podróżujących do USA.

Prezydent Duda w czasie tej wizyty zachowywał się usłużnie wobec gospodarza i dziękował mu za gościnę. Nie zareagował, kiedy Trump, siedząc obok, ostro skrytykował Niemcy, największego partnera gospodarczego i sąsiada Polski. Natomiast wbrew powszechnie przyjętej zasadzie kultury politycznej, że nie krytykuje się własnego kraju podczas oficjalnych wizyt za granicą,

Prezydent Duda w czasie tej wizyty zachowywał się usłużnie wobec gospodarza.

wojsk pancernych, batalionu wsparcia logistycznego. Zapowiedziano regularne konsultacje „w celu omówienia i planowania potencjalnych zmian stanu obecności sił oraz odpowiednich wymagań infrastrukturalnych dla sił zbrojnych USA rozmieszczonych w Polsce”. W deklaracji nie wspomniano natomiast o zabiegach polskiego rządu w sprawie zakupu nowoczesnych samolotów F-35. Szansa na ich kupno wzrosła, gdy Waszyngton zagroził, że nie sprzeda samolotów Turcji w ramach sankcji za zakup przez Ankarę rosyjskiego systemu antyrakietowego S-400.

Oprócz spraw obronnych prezydenci omawiali m.in. sytuację na Ukrainie, a PGNiG i Venture Global LNG podpisały porozumienie o dostawach do Polski 2,5 mln ton skroplonego gazu ziemnego rocznie. W Waszyngtonie podpisano też

zaatakował środowiska sędziów polskich za ich związki z PRL. Publicznie mówił Amerykanom, że sędziowie ci „muszą odejść w stan spoczynku”, ponieważ należeli do partii komunistycznej i „grzechnie słuchali ludowej władzy”.

Po zakończeniu rozmów w Waszyngtonie Andrzej Duda z polską delegacją udał się w podróż przez Stany Zjednoczone z przystankami w Teksasie, Nevadzie i Kalifornii. W Houston w Teksasie odbył rozmowy z burmistrzem tego miasta Sylwestrem Turnerem i przedstawicielami firm energetycznych, odwiedził gazoport nad Zatoką Meksykańską. Amerykanie będą dostawcami gazu do Polski.

Od połowy XIX w. Polacy osiedlali się w Teksasie, obecnie mieszka tu ponad 200 tys. osób polskiego pochodzenia. Prezydent Duda



Prezydent Duda po raz drugi w Gabiniecie Owalnym. Tym razem na siedząco.

spotkał się z miejscową Polonią i wręczył odznaczenia jej zasłużonym działaczom. W mieście Reno w Nevadzie prezydent wziął udział w Tygodniu Polskiego Biznesu i Innowacyjności. Obserwował również pokaz polskich dronów. Polska współpracuje z USA w rozwoju technologii tych urządzeń. W Nevadzie kopalnię ma KGHM Polska Miedź.

Rząd polski i media sprzyjające PiS zachwycają się wizytą prezydenta w USA. Prawdą jest, że oba kraje zawarły wiele obiecujących porozumień. Przemilczano natomiast koszty tej współpracy. Prezydent Trump publicznie zapewniał i uspokajał Amerykanów, że to Polska bierze na siebie finansowe zobowiązania wynikające ze współpracy polsko-amerykańskiej, zwłaszcza że ceny np. gazu amerykańskiego są wyższe niż ceny gazu z innych krajów. Jak słusznie zauważył Paweł Wroński („Gazeta Wyborcza”, 14.06), „prezydent Duda wykorzysta »sukces« w USA i przedstawi siebie jako tego, dzięki któremu Polska stała się bezpieczna. Na razie przypomina klienta, który poszalał na promocjach i wylewnie podziękował właścicielowi sklepu, że mógł dokonać zakupów. A gdy wróci do domu, zajrzy do pustego portfela i się zasta-

nowi, czy tego, co kupić, rzeczywiście potrzebuje”.

Rząd i prorządowe media głoszą fałszywy pogląd, że zwiększona obecność militarna Stanów Zjednoczonych w Polsce nie narusza umowy NATO-Rosja z 1997 r. o nietworzeniu stałych baz wojskowych NATO na terytorium dawnych państw Układu Warszawskiego, ponieważ umowa rzekomo nie obowiązuje. Otóż Waszyngton uważa, że wspomniana umowa nadal obowiązuje.

Rząd polski intensywnie zabiega o zakup w USA 32 samolotów bojowych F-35, nie licząc się z ogromnymi kosztami takiej transakcji. Minister obrony zachowuje się tak, jakby Amerykanie już podjęli decyzję o sprzedaży Polsce samolotów. „Nie jest znany czas wprowadzenia F-35 do służby w Polsce”, zaznaczył gen. Jarosław Stróżyk i ocenił, że będzie na to potrzebne 7-10 lat. Według niego z uwagi na nieznane dziś, ale ogromne koszty zakupu samolotów powinniśmy z nich zrezygnować i przeznaczyć pieniądze na inne pilne potrzeby w dziedzinie obronności.

Donald Trump w czasie spotkania z polskim prezydentem komplementował Polskę i polską demokrację. Jego pogląd jest sprzeczny ze stano-

wiskiem Departamentu Stanu, który krytykuje w raportach polski rząd za naruszanie praw człowieka i wyrażał zaniepokojenie zagrożeniem demokracji w Polsce poprzez osłabienie przez rząd PiS władzy sądowniczej. Trump jednak zapewniał, że nie martwi się o stan demokracji w Polsce. „Znam Polaków, znam polskich przywódców”, powiedział. Tyle że amerykański prezydent może zmienić zdanie na temat Polski, ponieważ znany jest ze zmiennych poglądów i nieprawdziwych informacji. Dziennik „Washington Post”, który od początku prezydentury Trumpa prowadzi rejestr jego kłamstw, obliczył w końcu kwietnia br., że w ciągu 827 dni Trump miał ponad 10 tys. błędnych lub mylących wypowiedzi.

Podsumowując, można powiedzieć, że wizyta prezydenta Dudy w USA miała pewne pozytywne rezultaty, ale nie brakowało negatywnych zachowań i wypowiedzi prezydenta. Wielką niewiadomą są koszty, jakie Polska poniesie w wyniku zobowiązań zaciągniętych przez Andrzeja Dudę w czasie tej wizyty.

Longin Pastusiak jest profesorem w Akademii Finansów i Biznesu Vistula, byłym marszałkiem Senatu (2001-2005)

Michael Wolff

Chaszukdzi

Donald Trump kłamał w sprawie śmierci dziennikarza

2 października 2018 r. tuż po godzinie 13.00 Dżamal Chaszukdzi – mieszkaniec Stanów Obywatelskich Saudyjskich, dziennikarz i gracz o dużą stawkę w polityce Zatoki Perskiej, a także kamikaze w bucie 32-letniego księcia koronnego i władcy saudyjskiego Muhammada ibn Salmana – wszedł do saudyjskiego konsulatu w Stambule. Tam spotkał grupę zamachowców nastawianych przez nieślubnego w uczuciach księcia koronnego – największego międzynarodowego sojusznika Jareda Kushnera, który pragnął grać pierwsze skrzypce w zagranicznej administracji teścia. Wszystko wskazuje na to, że po zamordowaniu i rozczłonkowaniu Chaszukdziego jego szczątki rozpuszczono w beczce z kwasem bądź wywieziono z Turcji w przesyłce dyplomatycznej.

Bez wiedzy niezbyt wyrafinowanych saudyjskich morderców tureckie służby bezpieczeństwa zarejestrowały ostatnie chwile Chaszukdziego. W kolejnych godzinach i dniach, kiedy Saudyjczycy obstawiali przy tym, że dziennikarz bez szwanku opuścił ambasadę, prezydent Recep Tayyip Erdoğan – w porozumieniu z Katarą oraz Iranem, wrogami Arabii Saudyjskiej – nadzorował stopniowo pojawiające się przecieki na temat mrocznych szczegółów zniknięcia i śmierci Chaszukdziego.

Prezydent Trump początkowo zbył doniesienia o zamordowaniu Chaszukdziego. W miarę pojawiania się kolejnych szczegółów oświadczył, że nie ma zaufania do Turków. Wreszcie polecił Jaredowi, aby ten zadzwonił do „swojego kumpla”, księcia koronnego.

„Muhammad – zaraportował Jared – bada tę sprawę. Wie tyle, co my”.

4 października „Washington Post” zostawił puste miejsce tam, gdzie „powinna się pojawić” rubryka Chaszukdziego, i rzucił podejrzenia na saudyjskiego monarchę. Następnego dnia Turcy potwierdzili, że Chaszukdzi wszedł do konsulatu, ale go nie opuścił.

Jak to zwykle bywało w świecie Trumpa, istotne i niecodzienne zwycięstwo – zatwierdzenie Kavanaugh’a [na sędziego Sądu Najwyższego – przyp. red.] – prawie natychmiast ustąpiło pola nowej brzydkiej rzeczywistości, w której główny temat stanowiły bli-

skie powiązania Trumpa i jego rodziny z domniemanym mordercą.

Arabia Saudyjska – z rodziną królewską i jej zawiłą sytuacją, z układami z organizacjami terrorystycznymi, z okrucieństwami prawa oraz kultury, z nieprzebranymi złożami ropy naftowej i z kluczową pozycją na Środkowym Wschodzie – zawsze wymagała kunsztu dyplomatycznego ze strony amerykańskich prezydentów.

Administracja Trumpa, nieszczególnie wygimnastykowana, na cztery tygodnie przed ważnymi wyborami dała się poznać jako zwolennik i publiczny obrońca jawnego aktu zemsty politycznej, której kolejne mrozące krew w żyłach szczegóły stopniowo podawano do wiadomości publicznej. (...)

W kręgach dyplomatycznych tajemnicą poliszynela było, że Muhammad ibn Salman (MIS) ma problem kokainowy. Podobno w ciągu narkotykowym potrafił zniknąć na wiele dni albo wypływać w długie rejsy swoim jachtem. Dzień w dzień godzinami siedział przed ekranem i grał w gry wideo. Pozbawiony wszelkich zahamowań, był gotów zdusić jakiegokolwiek przejawy opozycji w obrębie rozległej rodziny królewskiej, posuwając się do brutalności na skalę niespotykaną dotąd w państwie, które z brutalności słynie. (...)

Sprawa Chaszukdziego to kolejny przykład niejasnych stosunków Trumpa i jego rodziny z różnymi czarnymi charakterami.

Tym bardziej dziwiła niespotykana zażyłość Jareda Kushnera z tym człowiekiem. Nie tylko naprawdę się zaprzyjaźnili, ale Kushner nie szczędził czasu, wysiłków ani politycznych środków na lansowanie księcia koronnego. Zakrojona na szeroką skalę działalność PR-owa Saudyjczyków w Stanach Zjednoczonych zyskała w osobie Kushnera ważnego patrona.

Gdy 5 i 6 października prezydent w ramach kampanii pod hasłem „Make America Great Again”

(MAGA) brał udział w eventach na zaprzyjaźnionych stadionach na prowincji, Kushner miał za zadanie wypłacać swojego kumpla, Muhammada, a także siebie samego z afery wokół Chaszukdziego. Panowie byli w stałym kontakcie; Jared stał się dla księcia czymś w rodzaju centrum zarządzania kryzysowego. W rezultacie stał się również najbardziej aktywnym w Białym Domu źródłem przecieków dotyczących saudyjskich teorii spiskowych i dezinformacji.

To właśnie ze źródeł w Białym Domu pochodziła teoria turecka: Erdoğan zrzucił winę za „zniknięcie” dziennikarza na Muhammada, aby przywrócić kalifat osmański i przejąć Mekkę z rąk Saudyjczyków. Z tych samych źródeł pochodziła teoria saudyjska: samolot z grupą zamachowców wyruszył z Rijadu, lecz po drodze do Stambułu wylądował w Dubaju. Kiedyś MIS był protegowanym Muhammada ibn Zajida (MIZ-a), następcy tronu emiratu Abu Zabi, jednak ostatnio ich stosunki się ochłodziły, po części z powodu dezaprobaty MIZ-a wobec słabości księcia koronnego do kokainy. (...)

Dla Jima Mattisa, coraz bardziej zdegustowanego sekretarza obrony, sprawa Chaszukdziego stanowiła kolejny przykład dziwacznych, niejasnych stosunków Trumpa i jego

rodziny z różnymi czarnymi charakterami (...). Mattis coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że regularne wysoki Jareda są irracjonalne, a może nawet nielegalne. FBI zdawało się mieć własne wątpliwości: Kushnerowi odmówiono dostępu do tajnych informacji, a tzw. najwyższy certyfikat bezpieczeństwa otrzymał tylko dzięki bezprecedensowej interwencji prezydenta (czemu Kushner i jego żona stanowczo zaprzeczali).



19 października 2018 r. Demonstranci przed Białym Domem domagają się wyjaśnienia śmierci dziennikarza Dżamala Chaszukdziego.

Problemy finansowe Kushnerów oraz ich powiązania z regionem Zatok stanowiły przedmiot pełnych niedowierzania dyskusji w kręgach polityki zagranicznej. Fakt, że ktoś uwikłany w taki konflikt interesów – zięć prezydenta usiłował pozyskać do celów prywatnych pieniądze od ludzi zaangażowanych w skomplikowane stosunki i negocjacje z rządem amerykańskim – podejmował decyzje w tych samych sprawach, wykraczał poza granice zwykłej naiwności. (...)

Wieżowiec przy Piątej Alei został zakupiony przez Jareda Kushnera w 2007 r. – w przededniu światowego kryzysu finansowego. Transakcja ta stanowiła część wielkiego planu Kushnerów, którzy chcieli przenieść swoje nieruchomości i interesy z niepozornego New Jersey na imponującą arenę Nowego Jorku. Za budynek zapłacili 1,8 mld dol., dwa razy tyle, ile wynosiła rekordowa cena za stopę kwadratową na Manhattanie. Wymagający poważnych renowacji budynek od początku nie wzbudzał zainteresowania poważnych najemców. Co więcej, po kilku restrukturyzacjach spłata raty balonowej w wysokości 1,4 mld, zabezpieczona innymi aktywami rodzinnymi, wypadała na rok 2019.

Jeszcze przed wyborami Kushnerowie bezskutecznie zabiegali o zrefinansowanie długu. (...) Większość osobistego majątku Jareda była związana z rodzinnym interesem, co tłumaczy jego zaangażowanie. (...)

Praca w Białym Domu z pewnością utrudniła Kushnerowi starania o pożyczkę: ewentualny wierzyciel zwróciłby na siebie uwagę prasy i wzbudził wątpliwości natury etycznej. Pożyczkodawcy trzymali rodzinę w szachu i mogli stawiać warunki – chyba że interesy z Kushnerami przynosiły inne korzyści, za które inwestor był skłonny dodatkowo zapłacić.

Gdy Jared stał się jednym z najważniejszych głosów amerykańskiej polityki zagranicznej, jego rodzina zabiegała o pożyczki u Katarczyków, Saudyjczyków, Chińczyków, Rosjan, Turków, a także w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, czyli wszędzie tam, gdzie prywatne fundusze są nierozdzielnie splecione z państwowymi interesami. W każdym przypadku zagraniczni inwestorzy dochodzili do wniosku, że zagrożenia płynące z takiego układu przewyższają potencjalne korzyści. (...)

W sierpniu 2018 r. wszystko wskazywało na to, że Kushnerowie wyjdą z impasu dzięki wsparciu finansowe-

mu ze strony firmy inwestycyjnej Brookfield Asset Management z siedzibą w Toronto. Z prawie 300 mld dol. w zarządzanych aktywach Brookfield stanowiła przykrywkę państwowych funduszy majątkowych z całego świata – Katar należał do grona jej najważniejszych inwestorów – nie dziwi więc, że jej klienci woleli pozostać anonimowi. W wielu przypadkach nieinwazyjna Brookfield była lepiej postrzegana niż bardziej jawna Qatar Investment Authority, rządowa agencja inwestycyjna Kataru. W tej niechlubnej kooperacji Brookfield, jej państwowych funduszy majątkowych i rodziny Kushnerów nie chodziło wyłącznie o ewentualne środkowo-wschodnie wpływy na Białą Dom Trumpa, ale o wpływy Brookfield na Środkowym Wschodzie za pośrednictwem Białego Domu. (...)

Koszmarna sprawa Chaszukdziego ciągnęła się już dwa tygodnie, a każdy jej aspekt przybierał coraz gorszy i coraz bardziej publiczny obrót. Wyglądało na to, że ani Saudyjczycy, ani Białą Dom nie są w stanie przyjąć do wiadomości faktów. (...) Co ciekawe, prezydentcy doradcy pozostawili Trumpowi całkowitą swobodę wypowiedzi. Mówiąc lub pisząc o zamachu, zdawał

► się toczyć publiczną debatę z samym sobą, dręczony konfliktem między postępowaniem w myśl polityki realistycznej a wartościami moralnymi. Przez bite pięć dni sypał argumentami, nieraz zupełnie rozbieżnymi.

Wypowiedź z 15 października: „Właśnie rozmawiałem z królem Arabii Saudyjskiej, który zaprzecza, jakoby wiedział cokolwiek o sprawie dotyczącej, jak się wyraził, saudyjskiego obywatela (...). Nie sposób

Tego samego dnia Biały Dom ogłosił, że Saudyjczycy właśnie przekazali 100 mln dol. Stanom Zjednoczonym jako część nieuiszczonej sumy, jaką zgodzili się wydać na broń amerykańską przed ponad rokiem.

I w końcu, gdy 18 października zapytano, czy jego zdaniem Chaszukdzi nie żyje, Trump odpowiedział: „Wszystko na to wskazuje. Czekamy, co przyniesie śledztwo (...). Na pewno stanowczo wypowiem się w tej

Trump: „To jasne, że go zabił, pewnie miał ku temu dobre powody. Kogo to obchodzi?”

stwierdzić, co naprawdę myśli, ale odniosłem wrażenie, że to mogli być zwykli złoczyńcy. Kto wie? (...) Z jego słów wynikało, że ani on, ani książę koronny nic nie wiedzieli o sprawie”.

W rzeczywistości król Arabii Saudyjskiej był *non compos mentis* [niepełna rozumu], o czym wiedziało wielu z establishmentu dyplomatycznego, toteż jest wielce prawdopodobne, że do wspomnianej rozmowy w ogóle nie doszło.

16 października Trump nadal poszukiwał rozwiązania i jednoznacznego stanowiska, które mógłby zająć. „Znów obwiniamy kogoś o coś, co nie zostało udowodnione. Nie jestem tym zachwycony. Dopiero przerobiliśmy to z sędzią Kavanaughem, który był niewinny od samego początku, o ile mi wiadomo”.

Później tego samego dnia: „Dla przypomnienia – nie mam żadnych powiązań finansowych z Arabią Saudyjską (ani z Rosją, skoro już o tym mowa). Jakakolwiek sugestia temu przecząca to *fake news* (jakich wiele)!”.

I jeszcze później: „Właśnie rozmawiałem z następcą tronu Arabii Saudyjskiej, który stanowczo zaprzeczył, jakoby wiedział o zajściu w tureckim konsulacie. Podczas naszej rozmowy był z sekretarzem stanu Mikiem Pompeo i poinformował mnie, że rozpoczął już śledztwo w tej sprawie”.

17 października nastąpił ciąg dalszy: „Zbadamy to dokładnie. Mam nadzieję, że król [saudyjski] i następca tronu nie wiedzieli o niczym. To dla mnie bardzo istotne (...). Na nic nie przysmykam oczu. Są jednym z naszych sojuszników. Mamy wielu dobrych sojuszników na Środkowym Wschodzie”.

sprawie. Musimy zająć twarde stanowisko. Sytuacja jest bardzo, bardzo nieciekawa. Ale zobaczymy, co będzie”.

W tym samym tygodniu, podczas jednej z wieczornych rozmów telefonicznych, ujął to nieco inaczej: „To jasne, że go zabił, pewnie miał ku temu dobre powody. Kogo to obchodzi?”.

Tymczasem, mniej ostentacyjnie, Kushner usiłował zapanować nad MIS-em. (...) Zasugerował księciu koronnemu, aby czym prędzej zlecił aresztowanie i egzekucję 15 spiskowców zamieszanych w zabójstwo Chaszukdziego. MIS obiecał, że się nad tym zastanowi. Kushner nalegał na odwołanie „Davos na pustyni”, starannie zaplanowanego przez Arabię Saudyjską forum biznesowego, przewidzianego na 23 października.

Jared Kushner nie szczędził czasu, wysiłków ani politycznych środków na lansowanie saudyjskiego księcia.

(...) MIS jednak, nie chcąc okazać niepokoju ani skruchy, kategorycznie odmówił. Zapewnił Jareda, że doniesienia prasowe w Arabii Saudyjskiej są bardzo pozytywne – Chaszukdzi nikogo nie obchodzi!

Wysiłki Białego Domu, mające na celu zatarcie skutków zabójstwa Chaszukdziego, osiągnęły skutek odwrotny do zamierzonego. (...)

Tymczasem wybory do Kongresu miały się odbyć za niespełna trzy tygodnie.

Jared Kushner przybył do Białego Domu w przekonaniu, że jest w stanie zapoczątkować nowe pokolenie kierujące się w dziedzinie polityki zagranicznej wyluzowaną precyzją na

modłę Kissingera – w czym zresztą utwierdzał go sam Kissinger. (...)

Po śmierci Chaszukdziego Kissinger z pogardą oznajmił znajomym, że dążąc do zażyłości z MIS-em, Kushner przeoczył bardzo istotną kwestię. Biały Dom Trumpa związał się z księciem koronnym, który obrał sobie za cel odbudowę gospodarki swojego kraju. Jednakże Arabia Saudyjska, stojąca w obliczu spadku cen ropy i rosnących wymagań rodziny królewskiej, była praktycznie splukana: jej przyszłość, a raczej przyszłość rodziny królewskiej, zależała od umowy z Aramco, ta zaś była coraz mniej prawdopodobna.

„M w MIS oznacza Madoff”, stwierdził amerykański finansista, konsultant do spraw Aramco. Władza MIS-a, o jego przyszłości nie wspominając, opierała się na czymś do złudzenia przypominającym piramidę finansową, której Kushner stał się elementem i promotorem. (...)

Kushner nie widział nic niestosownego w powiązaniach swoich znajomych ani w tym, że jego rodzina zabiega o pożyczki na Środkowym Wschodzie. (...) Latem 2018 r. szykował się do swojej największej inicjatywy. Pragnął stworzyć platformę dla środkowowschodniego rozwoju gospodarczego; poprzez programy finansowania *joint venture* platforma miała doprowadzić do politycznej dyskusji, ta zaś do wypracowania koncepcji trwałego pokoju. Oczami

wyobraźni widział strukturę współzależności i współpracy. (...) Do realizacji swojego planu dążył, nie angażując kanałów dyplomatycznych, brnął naprzód bez większego udziału Białego Domu, ale zapowiedział teściowi, że jego inicjatywa to „nie byle co”.

Gdy koncepcja nabierała kształtów, Kushner zaproponował, żeby wsparcia udzielił Bank Światowy przy udziale ogromnych inwestycji najbogatszych państw regionu. Na czele projektu miał stanąć człowiek wybrany przez niego – bankier inwestycyjny Michael Klein.

Klein tak naprawdę miał wątpliwości co do przedsięwzięcia. (...) Zdaniem Kleina Kushner montował kampanię, w której pokaże się w jak



Zięć Trumpa Jared Kushner nie widział nic niestosownego w powiązaniach swoich znajomych ani w tym, że jego rodzina zabiega o pożyczki na Środkowym Wschodzie.

najlepszym świetle, w razie gdyby postawiono go w stan oskarżenia; chciał zaistnieć jako główny misjonarz pokoju na Środkowym Wschodzie.

Nie był to zapewne jedyny aspekt planu, który nie uwzględniał rzeczywistości. Klein faktycznie stanowił osobliwy wybór, który tylko dowodził, że Kushner nie dostrzegłby konfliktu, nawet gdyby miał go przed nosem. Był bankier Citibanku był współczesnym Zeligiem w wielkim biurze z widokiem na katedrę Świętego Patryka w centrum Manhattanu; zajmował luksusową przestrzeń jedynie z garstką asystentów. Jak zauważył inny bankier, który brał udział w transakcji z udziałem Kleina, należał on do osób, którzy namierzają 10 najbogatszych ludzi świata, po czym dokładają wszelkich starań, aby zawrzeć znajomość przynajmniej z jednym z nich. Saudyjczycy obecnie byli jego głównym klientem. Klein udzielał MIS-owi rad inwestycyjnych i był strategicznym orędownikiem planu debiutu giełdowego Aramco, po którym wycena firmy miała opiewać na 2 bln dol., co stanowiłoby największy debiut giełdowy w historii. W czerwcu 2017 r. pojechał do Rijadu jako członek delegacji prezydenckiej podczas pierwszej podróży zagranicznej Trumpa.

Inicjatywa Kushnera i zaangażowanie w nią Kleina dowodziły znaczenia roli, jaką odgrywał MIS w planach Kushnera oraz w jego wizji świata. Z pomocą osobistego bankiera księcia koronnego Jared miał zaprowadzić pokój na Środkowym Wschodzie. Jego ambitne plany legły jednak w gruzach u schyłku lata 2018 r., krótko po odwołaniu oferty publicznej Aramco.

Forum „Davos na pustyni” rozpoczęło się 23 października, trzy tygodnie po zamordowaniu Chaszukdziego, a amerykańscy dyrektorzy wzięli w nim udział pod presją Kushnera. W tym samym czasie Trump wystąpił do Turcji dyrektorkę CIA Ginę Haspel. Miała ona zapoznać się z tureckimi dowodami w sprawie zamachu, w tym z nagraniem z ostatnich chwil życia Chaszukdziego.

Haspel potwierdziła rzecz oczywistą: zgodnie z raportem wszystkich amerykańskich agencji wywiadowczych dziennikarz zginął w sposób opisany przez Turków. Co więcej, ponad wszelką wątpliwość do morderstwa doszło za wiedzą – a najprawdopodobniej nawet na polecenie – następcy tronu we własnej osobie.

Trump, który miał już dość sprawy Chaszukdziego, po cichu obwiniał za całą aferę Kushnera. „Kazałem mu zaprowadzić pokój – narzekał podczas rozmowy telefonicznej. – A ten się przyjaźni z mordercą. Co ja mam robić?”. Publicznie podsumował temat następująco: „Niewykluczone, że książę koronny wiedział o tym tragicznym zdarzeniu – ale to nic pewnego!”.

Po raz kolejny niepotrzebnie przesunął bramkę. Nie tylko fatalnie rozegrał wyzwanie dyplomatyczne, jakim było ustosunkowanie się do toksycznego sprzymierzeńca, ale – podobnie jak robił to wielokrotnie w sytuacji z Rosjanami – zakwestionował działania amerykańskich agencji wywiadowczych. Innymi słowy, obarczył je winą za całą tę katastrofę. Nie tylko wziął im za złe niewygodne informacje, ale podał w wątpliwość przedstawioną przez nich prawdę.

W obliczu nadchodzących wyborów publiczne wykręty i słabość Trumpa w kontekście międzynarodowego skandalu z krwawą zbrodnią w tle nie stawiały go w dobrym świetle. Pod względem praktycznym stanowisko, które zajął w tej sprawie, mogło zaszkodzić jego przyszłości. Krążyły głosy, że większość wysokich rangą członków społeczności dyplomatycznych i wywiadowczych zwątpiła nie tylko w kompetencje Trumpa, ale i w jego równowagę psychiczną. Jakby tego było mało, niewielu mogło mieć pewność, że przeczące wszelkiej logice zachowanie prezydenta i próby zanegowania tego, co oczywiste, nie wynikają z jakichś układów na boku lub z interesów Trumpów i Kushnerów.

Jim Mattis np. wychodził z założenia, że skoro sam prezydent nie zasługuje na zaufanie, potrzebna jest pewna i wiarygodna osoba, która będzie go godnie reprezentować; w ten sposób dotąd racjonalizował swoje miejsce w rządzie. Obecnie mówił znajomym, że ma nadzieję, a wręcz zakłada, iż demokraci w listopadzie wygrają – dzięki czemu on będzie mógł w końcu zrezygnować.



Fragmenty książki Michaela Wolffa
Trump pod ostrzałem, przekład Magda Witkowska, Bartosz Salbut, Magdalena Moltzan-Małkowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 2019

Mozzarella w rękach mafii

Dochód ze sprzedaży włoskich produktów spożywczych często jest wyższy niż ze sprzedaży kokainy

Tomasz Skowronek
Korespondencja z Rzymu

Oro bianco (białe złoto) – tak o mozzarelli mówi Roberto Battaglia, przedsiębiorca mleczarski i znawca tego włoskiego sera. – Musi być słodka i nie za słona, ponieważ sól tłumi wszystkie smaki – wyjaśnia. Jak zaznacza, prawdziwa mozzarella z mleka bawolego jest produkowana na północ i południe od Neapolu, w regionach Caserta i Salerno. Pochodzące z Azji woły domowe – o czarnej barwie i zakrzywionych rogach – już przed wiekami znalazły tutaj swój drugi dom.

Co jakiś czas Roberto występuje we włoskiej telewizji albo udziela wywiadów różnym czasopismom. Zachwala walory smakowe mozzarelli czy innych lokalnych rarytasów, ale równie często wypowiada się na temat nowej mafii ingerującej we włoską żywność. „Potowa hodowli bawołów w prowincji Caserta jest w rękach mafii – ubolewa w jednym z wywiadów. – Mafiosi to osoby pozbawione skrupułów, które nie dbają o zdrowie konsumentów. Mieszą mleko z chemikaliami, aby biel mozzarelli była jeszcze głębsza, albo produkują ser z mleka w proszku i mimo to sprzedają swoje produkty pod znakiem DOP (*Denominazione di Origine Protetta*), który ma gwarantować pochodzenie i autentyczność produktów wysokiej klasy *Made in Italy*”.

Wiele lat temu sam Battaglia padł ofiarą mafii. Prowadził z ojcem biuro turystyczne, ale kiedy rodzinny biznes zaczął podupadać, Roberto kupił gospodarstwo w miejscowości Caiazzo w prowincji Caserta. – Było moją wielką pasją. Zawsze marzyłem o hodowli zwierząt i produkowaniu sera – wspomina. Wkrótce miał już 400 bawołów, 100 wołów i nowoczesny sprzęt rolniczy. Najpierw produkował tylko mleko, potem zaczął wytwarzać również mozzarellę. Po jakimś czasie odwiedzili go ludzie z camorry – jednej z włoskich mafii. Najpierw chcieli



Roberto Battaglia w ogromnej hali spożywczej Eataly w Rzymie ma stoisko z uwielbianą przez mieszkańców mozzarellą.

wyłudzić od niego *pizzo*, czyli haracz. Battaglia uległ ich żądaniom, a jednocześnie zwiększył produkcję sera, aby zarobić na siebie i gangsterów. Na tym jednak się nie skończyło. Przystępcy ponownie przyszli do niego z ofertą nie do odrzucenia. Wymusili na nim sprzedaż sporych ilości mleka i serów, które kupowali po cenach znacznie niższych niż rynkowe. – Mafia jest jak kleszcz – wspomina tamten okres Roberto Battaglia. – Trzyma się twojej skóry i bardzo powoli wysysa ci krew.

Po ośmiu latach zgłosił wreszcie sprawę organom ścigania. Wtedy zaczęły się groźby, podpalanie samochodów i sprzętu, dewastacje gospodarstwa. Musiał porzucić południowe Włochy, zaczął życie pod

Eskortą policji. Obecnie mieszka w Rzymie, gdzie w Eataly, ogromnej hali spożywczej wypełnionej restauracjami, ma stoisko z uwielbianą przez mieszkańców mozzarellą. Wśród jego klientów są celebryci, piłkarze i politycy. Choć Battaglia stał się osobą rozpoznawalną, doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że mafia może mu nigdy nie odpuścić. Z myślą o żonie i córce wykupił ubezpieczenie na życie o wartości ponad 500 tys. euro.

Miliardy agromafii

Każdego roku w Kampanii produkuje się kilka milionów ton mozzarelli. Mimo że nie ma wyrazistego smaku i jest gumowata, uchodzi za najczęściej spożywany ser na świe-

cie. Ta mała biała kula pojawiła się we Włoszech ok. XII w., a nazwę zawdzięcza czasownikowi *mozzare* oznaczającemu cięcie. Wyrabiana ręcznie lub przemysłowo mozzarella może być jedzona na surowo lub gotowana, przyprawiana oliwą z oliwek, pieprzem albo bazylią. Stanowi niezbędny składnik sztandarowych włoskich dań: pizzy i lazanii. Jest jednym z najlepiej sprzedających się produktów zarówno w supermarketach, jak i w sklepach specjalizujących się we włoskiej żywności.

Wszystko to sprawia, że rynek mozzarelli wart jest miliardy. Nie dziwi więc, że ten dochodowy biznes stał się obiektem zainteresowania organizacji przestępczych z Półwyspu Apenińskiego. Jak zauważają włoskie media, branża związana z mozzarellą jest przeniknięta przez wywodzącą się z Neapolu camorrę.

Przestępczość w przemyśle rolno-spożywczym stała się we Włoszech czymś tak powszechnym, że nazywa się ją agromafią. W ciągu ostatnich 10 lat kartele stopniowo rosły w siłę. Wykorzystując trwający od dekady kryzys gospodarczy, mafia wykupiła tanio wiele pól uprawnych, hodowli zwierząt gospodarskich i restauracji, przejmując w ten sposób władzę nad rynkiem. Na tym jednak nie poprzestała – zastraszała rolników i producentów żywności albo udzielała im „kredytów”. Drobnymi biznesmenami, którzy zmagali się z problemami finansowymi, nie mogli liczyć na pożyczki bankowe, a wtedy „pomocną dłoń” wyciągały do nich klany mafijne.

Krajowa Dyrekcja ds. Walki z Mafią (Direzione Nazionale Antimafia) oszacowała, że w 2011 r. obroty mafii w branży rolniczej wyniosły 12,5 mld euro, stanowiąc tym samym 5,6% rocznych wpływów z przestępczości w całych Włoszech. W 2014 r. było to już 15,4 mld euro. Dla porównania – w tym samym roku grupa Danone osiągnęła obrót w wysokości 21,14 mld euro. Obecnie roczne wpływy mafii w tej branży wynoszą ok. 24 mld euro. Komisja parlamentarna ds. mafii i włoskie związki zawodowe alarmują, że wpływ przestępczości zorganizowanej w przemyśle rolno-spożywczym nieustannie się zwiększa. Od winnic Chianti po gaje oliwne w Apulii – mafie zadomowiły się w całym sektorze żywności i rolnictwa, od produkcji po pakowanie,

transport i dystrybucję. Dane policyjne wskazują, że wszystkie główne włoskie syndykaty przestępcze – neapolitańska camorra, sycylijska cosa nostra i 'ndrangheta z Kalabrii – inwestują w rolnictwo.

O agromafiosach zrobiło się głośno trzy lata temu za sprawą śledztwa włoskiego dziennikarza Paola Borrometiego. Borrometi odkrył, że klany kupują ziemię, by uprawiać warzywa, oczywiście wykorzystując do tego tanią siłę roboczą z Europy Wschodniej i Afryki. Poza tym ujawnił infiltrację hurtowego rynku owoców i warzyw w miejscowości Vittoria na południu Sycylii. Borrometi udowodnił też, że słynne pomidory czereśniowe z Pachino zostały wyprodukowane przez lokalną mafię, a następnie sprzedawane na całym świecie. Aby uzmysłowić sobie, jak bardzo opłacalny to biznes, warto przyrzeć się liczbom. Wyprodukowanie kilograma

Branża związana z mozzarellą jest przeniknięta przez wywodzącą się z Neapolu camorrę.

pomidorów kosztuje ok. 40 centów. Gdy trafiają na rynek w Mediolanie, ich cena wzrasta do 7,50 euro, w Wielkiej Brytanii bądź w Kanadzie są warte już ponad 15 euro. Jak przekonuje Borrometi, dochód ze sprzedaży pomidorów jest wyższy od uzyskiwanego z kokainy, którą przecież trzeba przemyć z Ameryki Południowej do Europy, sama logistyka kosztuje fortunę. Warzywa są o wiele łatwiejszym i bezpieczniejszym biznesem.

Oliwa niesprawiedliwa

Do podobnych wniosków doszedł francuski dziennikarz Jean-Baptiste Malet, autor reportażowej książki „L'Empire de l'or rouge. Enquête mondiale sur la tomate d'industrie” („Imperium czerwonego złota. Globalne śledztwo w sprawie przemysłu pomidorowego”). Poświęcił ją kwestiom produkcji, marketingu i konsumpcji koncentratu pomidorowego w różnych krajach. Z trwającego dwa i pół roku śledztwa i podróży do różnych zakątków globu autor wyciąga jasny wniosek – przemysł pomidorowy jest ważną gałęzią finansową mafii.

Malet ujawnia, że Włochy, będące głównym dostawcą nie tylko pomidorów, ale także sosów i koncentratów,

w dużej części bazują na pomidorach uprawianych faktycznie w innych krajach, np. w Chinach, mimo to produkty są oznakowane jako pochodzące ze słonecznej Italii.

Fałszowane są nie tylko sery czy sosy pomidorowe, ale także inne pożądane włoskie produkty: oliwa z oliwek, wino, owoce i warzywa, ryby, szynka itd. Do tego dochodzi globalny biznes polegający na sprzedawaniu za granicę produktów o włosko brzmiących nazwach. To np. *mortadella siciliana*, której nazwa sama w sobie jest aberracją – prawdziwa mortadela pochodzi z Bolonii. Fałszerze dodają do opakowań etykiety z włoską flagą albo wizerunkiem Koloseum czy wieży w Pizie. Często nic w tych produktach nie jest włoskie, do ich produkcji stosuje się składniki kupowane za granicą, choćby sproszkowane mleko z Rumunii, olej z Afryki albo ryż z Birmy.

O skali problemu świadczy fakt, że do tej pory już 17% Włochów padło ofiarą oszustw w branży spożywczej podczas zakupów lub w lokalach gastronomicznych. 88% obawia się, że na półkach sklepowych znajdują się produkty podrobione.

Następnym ogniwem łańcucha są dla mafii restauracje i kawiarnie, które stanowią istotny kanał prania pieniędzy. Według raportu opracowanego przez główny włoski związek producentów żywności (Coldiretti) we współpracy z think tankiem Eurispes z grupami mafijnymi powiązanych jest 5 tys. restauracji w Mediolanie, Rzymie i innych większych miastach. Kilka restauracji przy ekskluzywnej rzymskiej Via Veneto (słynnej m.in. dzięki filmowi „Słodkie życie” w reżyserii Federica Felliniego) zostało zamkniętych, gdy odkryto, że są prowadzone przez 'ndranghetę.

Coldiretti twierdzi, że krajowe syndykaty kryminalne manipulują całym rynkiem rolno-spożywczym: ustalają ceny towarów, zarządzają ich transportem i dystrybucją oraz kontrolują sieci supermarketów. – Niszczą konkurencję i legalny wolny rynek, tłamszą uczciwych przedsiębiorców i poważnie zagrażają jakości

► oraz bezpieczeństwu produktów – wyjaśnia Roberto Moncalvo, szef Coldiretti. – Głównym powodem zwiększonej obecności mafii w przemyśle spożywczym jest wizja wysokich przychodów. Przy marżach ze sprzedaży oliwy z oliwek sięgających nawet 700% zyski mogą być wyższe niż te z kokainy – i to przy znacznie mniejszym ryzyku.

Poza tym Moncalvo zauważa, że mafijna ekspansja w agrobiznesie umożliwia pranie pieniędzy z bardziej tradycyjnych gałęzi działalności przestępczej, takich jak handel narkotykami. Kalabryjska 'ndrangheta, która kontroluje ok. 80% europejskiego rynku kokainy, ma tyle gotówki, że jej przywódcy są gotowi zaakceptować straty sięgające nawet 50%, inwestując w działalność rolniczą. W oliwkowy biznes zainwestował podobno sam Matteo Messina Denaro, zwany Diabolikiem, jeden z najsłynniejszych sycylijskich gangsterów. Warto wspomnieć, że według włoskiej policji około połowy całej oliwy z oliwek z pierwszego tłoczenia sprzedawanej we Wło-

szech jest zmieszane z tanim, niskiej jakości olejem.

Niezawodne kubki policjantów

Władze oczywiście próbują walczyć z tym procederem. DIA (Direzione Investigativa Antimafia) nadzoruje operacje przeciwko agromafii prowadzone przez wszystkie włoskie siły policyjne. Specjaliści policyjni pracują nad odkryciem zafałszowanych produktów spożywczych, zwłaszcza oliwy z oliwek. Mają tak wyczulone kubki smakowe, że poczynione na tej podstawie ustalenia są dopuszczane jako dowód we włoskich sądach.

Na niektórych obszarach rolnicy połączyli się w konsorcja. W Kalabrii, jednym z najbardziej niebezpiecznych regionów w Europie Południowej, aktywista Vincenzo Linarello założył w 2003 r. Goel – stowarzyszenie skupiające 30 ekologicznych gospodarstw wolnych od mafii. Ich produkty nie są podrabiane, wytwórcy zaś nie płacą haraczy. – Mafia chce nas zniechęcić, abyśmy nie pokazali,

że można być wolnym i nieposłusznym wobec przestępców – mówi Linarello. – Każdy atak mafii na nasze obiekty tylko mobilizuje nas do działania.

Choć taka inicjatywa jest bardzo słuszną i szlachetną, raczej nie doprowadzi do tego, że klany mafijne porzucą branżę spożywczą. Samo państwo również nieszczególnie przychodzi z pomocą. Poza specjalną ustawą z 2013 r. wprowadzoną w celu ochrony włoskiej oliwy z oliwek obecne ustawodawstwo jest niezwykle łagodne, a mafia ma niewiele do stracenia.

– Fałszowanie produktów spożywczych zajmuje obecnie drugie miejsce w UE pod względem dochodowości, zaraz za handlem narkotykami – przyznaje Chris Vansteenkiste z Europolu.

O tym, że branża spożywcza zapewni kluczowy zastrzyk finansowy, świadczyć może też fakt, że z 11 tys. nieruchomości, które zostały skonfiskowane mafii, aż jedną trzecią stanowią gospodarstwa rolne.

Tomasz Skowronek



MOTOAS INTERII

WYBIERZ NAJLEPSZE MODELE SAMOCHODÓW

WYGRAJ NIESAMOWITE NAGRODY

NAGRODA GŁÓWNA
YAMAHA
NMAX 125

interia

MOTOAS.INTERIA.PL

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Z podróży

Krzyś z Kanady u nas – był nauczycielem w Toronto, a teraz na emeryturze stał się podróżnikiem. Sam proponował, bez wynagrodzenia, wykłady w szkole moich dzieci o Patagonii, w której się zakochał. Krzysztof uwielbia mówić i wykladać, robi to zresztą świetnie. Jego syn ma firmę w Toronto. Globalizacja problemów. Pracodawcy mają taki sam problem jak w Polsce – dramatycznie brakuje pracowników. A jak uda się w końcu kogoś zatrudnić, okazuje się kapryśny i niekompetentny. Młodzi są narcystyczni, od razu z wielkimi wymaganiami finansowymi. Odwołując Krzysia, biorę benzynę na pisowskiej stacji Lotos, ta sieć ma nakaz, by prawicowe pisma były na wierzchu, a inne chowane. I rygorystycznie się tego przestrzegam. Widzę tygodnik „W Sieci”, na okładce krzyczy tytuł: „To Soros stoi za planem rozbicia Polski”. Budzenie głębinowych lęków, że ktoś chce rozebrać Polskę, oczywiście obcy, miliarder i Żyd. Ależ oni są obrzydliwi.

Ktoś trafnie napisał, że opozycja musi zrozumieć, że w obecnym teatrze politycznym jest postrzegana przez prosty polski naród jako wrogowie ludu. Prostego człowieka bierze teraz na niej odwet za lata upokorzeń, też za pańszczyznę. Lud uważa, że opozycja nie jest obrońcą demokracji w Polsce, bo broni wyłącznie własnych interesów. A demokrację lud postrzega tylko jako możliwość dostatniego życia, pracy i wyborów, w których może dokonać wyboru swoich. W analizowaniu powodów porażki i rozważaniach, co zrobić, by to się nie powtórzyło przy wyborach parlamentarnych, wraca motyw rozmowy z ludem – że za mało z ludem opozycja rozmawiała. Nie jestem pewien, czy po tym, jak PiS „pogadało”, da się tych wyborców przekonać za pomocą jakichkolwiek argumentów. Są na nie odporni. Zostali hojnie obdarowani i dowartościowani. Poza tym codziennie zjadają kłamstwa telewizji publicznej i one im smakują, już żadna inna potrawa ich nie przekona.

Dwa dni we Wrocławiu, miły hotel tuż przy dworcu. Wrocław jest dumny ze swojego pięknego dworca i słusznie. To brama powitalna, przedsiónek miasta. Rewolucja, która się dzieje w dworcach w Polsce, bardzo poprawia wizerunek naszego kraju. We Wrocławiu zawsze byłem na chwilę, więc zdaje mi się, że te dwa dni to dużo. Świetne wrażenie, gęste, frapujące miasto, nowe budynki uzupełniają starą tkankę miejską, ciekawe jest to starzenie się architektury sprzed kilkudziesięciu lat, ona zwykle starzeje się interesująco. Nagle wpadam

na słynną rzeźbę Jerzego Kaliny „Przejście”. Stalowy tłum ludzi schodzi pod ziemię, mężczyzna z walizką, kobieta z wózkiem... Ci ludzie jakby wychodzą po drugiej stronie ulicy. Artysta miał pewnie inne intencje, projekt rzeźby powstał w latach 70., ale teraz ta instalacja kojarzy się z uchodźcami. I z naszą cywilizacją, która zmierza do zagłady. Świetna rzeźba, wybaczam więc Kalinie pomnik smoleński, zresztą dobry artystycznie.

Dzień po dniu serdeczne spotkania z młodymi, jestem już w takim wieku, że każdy przed czterdziestką zdaje mi się młody. Inna sprawa, że młodość dzisiaj niezwykle się wydłuża, a starość jakby oddala. Mam znajomych 80-latków, którzy wcale nie są tacy starzy, a ja sam do osiemdziesiątki dorzucę już bez trudu kamieniem i słyszę, jak spada. Jedna ze znajomych pracuje w korporacji, druga ma duży zakład fryzjerski. Dzielną walkę o byt, niezależność, otwarte poglądy na świat i podobne jak moje widzenie Polski. Tylu świetnych ludzi w tym kraju, a taki syf się porobił.

W ogrodzie botanicznym na Ostrowie Tumskim podkładałam pod głowę plecaczek i kładę się na chwilę na ławce, po czym zasypiam. Jak bezdomny. Po raz pierwszy coś takiego mi się przytrafia. Czy to jakiś znak?

Demokrację lud postrzega jako możliwość dostatniego życia, pracy i wyborów, w których może dokonać wyboru swoich.

Z Wrocławia rano do Opola, szybka, bezbolesna podróż, chociaż miałem bilet z błędem, jedno miejsce z Jańszczykiem, bardzo tym przejętym. Bywają pożytki z cudzych błędów, w tym przypadku kasjerki. Zamieniłem wagon bez klimatyzacji na sąsiedni klimatyzowany. To też Polska, dwa światy obok siebie, duszny i zatęchły, a tuż obok klimatyzowany.

W Opolu spotkanie z dziećmi, w pięknej i nowoczesnej bibliotece. Spacer po mieście, dawno tu nie byłem, wiele odnowiono, wyczyszczono, jest ładnie, chociaż upalnie. Obiad na rynku z wydawcą, będzie publikował moje felietony z dawnych lat. Opole gęste od festiwalu. Wszędzie wozy TVP, które budzą obrzydzenie. Ten festiwal też niesmaczny, kojarzy się z nieświeżym kotлетem schabowym. I we Wrocławiu, i teraz tu rozmowy, jak obrzydliwie się zrobiło w Polsce, zdumienie, z jakich dziur i zaścianków oni powyciągali te rzesze „prawdziwych Polaków”. Upiorny pochod mrocznych duchów przeszłości.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

Providence Mount St. Vincent to małe osiedle w Seattle na zachodzie USA. Na pierwszy rzut oka nie wyróżnia się niczym specjalnym – kilkanaście ulic zabudowanych blokami mieszkalnymi, wciśniętymi pomiędzy parki i tereny zielone. Na mapie amerykańskich badań demograficznych to jednak miejsce szczególne. Znajdujące się tam Międzypokoleniowe Centrum Edukacyjne (ILC) jest jednym z najbardziej znanych na świecie ośrodków opieki nad osobami starszymi. Przede wszystkim dlatego, że opieką obejmuje nie tylko tych najstarszych, ale i najmłodszych.

Dla najstarszych i najmłodszych

W ILC realizuje się pilotażowy program łączenia domu spokojnej starości z przedszkolem. 125 dzieci w wieku 0-5 lat oprócz uczestniczenia w regularnej edukacji przedszkolnej spędza czas z seniorami, bawiąc się, przebywając na świeżym powietrzu i rozwijając umiejętności praktyczne, takie jak gotowanie czy szycie. Połączenie obu instytucji jest podyktowane nie oszczędnością albo brakami infrastrukturalnymi, ale chęcią walki z jedną z najniebezpieczniejszych konsekwencji starzenia się społeczeństw, czyli samotnością.

Choć rozwiązanie to wciąż należy bardziej do eksperymentalnych niż powszechnych, w dodatku budzi wśród ekspertów liczne obawy (m.in. o bezpieczeństwo obu grup wiekowych w czasie wspólnych wycieczek), przynajmniej w skali placówki w Seattle działała niemal wzorowo. Wyniki badań pensjonariuszy ILC nie pozostawiają wątpliwości. Osoby w podeszłym wieku mające regularny kontakt z przedszkolakami cieszą się lepszym zdrowiem psychicznym, niższym ciśnieniem, wyższą odpornością na zarazki i znacznie lepszym codziennym samopoczuciem. Z tej relacji korzyść czerpią też dzieci, które w kontakcie ze starszymi ludźmi uczą się szybciej i lepiej, bo rzadziej są krytykowane czy uznawane za niekompetentne. Najważniejsza jest jednak więź, która tworzy się między dziećmi a osobami starszymi. Zwłaszcza tym drugim pokazuje często sens dalszego funkcjonowa-



Plan na starość

Trwa wyścig o coraz to nowe rozwiązania problemu starzejących się społeczeństw

nia, przywraca radość z dzielenia się wiedzą. Czyni życie lepszym.

Historia z Mount St. Vincent doskonale obrazuje złożoność problemu, jakim jest starzenie się społeczeństw, przede wszystkim w krajach rozwiniętych. Choć to temat regularnie powracający na czołówki mediów, najczęściej ogranicza się go do kosztownych, potrzebnych, ale politycznie niepopularnych reform, takich jak podwyższenie wieku emerytalnego czy zmiana systemów świadczeń społecznych. Tymczasem warstw tego zjawiska jest dużo więcej niż tylko te dotyczące rynku pracy czy emerytur. Zmierzenie się z problemem rosnącego odsetka osób w podeszłym wieku wymaga również rozwiązań z zakresu zdrowia publicznego, edukacji, kultury, infrastruktury. A nawet dziedzin praktycznie niemożliwych do regulowania przez polityków, np. języka czy komunikacji społecznej.

Dłużej żyją, dłużej się leczą

Jedną z najlepiej widocznych zmian profilu demograficznego rozwiniętych społeczeństw jest stan zdrowia przeciętnego pacjenta

w podeszłym wieku. Dzisiejsi pacjenci często żyją dłużej, ale przeszli dużo więcej zabiegów i kuracji, które w poprzednich dekadach albo w ogóle nie byłyby przeprowadzane, albo spowodowałyby ich szybszą śmierć. A pacjent wielokrotnie leczony to pacjent słabszy, u którego kolejna interwencja lekarska może być nie tylko skomplikowana, ale przede wszystkim niebezpieczna. Coraz starsze społeczeństwo oznacza po prostu społeczeństwo częściej leczone.

Niestety, nie zawsze są to społeczeństwa zdrowsze. Badania Age Concern, międzynarodowej organizacji zajmującej się mierzaniem jakości zdrowia publicznego w różnych krajach świata, wskazują, że największym problemem starszych pacjentów jest paradoksalnie ślepa wiara w medycynę. Według ubiegłorocznego raportu Age Concern aż 80% amerykańskich pacjentów powyżej 50. roku życia w ciągu ostatnich 12 miesięcy przynajmniej raz było u lekarza specjalisty. 70% z nich nie zostało jednak poinformowanych o tym, jak ich stan zdrowia mogłaby poprawić zmiana stylu życia. Innymi słowy, odpowiedzialność za ich zdro-

Starsze osoby i przedszkolaki wspólnie bawili się w Mount St. Vincent w halloween.

wie i dłuższe życie niemal w całości przypisywana jest działaniom lekarzy, a nie ich samych.

Jednym z pierwszych krajów, w których spróbowano odwrócić te proporcje, jest Wielka Brytania. Rząd w Londynie już ponad dekadę temu uruchomił program darmowych konsultacji dotyczących stylu życia i jego wpływu na stan zdrowia dla pacjentów po 50. roku życia. Na lekarzy niektórych specjalności nałożony został również obowiązek uzupełnienia wywiadu z pacjentem o pytania dotyczące chociażby aktywności fizycznej czy diety, bez względu na to, czy były one związane z leczonym schorzeniem. Największym wyzwaniem w tej dziedzinie pozostaje jednak odpowiednie przygotowanie samych specjalistów do pracy z osobami starszymi. Dlatego z kolei Amerykańska Izba Lekarzy Rodzinnych (AAFP) stworzyła już w 2006 r. zestaw najważniejszych zasad, którymi mają się kierować specjaliści w kontakcie z pacjentami w podeszłym wieku. Zalecenia AAFP wprowadzone zostały też do programów nauczania w wielu akademiach medycznych w USA, w tym najbardziej prestiżowych, na uczelniach należących do Ligi Bluszczowej. Mówią one m.in. o poświęcaniu starszemu pacjentowi więcej czasu niż młodszemu, utrzymywaniu kontaktu wzrokowego w trakcie badania i wywiadu czy przekazywania diagnozy w formie mniej skomplikowanych komunikatów.

Przed wszystkim jednak uważa AAFP dotyczą właśnie rozmowy o stylu życia. I może dlatego wzbudzają kontrowersje w niektórych kręgach medycznych. Przeciwnicy poszerzonego wywiadu medycznego uważają go za nieetyczny, naruszający prywatność pacjentów. Podkreślają, że w warunkach współczesnej służby zdrowia, zwłaszcza w krajach, w których jest ona niedofinansowana, niemożliwe jest wydłużenie czasu przyjmowania jednego pacjenta, bo system nie będzie w stanie obsłużyć wszystkich chętnych. Mimo to coraz więcej krajów decyduje się wprowadzać wywiad o stylu życia (ang. *patient lifestyle interview*) do zakresu

obowiązków lekarzy zajmujących się starszymi pacjentami.

Karta seniora to za mało

Dużo trudniej jest wprowadzać systemowe rozwiązania na płaszczyznach, których państwo nie reguluje lub w które wkracza w minimalnym zakresie. Do takich należą chociażby kultura i sposoby uczestnictwa w życiu publicznym. Paula Span

Coraz więcej krajów wprowadza wywiad o stylu życia do zakresu obowiązków lekarzy zajmujących się starszymi pacjentami.

z „New York Timesa” zauważa, że starzenie się populacji krajów rozwiniętych radykalnie zmienia wyobrażenia 60- czy 70-latków o ich życiu w danym wieku. Z czasem rosnąć będzie liczba emerytów, którzy całe swoje życie przeżyli jako członkowie klasy średniej lub wyższej. A co za tym idzie, przyzwyczajeni będą do innych form spędzania czasu.

Oczywiście najprostszym rozwiązaniem są znane i w Polsce karty seniora, darmowe bilety do muzeów czy kin dla osób powyżej pewnej granicy wiekowej. Jak pokazują jednak badania prowadzone na Temasek Polytechnic w Singapurze, tradycyjne sposoby przestają działać, ponieważ również kultura przechodzi rewolucję technologiczną. Dlatego właśnie na wspomnianej uczelni utworzono pierwszy w regionie całonocowy kurs studiów z gerontologii, czyli dziedziny nauki zajmującej się procesami starzenia. Studenci nie tylko dowiadują się o społecznych, ekonomicznych i medycznych konsekwencjach podnoszenia się średniej wieku w społeczeństwach, ale także odbywają zajęcia praktyczne. Uczą ludzi starszych m.in. korzystać z internetowych platform streamingowych, identyfikować strony wyłudzające wrażliwe dane i pieniądze, prowadzą też zajęcia z podstawowych form aktywności fizycznej.

Tworzą poza tym specjalny ekosystem aplikacji na smartfony dla seniorów. Coraz więcej osób starszych korzysta bowiem z telefonów komórkowych z ekranami dotykowymi i dostępem do internetu mobilnego. Dzięki temu nie tylko są lepiej skomunikowani ze światem, ale też stają się potencjalnymi klientami technologicznych gigantów. Studenci z Temasek

odpowiadają właśnie za pilotowanie seniorów w świecie technologii. Wyszukują dla nich chociażby gry poprawiające pamięć i koordynację wzrokowo-ruchową czy filmy instruktażowe z ćwiczeniami do wykonywania w domu. Jednocześnie informują, jak chronić się przed aplikacjami, które często bez poinformowania użytkownika pobierają np. wysokie roczne opłaty abonamentowe już po jednym użyciu programu.

Starzejące się społeczeństwa to szansa biznesowa nie tylko dla firm technologicznych. Eksperti Banku Światowego i tygodnika „The Economist” wskazywali co najmniej 20 branż, które w coraz starszej populacji czeka rozkwit finansowy. Należą do nich turystyka zdrowotna, produkcja wyposażenia wewnątrz do domów opieki, prace remontowe, tworzenie nowych produktów bankowych dla starszych klientów, produkcja kosmetyków przeciw starzeniu, kliniki płodności, sprzedaż produktów do opieki nad zwierzętami i tzw. medycyna holistyczna, czyli terapie całego człowieka. Choć zawierają one rozwiązania z różnych dziedzin i porządków, dobitnie pokazują jedno – że znana nam koncepcja starości zrobiła się już po prostu przestarzała. ■

W USA kupimy elektrownię jądrową czy bombę atomową? Odpowiedź w nowym numerze tygodnika „NIE”.



Kino nie jest młotem na rzeczywistość

Dziś panuje cenzura prewencyjna. Fajne pomysły młodych dusi się w zarodku



Rozmawia Mateusz Demski

Jako że spotykamy się w ramach 38. Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych Młodzi i Film, chcę zacząć od anegdoty, którą raczy się tu gości. Słyszałem, że podczas jednego z pierwszych koszalińskich festiwali wyrzucił pan telewizor przez okno.

– Prawda, ale myśmy rozrabiali i wyrzucali te telewizory w Koszalinie, bo o coś chodziło. Młodzi i Film powstał jako festiwal ZMS-owski. Został wymyślony przez koszaliński aktyw partyjny, by odciągnąć uwagę widzów od festiwalu w Łagowie, który był naszym środowiskowym wydarzeniem. Namawialiśmy więc Stowarzyszenie Filmowców Polskich, którego prezesem był wówczas Jerzy Kawalerowicz, do przeprowadzenia uchwały o bojkocie koszalińskiego festiwalu. Zarząd główny wysłał mnie i Krzysztofa Kieślowskiego do Kosza-

JANUSZ KIJOWSKI

– reżyser, scenarzysta, producent, dyrektor artystyczny Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych Młodzi i Film

lina na przeszpiegi, żebyśmy na własne oczy przekonali się, z jakim wydarzeniem mamy do czynienia.

Niech zgadnę, wpakowali się panowie na pole minowe, zapuścili na terytorium wroga.

– Wprost przeciwnie. Spodziewaliśmy się propagandy i politycznych haseł, a spotkaliśmy ludzi opętanych miłością do kina. Ludzi, którzy chcą wyciągać rękę do młodych, dawać szansę debiutantom. Doszliśmy do wniosku, że bojkot takiego wydarzenia, nawet jeśli ufundowanego pierwotnie przez władzę, byłby absurdalny. Zaczęliśmy więc do Koszalina masowo przyjeżdżać. Swoje filmy pokazywali tam Tomasz Zygadło, Ja-

nusz Zaorski, Feliks Falk, Agnieszka Holland. W ten sposób Koszalin stał się ważnym miejscem dla naszego pokolenia. Ale fakt faktem, że ciągle buzowała w nas potrzeba sprzeciwu. Stąd incydent z telewizorem.

Często mówi pan, że ten telewizor powinien nadal lądować za oknem. Co pan dziś myśli o festiwalu w Koszalinie? Wciąż jest to miejsce sprzeciwu?

– Wie pan, że tego właśnie mi brakuje – brakuje filmów gorących, które zdecydowanie opowiadają się za komentowaniem świata, w którym żyjemy. Mam poczucie, że w polskim kinie coraz częściej oglądamy bunt natury egzystencjalnej, związany w dużej mierze z motywem konfliktów rodzinnych bądź niezrozumienia ze strony rówieśników. Jest to rodzaj autentycznego sprzeciwu, ale nakierowany na bliskie otoczenie. Niestety, wyczuwam w tym sporo eskapizmu, ucieczkę przed wieloma prawdziwymi problemami, które są dla nas niezwykle istotne. Jest w tym dużo autocenzury, ale również cenzury zewnętrznej.

Wspomina pan o cenzurze, czyli są jakieś analogie między dawną, reżimową cenzurą a dzisiejszymi zakazami? Sytuacja jest w pewnym sensie podobna, a mimo wszystko sprzyjała ona pana pokoleniu w tworzeniu odważnych filmów.

– Dzisiaj jest inaczej, radykalnie zmieniły się czasy. Według mnie paradoksalnie czuliśmy się wtedy wolniejsi, bo wisiły nad nami tylko cenzura i system. Dziś przeciwnicy przychodzą z każdej strony. Układy i partyjniactwo, dziki kapitalizm i prymat pieniądza, korupcja i gnuśność. Nie muszę chyba mówić, że do tego dochodzi grupa szaleńców u władzy, która zawłaszczyła takie pojęcia jak prawda czy patriotyzm.

Kiedy słucha się pana, można odnieść wrażenie, że dawniej było lepiej, miało się większą wolność. A przecież pana pierwszy film „Indeks” przeleżał cztery lata na półce.

– Tak, ale nasze filmy przynajmniej powstawały. Przychodziło się z gotowym materiałem na pokaz kolaudacyjny i słuchało się uwag tych głupich urzędników. Przy moim drugim filmie, „Kung-fu”, postawiono mi w Naczelnym Zarządzie Kinematografii 23 zalety o wycięciu scen i dialogów, żeby film mógł wejść na ekrany.



Indeks

latną dokumentacją dotyczącą Szczuczyna, Jedwabnego, Wąsosza, Radziłowa – miejsc, gdzie odbywały się masowe mordy. Tam ludzi grzebano żywcem, noworodki nabijano na widły i wrzucano do ognia. W debacie publicznej nie słyszy się o tych dantejskich scenach, nikt przez lata nie rozliczył tego nieprawdopodobnie mrocznego rozdziału historii. Dlatego nie mam złudzeń, ten scenariusz pewnie wyląduje w szufladzie.

Zapytam naiwnie: nie ma szans na ubieganie się o pieniądze w PISF?

W końcu to instytucja publiczna, a my żyjemy w wolnym kraju.

– To marzenie ściętej głowy. Dziś jest cenzura i kościelna, i obyczajowa, i finansowa. W PISF uprawia się politykę średniawy, finansuje letnie kino środka, które nie ma nic wspólnego z propozycjami ostrymi, odważnymi,

Janusz Kijowski – ukończył Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego (1972). W okresie studiów był krytykiem filmowym (tygodnik „Kultura”). Wieloletni (do 2016 r.) wiceprezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, od 2016 r. członek zarządu głównego i honorowy wiceprzewodniczący. W 2002 r. został wiceprezsem Europejskiej Federacji Reżyserów Filmowych (FERA). W latach 2005-2008 członek Rady Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Członek Europejskiej Akademii Filmowej (EFA). W latach 2004-2018 dyrektor Teatru im. Jaracza w Olsztynie.



Maskarada

Krzysztof Kieślowski poradził mi, że bym poszedł na ulicę Mysią w Warszawie, gdzie mieścił się Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Umówiłem się z cenzorem odpowiedzialnym za sprawy związane z kinem i po półtoragodzinnej rozmowie wykreślił on wszystkie uwagi NZK, zostawił tylko jedno zdanie, które mu się nie spodobało. „Niech pan to wytnie albo zagłuszy przelatującym samolotem”, powiedział. Widzi pan, że nie każdy był brutalny.

No tak, w obecnym systemie jest trochę inaczej. To nie gotowy film, ale scenariusz, a czasem ledwie jego krótkie streszczenie, trafia do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. I jest skazane na łaskę lub niełaskę tzw. ekspertów i komisji.

– Dobrze, że pan o tym mówi. Dziś panuje cenzura prewencyjna. Fajne pomysły młodych dusi się w zarodku. Wiele scenariuszy nie dostaje dofinansowania, czyli wiele filmów w ogóle nie powstaje. Zresztą sam mam kilka takich tekstów. Razem

Brakuje filmów gorących, które zdecydowanie komentują świat.

z Mirosławem Tryczykiem pracujemy nad filmem inspirowanym jego książką „Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów”, która opisuje pogromy ludności żydowskiej na Podlasiu w latach 1941-1942. Opieramy się więc na materiale, który jest rzetelną i skrupu-

będącymi przeżyciami granicznymi. Prawda jest taka, że pieniądze rozdaje się w dużej mierze na nieszkodliwe komedie romantyczne, byle tylko nie urazić niczych uczuć narodowościowych i religijnych. Nie może być mowy o gejach, Żydach, dobrych lub złych komunistach w 1949 r. „Żołnierze wyklęci” muszą być wygładzeni, żeby broń Boże nie wyszli na bandziorów, którzy podpalali białoruskie wsie. Tym samym, żeby zrobić autorski film, coraz częściej podejmuje się decyzję o pójściu na kompromis i podporządkowaniu się obowiązującemu systemowi.

To może czas najwyższy na zdecydowany opór i mocne, oskarżycielskie kino polityczne? Bezczelną, wyrazistą publicystyką, bez

► **szacowania ostatecznych kosztów i efektów.**

– No, tylko gdzie pan dziś z takim scenariuszem pójdzie? Poza tym niech pan dobrze mnie zrozumie – nie chodzi o filmy *stricte* polityczne. Od tego rodzaju dosłowności sztuka powinna uciekać, by przypadkiem nie ześlizgnąć się w nieudolną propagandę. Kino jest odbiciem rzeczywistości, a nie młotem na nią.

To zdanie nie przywraca wiary w sztukę i moc jej oddziaływania.

– Nic nie poradzę, że nie mam w sobie naiwnej wiary, że kino może odwrócić losy świata lub naszej ojczyzny. Z takiej iluzji brutalnie wyrwał nas choćby film braci Sekielskich, który pokazał, że skutek może być odwrotny do zamierzeń. Wielkie zwycięstwo PiS w wyborach europejskich było spowodowane m.in. premierą „Tylko nie mów nikomu”, a to dlatego, że niektórzy ludzie odebrali ten film jako atak na Kościół. Na szczęście Sekielscy pokazali także coś optymistycznego. Że istnieje niezgoda, że są jeszcze waleczni ludzie, którzy chcą obnażyć,

mówić głośno i szukać sposobów na obejście upolitycznionych dotacji publicznych. Ich przykład dowodzi, że *crowdfunding* to szansa dla niezależnego kina, a może nawet dla rzetelnej literatury historycznej.

Dziś jest cenzura i kościelna, i obyczajowa, i finansowa.

Ciekawe to wszystko, tym bardziej że mówi pan o erze tzw. ciepłej wody i przystawianiu na brutalną rzeczywistość, która unieważnia wszelki bunt, a mimo to przez ostatnich 10 lat działał pan jako dyrektor artystyczny festiwalu w Koszalinie na rzecz młodych. Dlaczego?

– Bo nadal uważam, że młodzi są nadzieją. Kiedy wiele lat temu przyjeżdżałem do Koszalina, towarzyszyła mi myśl, że nasz sprzeciw jest oznaką suwerenności i zbrońości intelektualnej. Wtedy też zrobiłem „Kung-fu”, czyli film o solidarności. O idei bycia razem, tworzeniu wspólnoty i wspólnym reagowaniu. Nasza formacja,

tzw. kina moralnego niepokoju, była w tym znaczeniu czymś wyjątkowym. Pracowaliśmy w zespołach, nasze filmy powstawały w maszoperiach. U mnie w montażowni siedzieli Krzysiek Kieślowski i Tomek Zygańto, przychodziliśmy do siebie na różnych etapach pracy. Wszyscy podglądaliśmy, co robią koledzy. Nikt nikogo nie chciał przy tym wykiwać, nie było między nami zawiści czy zazdrości. Po prostu trzymaliśmy się razem. Dzięki temu stanowiliśmy grupę nie do zabicia. Ani cenzura, ani restrykcyjna władza nie miały co z nami zrobić. Uderzenie w jednego powodowało, że pozostali chwyтали się za ręce. Teraz formuła jest taka, że każdy skręca w stronę indywidualizmu, skupia się na swoich projektach i chowa je przed innymi za pazuchą. Ludzie się porozdzielali i pozamykali. A może właśnie przyszedł czas, by wyzwolić się z tego poczucia osamotnienia? Mam przekonanie, że dobrze by było stworzyć grupę, która dzięki wzajemnej pomocy sprawi, że w polskim kinie będzie lepiej.

Mateusz Demski



Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Mam smutne wrażenie – ba, pewność właściwie – że problemy naszej planety tragicznie się upraszczają. Trzydzieści parę lat temu zdarzyła mi się okazja pojeżdżenia trochę po Czadzie, Nigrze i Mali. Było to doświadczenie wstrząsające (pisałem o tym wtedy). Europejczyk nie jest przyzwyczajony do oglądania ludzi z brzuchami wzdętymi od głodu, umierających dzieci, którym na twarzach zostały już tylko nieprawdopodobnie smutne, ogromne oczy. Europejczyk nie jest przyzwyczajony do życia w poczuciu ciągłego zagrożenia, w miejscu gdzie wszyscy walczą ze wszystkimi, nie wiadomo w końcu, choć głowią się nad tym europejscy eksperci, kto z kim i po co, ale jak łała się krew trzydzieści kilka lat temu, tak leje się nadal i nic nie wskazuje, by cokolwiek miało się zmienić.

Europejczyk nie jest przyzwyczajony, to fakt. Ale mieszkańcy tamtych ziem też nie są przyzwyczajeni. Z tego prostego względu, że nie można się przyzwyczaić do zagłady własnych dzieci i braku nadziei. Mówiłem po powrocie, że tego nie da się utrzymać. Żadne morza nie są w stanie oddzielić na stałe piekła od eldorado. Może to kwestia 40 lat,

kosztowało! Nie da się! Niech zdychają. Tyle przecież nie zapłacimy, nawet by ratować samych siebie.

Te kilkaset gatunków zwierząt i roślin, które każdego miesiąca znikają na zawsze, a przecież odgrywały jakąś rolę w równowadze biosystemu, to abstrakcja. Może jeszcze trochę stoni żal, bo takie duże i z trąbami, albo tygrysów – tygrys robi wrażenie, lub jeszcze torbaczy koala i misiów panda – takie milutkie, że tylko przytulić, a przede wszystkim daleko. No, bądźmy sprawiedliwi – czasem zlitujemy się nad stadem krówek, nawet nad łosem dzieciątów trójpalczastych, dopóki nam żadnej niewygody nie sprawiają. Kto by jednak się roztkliwiał nad jakimś zielskiem, tym bardziej insektem.

Inne wymysły? Dziura ozonowa. Jaka dziura? Jakby w niebie była dziura, toby święci pospadali, zresztą tam, gdzie zaproszona została po śmierci Królowa Polski, nie może być nieelegancko. Ocieplenie klimatu? Sam prezydent Trump powiedział, że to histeria, a takie panisko, nasz najlepszy przyjaciel i przywódca samej krynicy wszelkich wolności i sprawiedliwości – Stanów Zjednoczonych – nie może się mylić. Jakies mędrki powiadają, że ludzkości już nie starcza wody

Zagłada

może 50, ale musi nastąpić eksplozja. I właśnie mamy jej początki. Na razie nosi imię „uchodźcy”. Rozwaleni w fotelach polityczni durnie mówią nam lekceważąco, że tylko częściowo mamy do czynienia bezpośrednio z ucieczką przed wojną, a w większości przypadków – z migracją ekonomiczną. Niby tak, zgadza się, ale w rzeczywistości to wierutne i cyniczne kłamstwo. Emigracja ekonomiczna, czy to Polaków do Anglii lub Niemiec, czy to Ukraińców do Polski (życzę jednym i drugim jak najlepiej), to ze wszech miar usprawiedliwiona próba poprawy standardu życia. Dla uchodźców z Mali, Afganistanu, Syrii, Sudanu, Bangladeszu... to próba po prostu ratowania życia. I jest wtedy najzupełniej obojętne, czy grozi śmierć od kuli, „chirurgicznie precyzyjnych” rakiet, czy z głodu i pragnienia albo niemożliwych do powstrzymania zaraz. To moment, w którym w grę wchodzi zachowanie tego ostatniego, co pozostaje – biologicznej egzystencji i perspektyw dla potomstwa.

Jakże sprzeczne z uznawanymi przez nas ponoć wartościami (co dopiero mówić o chrześcijańskim miłosierdziu) jest odgradzanie się od tych pariasów ludzkości murami, kordonami policji czy wojska, straszenie przed nimi obywateli groźbą mordów, gwałtów czy roztopienia się w obcym (prymitywnym oczywiście) żywiole. Nie tylko podłe to, ale i głupie. Historia wykazała już przecież nieraz, że instynkt życia jest silniejszy niż zamknięte porty czy pola minowe. Oczywiście można by zorganizować realną, międzynarodową akcję zapewnienia uchodźcom choćby elementarnych warunków bytowych w ich ojczyznach. Ile by to jednak

i problem ten niedługo stanie przed nami w całej grozie? Nie przesadzajmy z tym czarnowidztwem. Powszechny smog zasmradza (nie bez skutków) coraz większe połacie kontynentów. Ze śmieciami i odpadami przemysłowymi, w tym radioaktywnymi, nie wiadomo, co zrobić, znajduje się je nawet na dnie Rowu Mariańskiego; do płuc planety – Puszczy Amazońskiej – dobrali się uczniowie eksministra Szyszki (kumpla Rydzyka, więc dotąd nieukaranego za przestępcze szkodnictwo) i rąbią, aż wióry lecą. Ginie natura, a wraz z nią ginimy my sami? Nie przesadzaj pan. Za to jeśli doraźnie coś nas może choć trochę po kieszeni uderzyć – o, wtedy obywatel żywemu nie przepuści. Kormorany czy foki wyjadają mu ryby? Wybić do szcztu! Wilki zjadły mu owieczkę? Wymordować! Dziki trują zagony i wyjadają kartofle? Wystrzelać!

Ostatnio potrzebujący widać pilnie afrodyzjaków minister Ardanowski, godny kolega Szyszki, chce zabrać się do bobrów. Wielkie przynoszą ponoć straty w rolnictwie. Najprostszy na to sposób – pozabijać! I w swoim mózgowym zaścianku ma jakąś niby-rację. Władza nie da przecież poszkodowanemu rolnikowi pieniędzy, bo potrzebuje na 500+, czyli głosy w urnach. Współobywatelę się nie zrzuca, bo ich to osobiście nie uwiera. Rolnik nie przecierpi, bo mu się należy gospodarstwo bez bobrów... I tak jest ze wszystkim. Bobrami, dziurą ozonową, uchodźcami. Empatia nie sięga do kieszeni. Słowa piękne, póki fotel miękki.

Nie umrzemy z braku wody czy na pylicę płuc. Nie umrzemy pod maczugą złowrogiego uchodźcy. Zadusimy się najprościej w świecie własnym egoizmem.

Teatr w Opolu: wiele hałasu o nic?

Sytuacja niezbyt znanego teatru nikogo nie interesuje.
Ale pokazuje, że najważniejsze są liczby i spokój urzędników

Beata Dżon-Ozimek

Do Opola przyjeżdża się na kiepski festiwal piosenki polskiej, do Teatru Lalki i Aktora, czasem na Opolskie Konfrontacje Teatralne. Opole nie leży na szlaku kulturalnych podróży, zaglądają tu raczej sentymentalne niemieckie wycieczki.

Pracownicy jedyne go w regionie teatru, im. Jana Kochanowskiego, do 2015 r. mają poczucie, że są jednym z lepszych zespołów w Polsce – pracowali z nimi Maja Kleczewska, Paweł Passini, Krzysztof Garbaczewski, Agnieszka Holland i Jacek Poniedziałek. Wtedy dyrektorem zostaje Norbert Rakowski, reżyser i aktor. I zespół słyszy, że tu nie ma zespołu. Aktorzy zbyt prowincjonalni?

Rakowski taką funkcję pełni po raz pierwszy, ma niełatwe zadanie oddłużenia i zrestrukturyzowania teatru. Jego działania są początkiem konfliktu z częścią zespołu.

Po czterech latach tej dyktury część zespołu (i związków) chce nowego konkursu na dyrektora teatru, mówią: sprawdzam! Jeśli komisja uzna pracę Rakowskiego za dobrą, uszanują werdykt. Bo powinny się liczyć nie tylko wyniki ilościowe i spokój urzędników, ale też atmosfera w instytucji, zaufanie i szacunek. Nie wśluchano się w różne głosy przy wprowadzaniu drakońskich zmian.

Po czterech latach mają śmiałość, by mówić o strachu i przemocy psychicznej, jaką odczuwali od początku kadencji Norberta Rakowskiego. Na wejściu usłyszeli od „nowego”, że on nie musi być dyrektorem, jemu na tym nie zależy. – Docierają do mnie głosy niezadowolenia, ale mówimy o wąskiej grupie pracowników, trzy-cztery osoby ze związków zawodowych, które od początku kontestują mój plan zarządzania teatrem wyłącznie z propozycjami repertuarowymi – odpowiada Rakowski.

– Musi pani sobie zdawać sprawę, że jeśli powiemy coś na „nie”, str-



Norbert Rakowski funkcję dyrektora pełni po raz pierwszy, ma niełatwe zadanie oddłużenia i zrestrukturyzowania teatru.

cimy pracę. W „naszym domu” nie dzieje się dobrze – zaznaczają moi rozmówcy. Niektórzy mówią o lęku od progu teatru, nie rozmawiają głośno, przemykają bokiem. Pracownicy obsługi sceny anonimowo przyznają, że nęka się ich wezwaniem na dywanik, straszy zwolnieniami i zmianami umów. Część odeszła. Rakowski potwierdza: dwie osoby odeszły do wrocławskiego Teatru Współczesnego, pozostała część zespołu bardzo dobrze realizuje swoje obowiązki.

Ludzie drżeli o pracę

Jeden teatr dramatyczny w regionie oznacza jedyne go pracodawcę. – Dyrektor od razu zaczął zwalniać ludzi. Zespół ogarnęła panika. Zdarzyło się, że w biurze czekali pan dyrektor i prawnik ze słowami „Mam dla pani/pana świetną propozycję, która zdarza się raz; podpiszemy rozwiązanie umowy o pracę za porozumieniem stron z trzymiesięczną odprawą” – relacjonują byli i obecni aktorzy.

– To duże uproszczenie, a nawet manipulacja. Część etatów została ograniczona, co wynikało z ekstremalnie trudnej sytuacji ekonomicznej,

o czym wszyscy doskonale wiedzieli. Nie może być tak, że jedna osoba pracuje kilkanaście godzin w ciągu roku, a druga kilkadziesiąt razy więcej i ich wynagrodzenie zasadnicze jest dokładnie takie samo. Uważam, że takie działania były racjonalne, uczciwe i co najważniejsze zgodne z prawem – wyjaśnia Norbert Rakowski. Aktorzy mówią o różnej argumentacji: nieuczestniczeniu w warsztatach teatralnych, złamanej nodze i narażeniu teatru na straty. Jeden z aktorów wygrał sprawę w sądzie pracy. Dyrektor zaznacza, że trzy razy wygrał teatr. Dwóch aktorów zaproponowało swoje warunki rozstania.

Aktorzy słyszeli, że mają się cieszyć, że dyrektor z nimi rozmawia, bo Andrzej Seweryn w Teatrze Polskim w Warszawie zostawiał zwolnienia dla aktorów na portierni.

Zwolniono 10 aktorów, drastycznie okrojono zarobki.

Przewodnicząca związku aktorów nie chce rozmawiać. Na spotkaniu w teatrze słyszę: „Bez nazwisk proszę”, „Może kolega, który już nie pracuje, powie, jak go zwalniano”. – Dyrektor działał na szkodę teatru, bo czuliśmy się rozbijani jako zespół

strachem przed zwolnieniem, przed konsekwencjami finansowymi. Nie sprzyjało to atmosferze pracy artystycznej. Dla aktora w Opolu teatr jest w zasadzie jedynym źródłem zarobku. Ludzie mają kredyty, dzieci na studiach. Strach przed utratą pracy paraliżuje – mówi były członek zespołu.

– Ludzie drżeli o pracę, można było z nimi zrobić wszystko. Jedni stawiali przeciwko drugim. Na prośbę dyrektora troje aktorów zeznawało przeciw koledze w sądzie – dorzuca jeden z aktorów. Kiedy związkowcy chcieli nagłośnić, co się dzieje, usłyszeli, że dostaną taką opinię, że już nie znajdują pracy. – Wróciłem ze zwolnienia spowodowanego ciężką depresją, organizm odmawiał posłuszeństwa. Podpisałem przejście na ćwierć etatu, przy prawniku. W wieku 60 lat i po 35 latach na scenie słyszałem: „Co się pan tak uparł, przecież pan nie musi pracować w zawodzie” – opowiada aktor. Potem miał zawał serca. – Sądzę się z teatrem o utracone zarobki. Na rozprawie zapytałem, dlaczego moje zdjęcie nie wisi we foyer, przecież jestem na jednej czwartej etatu. Niech wisi jedna czwarta zdjęcia. Był śmiech na sali, ale gorzki.

Aktor, który jest dwa sezony poza teatrem, nie chce wracać do tego okresu ani być łączony z nazwiskiem dyrektora, podobnie inny, młody – długo wracał do równowagi po okresie pracy z dyrektorem Rakowskim. Popularna, lubiana aktorka, która urodziła dziecko i zmniejszono jej etat o połowę, uniosła się ambicją i zwolniła. Wyjechała, koledzy wciąż się o nią martwią. Inna znana twarz „Kochanowskiego” wspomina: – Rozstaliśmy się za porozumieniem stron z inicjatywą pana dyrektora. Byłem jednym z tych, którzy głośno mówili, jeśli coś im się nie podobało. Miałem w planie spektakl w teatrze Capitol, ale nie chciałem, by było jak z innym kolegą. Dyrektor zgodził się na jego udział w „Burzy” w Capitolu, ale prośby o wolny termin kończyły się tym, że musiał grać w Opolu.

Młody aktor nie wytrzymał, odszedł.

Hobby i 300 razy w roku casting

Na afiszu „Podróż za jeden uśmiech” Adama Bahdaja, trwają próby do „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa. W lipcu spektaklem „Córki po-

wietrza. Sen Balladyny” teatr otworzy hiszpański Festival Internacional de Teatro Clásico w Almagro.

Placówka może się pochwalić nagrodami, ciekawymi koprodukcjami, świetną oprawą plastyczną wydawnictw autorstwa Krzysztofa Iwańskiego, najlepszego plakacisty Europy w 2018 r., otwarciem eksperymentalnej sceny. Jako obiekt zaś wieloma wyremontowanymi pomieszczeniami i foyer z knajpką.

– Dla mnie najważniejsze jest to, czemu służy teatr. To właśnie generuje moje decyzje w zarządzaniu jednostką. „Teatru nie robi się dla własnej przyjemności, jest to zawsze gra

Dla aktora w Opolu teatr jest w zasadzie jedynym źródłem zarobku.

we dwoje. Partnerem jest widz” – mówi dyrektor Rakowski za Zygmuntem Hübnerem.

Zastał teatr „ekstremalnie zapuszczony”. – Ludzie pracowali w norach. Wyremontowałem garderoby, które były skandaliczne: pleśń, grzyb, syf. Mówię też o mentalnym podejściu. Jeśli twórcy nie wiedzą, kto to jest Iwan Wyrpajew albo David Mamet, to jakby nie wiedzieć, kto to jest Jan Paweł II. Ale oni też są trochę Bogu ducha winni, to się wiąże z wieloma latami przyzwyczajenia.

– Zwolnienia pracowników miały kilka płaszczyzn. Jeśli mamy mentalne grzyby zespołowe, a jednocześnie powołujemy się na zespół, to to, co widzimy i słyszymy, niekoniecznie jest prawdą, to tylko perspektywa spojrzenia – uważa Norbert Rakowski. – Świat na zewnątrz wygląda inaczej niż w wielu teatrach w Polsce. Teatr repertuarowy, jak opolski, jest komfortem. Moi aktorzy w Pradze często pracowali po nocach w barach, żeby móc zarobić, aktorstwo stało się artystycznym hobby, a nie zawodem. Erwin Axer, mój profesor, mówił, że to nie jest zawód, to zajęcie, w którym czasem jest lepiej, czasem gorzej – dodaje Rakowski.

Niektórzy aktorzy zdaniem dyrektora nie chcą czytać zadanych pozycji, nie biorą udziału w warsztatach, które organizuje, nie oglądają przedstawień, nie rozwijają się. Wolałby, żeby grali także gdzie indziej. Zaznacza, że młodzi aktorzy 300 razy w roku mają

casting. – A są aktorzy, którzy nic nie zrobili w tym kierunku – mówi.

Jedna trzecia zatrudnionych spośród ok. 90 pracowników teatru należy do trzech związków zawodowych – do Związku Zawodowego Aktorów Polskich, Solidarności i Związku Zawodowego Pracowników Teatru im. J. Kochanowskiego „Kochanowski”, założonego już za dyrektora Rakowskiego.

„(...) odczuwamy, że obecny Dyrektor nie utożsamia się z miejscem, nad którym objął pieczę i o które zadeklarował się dbać. Charakter jego dyktury określilibyśmy mianem zakazowo-nakazowego, a nie partnerskiego”,

piszą członkowie ZZAP. Norbert Rakowski uważa opinię za wyraz kierowania się partykularnymi interesami kilku związków: – Wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że pracuję z pełnym zaangażowaniem. Jedyny zarzut, który można mi postawić, to to, że jestem wymagający – w pierwszej kolejności od siebie.

Normy, unikat na skalę kraju

Rakowski przejął teatr z długiem 1,5 mln zł i pustą linią kredytową, z setką osób na utrzymaniu. – Wyniki finansowe z roku na rok się poprawiały, doszliśmy do ponad 300 tys. zł na plusie w roku 2018 – mówi opolski wicemarszałek Zbigniew Kubalańca.

Dyrektor obniżył stawki w umowach o pracę i stawki za przedstawienia. Aktorzy spłacali dług poprzez normy – przez półtora sezonu każdy

Dyrektor od razu zaczął zwalniać ludzi. Zespół ogarnęła panika.

miał trzy normy, czyli trzy spektakle w miesiącu grał w ramach wynagrodzenia zasadniczego.

– Normy – to się niemal nie zdarza w Polsce. To właściwie sprawa polityczna, że długiem teatru obciążani są aktorzy, zespół techniczny, a powinni odpowiadać dyrektor, który do zadłużenia doprowadził, i władze, pracodawca dyrektora – uważa aktorka Cecylia Caban.

– Pierwszy rok był najokrutniejszy dla wszystkich, ale działaliśmy za porozumieniem związków zawodowych na rzecz reanimacji teatru – przyznaje Rakowski.

Panie dyrektorze, czemu pan tak nienawidzi tego zespołu i tego miasta?
– pytają aktorzy.

W lipcu spektaklem „Córki powietrza. Sen Balladyny” teatr otworzy hiszpański festiwal w Almagro.



► Pion techniczny twierdzi, że ucierpiał finansowo najbardziej. Dyrektor zabrał tym pracownikom wszystkie dodatki, mają tylko podstawę, za wyjazdy od niedawna dostają „jakieś grosze”. – Nie odbiegamy w tym zakresie od przeciętnych stawek w teatrach o porównywalnym budżecie – wyjaśnia dyrektor. Premie są dla tych, którzy wnoszą „dodatkową wartość”.

– Repertuar i czas pracy planowany jest tak, że wyjazdy nakładają się na zajęcia na miejscu. Inna sprawa to brak ludzi w obsłudze sceny, zostali zwolnieni albo odchodzą. Technika, obsługa sceny pracuje po kilkanaście godzin, wychodzą im nadgodziny, które trzeba ukryć, bo nie ma jak za nie płać – przyznaje anonimowo pracownik pionu. Ludzie są tym zmęczeni.

– Mamy bardzo dobrą kadrową, która kontroluje czas pracy. Co roku przeprowadzane są kontrole, audyty i nie wykazały żadnych nieprawidłowości – wyjaśnia szef teatru.

– Fakty, które są dla mnie istotne, oprócz wielu nagród, premier, to podwyżki co roku. W zeszłym roku byliśmy na 19 wyjazdach, m.in. na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych, Boskiej Komedii, otworzyliśmy nową scenę, Modelatornię, mamy pierwszą w historii koprodukcję z teatrem hiszpańskim. W ciągu trzech lat przyniosłem do tego teatru z różnych programów 20 mln zł – wycicha Rakowski.

Cecylia Caban: – Pięknieje przestrzeń teatru, dyrektor jest zainteresowany modernizacją, remontami, sprawami technicznymi. Powstają pozytywne, wartościowe projekty dla młodych twórców. Zaprosił do współpracy Agatę Dudę-Gracz, z pracy z nią będę długo czerpać.

Monika Stanek, aktorka, od dwóch lat w teatrze, to jej pierwsze zatrudnienie po szkole: – Tu się tworzy taka aura, że młody twórca ma przestrzeń, żeby się spełnić.

Najmilsze jest dla niej, że kole-dzy, którzy zaczynają kariery, także ci z Warszawy, mówią: „U was w Opolu dużo się dzieje”. – Koprodukcje są świetne, dają szansę na wymianę energii, działają na nas, którzy zaczynamy, i na tych, którzy pracują dłużej. Dają rozmach, chce nam się sięgać wysoko! Mam ogląd, bo jeżdżę na spektakle w Polsce – cieszy się młoda aktorka. Docenia możliwość pracy z zagranicznymi twórcami, ostatnio z hiszpańskim reżyserem Ignaciem Garcią.

Monika Stanek, opowiadając o Teatrze im. Kochanowskiego, mówi: „my”, „zespół”, ale są aktorzy, którzy tego nie robią. Po wielu latach pracy pytają: „A gdzie my, dlaczego się z nami nie rozmawia?”. Walde-mar Kotas, już emerytowany aktor o 45-letnim stażu, po roku dyrektury Rakowskiego pytał na bankiecie po premierze: „Panie dyrektorze, czemu pan tak nienawidzi tego zespołu i tego miasta?”.

Odszedł właśnie bardzo popularny opolski aktor Andrzej Czernik, twórca Ekostudia, pierwszego prywatnego teatru w mieście. – Pracuję tu niemal 20 lat, bardzo się przywiązuję do ludzi, bardzo przeżywam odejście przyjaciół i kolegów, którzy opuścili teatr nie zawsze z własnej woli. Są nowi, następuje wymiana, to natura teatru, ale boli takie łatwe żegnanie się z ludźmi – przyznaje Cecylia Caban.

Najgorsze mamy za sobą

– Aktorka, która idzie na emeryturę, mówi mi: „Hula panu ten teatr”. Jeżeli rezygnuję z dobrego życia freelancera, 20 lat poświęcam przygotowaniu na życie w teatrze, przyjeżdżam do jakiejś miejscowości, to moim priorytetem jest dobro teatru, a nie partykularny interes różnych osób – zapewnia Norbert Rakowski.

– Najgorsze rzeczy w teatrze mamy za sobą, pan dyrektor zrobił to, co marszałek w kontrakcie mu zalecił. Klimat jest pozytywny, przez ostatnie trzy lata były systematyczne podwyżki dla wszystkich pracowników, jest więcej widzów. Jesteśmy przed dużą modernizacją, to jeden z argumentów, by nie rozpisywać konkursu, boby utrudnić przeprowadzenie tego projektu – mówi wicemarszałek Kubalańca. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przekazuje urzędowi marszałkowskiemu pozytywną opinię o dyrektorze na podstawie opinii związków w teatrze (dwie na trzy negatywne) oraz stanowiska Związku Artystów Scen Polskich i Stowarzyszenia Dyrektorów Teatrów. Kontrakt można przedłużyć.

Na pewno dyrektor Rakowski nie miał łatwej misji, a ludzie tego teatru wiele zapłacili, nie tylko finansowo, za ratowanie „swojego domu”. Teraz powinien być czas ulgi, zbiorów. Dlaczego jakoś nie czuć entuzjazmu wokół jedynego teatru w regionie, a dyrektor Rakowski nie jest obdarzany mandatem zaufania przez pracowników? Nawet jeśli niechętnych mu jest „tylko” 30%. To z pewnością nie sami frustraci, huby teatralne, leniwi, niekreatywni ludzie, którym nie chce się „rzetelnie wykonywać swoich obowiązków”.

Beata Dżon-Ozimek

Nazwiska rozmówców do wiadomości redakcji.

Koniec monopolu „Wiadomości”

Edward Mikołajczyk

Dobra nowina. W przestrzeni medialnej pojawił się nowy serwis wideo dorównujący „Wiadomościom” TVP 1. Nazywa się „Doniesienia”, więc od razu wiadomo, że bez ściemy. Podobieństw jest dużo, a różnic tyle, ile mniej więcej między „Prawdą” a „Izwiestiami”, największymi dziennikami w byłym Związku Radzieckim. W pierwszym nie było wiadomości, czyli izwiestii, a w drugim prawdy. Podobnie tutaj: w „Wiadomościach” mamy doniesienia, a czasem tylko donosy, a w „Doniesieniach” można spotkać jakąś wiadomość.

Obejrzałem i polecam wydanie zapowiadające Marsz Równości w Poznaniu. Już pierwsze zdania prezenterki orientują widza, że ma do czynienia z zawodowstwem na najwyższym poziomie, a jednocześnie dziennikarstwem służebnym, przepełnionym miłością do ojczyzny, reagującym współczuciem, kiedy trzeba współczuć, i gniewem, ilekroć naszej narodowej tradycji zagrażają wartości zagraniczne, obce parafialnemu dziedzictwu. A tak właśnie się dzieje, kiedy na ulice polskich miast wychodzą „homoi transseksualiści”.

Marsz Równości ma w teorii promować równość – zauważa przytomnie dziennikarka, zapowiadając najważniejszy temat wydania, ale „w praktyce promuje homoseksualizm i lewacką ideologię”. W jednym zdaniu mamy tu wszystko – i newsa, i oskarżenie. Zauważmy symetrycznie, że „Wiadomości” też nie oddzielają informacji od komentarza, ale w robocie „Doniesień” słychać większą troskę o dobro ojczyzny. Naruszanie obcej nam reguły BBC, która każe postępować odwrotnie, po prostu ma w tym przypadku serdeczne uzasadnienie.

Prawie połowa najmłodszych widzów „Wiadomości” ogląda ten program dla tzw. beki.

Prowadząca (łudzkie podobieństwo do kierowniczkii „Wiadomości”) nie śpieszy się z potępieniem „elgiebete”, zanim nie odda głosu reporterowi. Z ogromnym wyczuciem buduje dramaturgię przekazu medialnego, subtelnie i bez napinki zachęca kolegę do obnażenia prawdziwych zamiarów tego czteroliterowego środowiska, które z przyzwyczajenia zaślania prawdę golizną. Stawia przed nami wszystkimi fundamentalne pytanie wyrwane z zajętych troską gardet: „Co to oznacza dla milionów bezbronnych polskich dzieci?”.

Relacja reporterska nie pozostawia złudzeń, co będzie się święcić w Poznaniu. Bez owijania w bawełnę dziennikarz prognozuje, że z pewnością dojdzie do seksualizowania dzieci, m.in. z użyciem banana. Siłą takiej telewizji

jest szczerowość ludzi, a warunkiem skuteczności przekazu – mistrzowskie zespolenie obrazu ze słowem.

Ozdobą serwisu są paski. Podczas gdy „Wiadomości” zredukowały ich rolę do zawiadamiania widzów o tym, co myśli Kaczyński, „Doniesienia” znacznie poszerzają ich spektrum poznawcze i powierzyły im także funkcję ożywiania publiczności przed ekranem. Specjalnie podkreślam ważność tej ostatniej innowacji, bo jak wynika z najświeższych badań odbioru, prawie połowa najmłodszych widzów najważniejszego serwisu informacyjnego TVP ogląda ten program dla tzw. beki, czyli po to, żeby sobie uzbierać trochę nowego materiału dla jaj.



Twórcy „Doniesień”, czyli członkowie grupy Stonewall, korzystają już z odkrycia nowego segmentu widowni telewizyjnej i twórczo wychodzą mu naprzeciw. Paski w tym programie zdecydowanie poszerzają obszar zagranicy obsługiwany przez serwis (izraelscy geje odbierają dzieci surogatom z Nepalu, brytyjscy geje zamawiają trzy córki), rodzimym myślicielom torują drogę do opinii publicznej (Krasnodębski: miałem znajomych homoseksualistów, którzy nie byli gejami), donoszą na tych, którzy podnoszą obie ręce na Polskę i na Kościół równocześnie (bezczelni geje chcą rozbić paradę św. Patryka), interweniują, kiedy ludziom dzieje się krzywda (babcie w domach opieki zmuszane do dzielenia pokoju z transseksualistami) i upowszechniają inicjatywy podejmowane przez rząd, aby wszystkim żyło się lepiej (jak nie być gejem – rząd zapłaci za filmy instruktażowe).

„Doniesienia” górują nad „Wiadomościami” nie tylko warsztatowym profesjonalizmem i napięciem seksualnym, lecz także repertuarem i temperaturą uczuć, jakich rzeczywistość domaga się od dziennikarzy. Minister Gliniński jeszcze nie obciął im dotacji tylko dlatego, że nigdy ich nie przyznał. A widać, że redakcji zabrakło pieniędzy choćby na korespondenta w Kraśniku, gdzie na historycznej sesji rady powiatu ustalano definicje wuhała i elgiebe i coś tam.

NA POWAŻNIE

KURTYNA W GÓRĘ



KANDYD Z HIPERMARKETU

Marzenia marzeniami, ale przygody zawsze kiedyś się kończą (dobrze albo źle), bo proza życia i tak zwycięża i ląduje się w sklepie, tu akurat w hipermarkecie. Tak można by podsumować przesłanie „Kandyda” w reżyserii Znanieckiego. Zaadaptował on filozoficzne dzieło Woltera, przechodząc od oryginału do czasów nam współczesnych. Jest więc wędrownka głównego bohatera po świecie przepełnionym wyzyskiem, mordem, seksem i nietolerancją. I rzekomym dobrodziejstwem zachodniej (chrześcijańskiej?) cywilizacji.

Dzieło Bernsteina, choć trudno jednoznacznie je określić – ni to wodewil, ni operetka – skrzy się muzycznymi hitami. Daje śpiewakom możliwość pokazania kunsztu wokalnego i umiejętności aktorskich. W krakowskiej premierze Małgorzata Walewska w roli Old Lady zaprezentowała obie sztuki. Wokalny popis dała Katarzyna Oleś-Blacha, której koloratura jest stworzona do roli Kunegundy – obiektu miłości Kandyda, w której to roli udanie wystąpił Voytek Soko-Sokolnicki. Podobnie jak Mariusz Godlewski w roli Panglossa.

Mocną stroną przedstawienia są kostiumy, gorzej wypadła orkiestra, której szczególnie na początku brakowało tempa, mocniejszego synkopowania, tak charakterystycznego u Bernsteina.

Paweł Dybicz

Leonard Bernstein, „Kandyd”, reżyseria Michał Znaniecki, Opera Krakowska, premiera 7 czerwca 2019

NIEUDANA SESJA SAMOBÓJCÓW

Nietrudno zrozumieć, dlaczego Michał Zadara wziął na warsztat szekspirowską tragedię „Romeo i Julia” i zaangażował do tytułowych ról naprawdę młodych ludzi. Julia Leszkiewicz ma naprawdę 14 lat jak w tekście Szekspira, a Julian Zbudniewek dobiega 16. roku życia. Zapewne reżyser uznał, że temat wcale nie zwietrzał, co więcej, że czas dojrzewania to czas desperackich decyzji, w tym nieodwracalnych, kończących się samobójczą śmiercią. Chciał poddać te opinie weryfikacji z pomocą rówieśników Szekspirowskich bohaterów.

Jednak ten godny wsparcia zamysł nie przeistoczył się w teatralną materię. Powstał spektakl niezdarny i niechlujny, pozbawiony energii, którą mieli tu wносить młodzi i ich deskorolki. U Zadary nie było ani słychać, ani widać, do krętki filmowe miały stanowić ni to reportaż, ni to stylizację, ale ścieżka dźwiękowa się rozjeżdżała, dziura goniła dziurę. Jednym słowem, zgotował sobie Zadara katastrofę, z której uszła cało jedynie Dominika Ostafowska jako Piastunka, która nieoczekiwanie urosła do głównej postaci sztuki.

Wszystko to wyglądało na pierwsze przymiarki do spektaklu, w którym wrzaskliwość wykonawców i brak synchronizacji scen nagranych z tymi na żywo miały być cnotą, ale stały się zmorą. Toteż nie może być mowy o żadnym współczuciu, chyba że dla widzów, którzy na przedstawienie się wybrali.

Tomasz Miłkowski



William Szekspir,
„Romeo i Julia”,
tłumaczenie
Józef Paszkowski
i Jan Kasprowicz,
scenariusz i reżyseria
Michał Zadara,
Teatr Studio, premiera
7 czerwca 2019

BYLIŚMY

19. Festiwal Sztuki Mimu: ONCE

Twórca Teatru Derevo, Anton Adasinsky, zdecydował się zrealizować swojego „klasyka”, „ONCE”, z Teatrem Warszawskiego Centrum Pantomimy. To piękna opowieść o miłości i niespełnionych marzeniach, ukazana z ogromnym wyczuciem formy, poetyckiego nastroju i humoru. Artyści skupieni wokół centrum i Bartłomieja Ostapczuka stworzyli przedstawienie pełne urody, wdzięku i poezji, utrzymane w zdyscyplinowanym rytmie, a jednocześnie z pewnym marginesem improwizacji. Akto-ryzy wykreowali na scenie bań

o miłości tyleż nieszczęśliwej, co rozniecającej nadzieję. Połączyli prostotę z wyrafinowaniem, liryczne tony z upodobaniem do zabawy. Widać to było w rozmaitych sytuacjach. Umie-



jętne wykorzystanie klaunady, tradycji dell'arte i sceny lirycznej, warsztatowa biegłość wykonania, porywająca kreacja Bartłomieja Ostapczuka i wysokiej próby praca całego zespołu dały w rezultacie widowisko przywracające teatrowi i widzom blask magicznego scenariusza „ONCE”. To był wieczór dobrych uczuć – rzecz w dzisiejszym teatrze bardzo rzadka.

Tomasz Miłkowski

„ONCE”, scenariusz i reżyseria Anton Adasinsky i Derevo Laboratorium, Teatr Warszawskiego Centrum Pantomimy, Scena na Woli Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy, premiera otwarcia 19. Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Mimu, 7 czerwca 2019

ZAGRAJĄ

DOKUMENT W TV

OPERA NA TARGU WĘGLOWYM „Paria” Stanisława Moniuszki

Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku zaprasza na wyjątkową edycję Opery na Targu Węglowym. 30 czerwca na diodowym ekranie zobaczymy „Parię” Stanisława Moniuszki. Transmisję na żywo z Teatru Wielkiego im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu skomentują Jerzy Snakowski i Katarzyna Hołysz. Dodatkowy program to:

„Opera uwolniona” – minirecital na przedprożach kamienic na Głównym Mieście, oraz warsztat dla dzieci – „Moni i Uszko i mali melomani”. Wstęp wolny.

GDAŃSK, TARG WĘGLOWY, 30 CZERWCA, GODZ. 18.00



LÓD PŁONIE

W dokumencie „Lód płonie”, wyreżyserowanym przez Leilę Conners, filmowcy podróżują po świecie w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, czy można jeszcze odwrócić zmiany klimatu. „Chcieliśmy zrobić film, który pokazuje piękno naszej planety i bardzo potrzebne nam rozwiązania oparte na odnawialnych źródłach energii i technologii sekwestracji dwutlenku węgla”, mówi współproducent i narrator Leonardo DiCaprio. Zdjęcia kręcono m.in. w Norwegii, na Alasce i Islandii, w Kolorado, w Szwajcarii, na Kostaryce i w Connecticut.

HBO GO, PREMIERA W HBO 4 LIPCA



ZAJRZY TU

ZAJAWKA. ŚLĄSKI HIP-HOP 1993-2003

Hip-hop narodził się pod koniec lat 70. w środowiskach ubogich Afroamerykanów. Przeszczepiony na polski grunt w latach 90. został pozbawiony tamtejszego wymiaru walki z rasizmem, ale pozwalał młodym ludziom torować sobie drogę do lepszej pozycji społecznej. „Zajawka” opowiada o początkach fascynacji hip-hopem, pokazuje pierwszą dekadę jego rozwoju, zmagania z problemami typowymi dla pionierów każdej dziedziny. Wystawa dla osób od 16. roku życia.

KATOWICE, MUZEUM ŚLĄSKIE, DO 1 WRZEŚNIA



JAN MATEJKO. KRESKA – KOMPOZYCJA – KUNST

Najwybitniejszy polski reprezentant malarstwa historycznego posługiwał się również kreską i rysunkiem, o czym świadczą prace ukazujące to na różnych etapach jego twórczości. W dorobku Matejki są w pełni ukończone prace rysunkowe, projekty monumentalnych dzieł przeznaczonych do realizacji w technice olejnej. Tworzył też celne karykatury.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, DOM JANA MATEJKI, DO 15 WRZEŚNIA



PAULINA WŁOSTOWSKA Tworzywa sztuczne, materiały malarskie i ich zastosowanie

Autorka miała okazję zapoznać się z twórczością jej zmarłego sąsiada, malarza Czesława Gendka, tworzącego w różnych technikach, zajmującego się grafiką użytkową, wystawiennictwem oraz reklamą. W jego studiu znajdowały się niedokończone dzieła i narzędzia codziennej pracy. Włostowska nie poznała malarza, zetknęła się jedynie z przedmiotami, które już utraciły pierwotne funkcje. W jej działaniu chodzi o nawiązanie dialogu nie z konkretną twórczością, lecz właśnie z przedmiotami – widzi w nich abstrakcyjne formy i konstrukcje.

WARSZAWA, MIEJSCE PROJEKTÓW ZACHĘTY, DO 11 SIERPNI



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Jak kamień w wodę

Poszukiwania w Jeziorze Dywickim znów zakończyły się fiaskiem.
Kiedy matka zamordowanej 23-latki odzyska spokój?

Marek Książek

Po 23 latach od tragicznego zdarzenia Danuta Januszevska ponownie miała nadzieję na odnalezienie szczątków córki, Joanny Gibner. Według pierwszych zeznań zabójcy utopił on ciało poślubionej trzy tygodnie wcześniej żony w niewielkim jeziorze koło Olsztyna. Poszukiwania przeprowadzone wówczas przez plotwonurków policyjnych, a potem sprowadzonych z Marynarki Wojennej, nie przyniosły jednak rezultatu. Torba podróżna z ciałem młodej kobiety, obciążona złomem, przepadła. Co prawda, specjalistyczne urządzenie wykryło cień jakiegoś pakunku w jeziorze, ale ze względu na mocno muliste dno nie zlokalizowano celu. Kolejne poszukiwania podjęła w czerwcu br. Fundacja Na Tropie, lecz i tym razem się nie udało, mimo zastosowania nowocześniejszego sprzętu.

Narzeczeni z wiejskiej dyskoteki

Niewiele brakowało, aby organom ścigania w ogóle nie udało się ustalić, co się wydarzyło w kawalerce przy ulicy Partyzantów 12 w Olsztynie we wrześniu 1996 r. Ta historia zaczęła się cztery miesiące wcześniej, od wiejskiej dyskoteki w podolsztyńskich Dywitach, na którą Joanna trafiła po rozstaniu z dotychczasowym partnerem. Filigranowa, ładna i delikatna dziewczyna, absolwentka technikum telekomunikacyjnego, z Andrzejem chodziła dosyć długo, ale ten nie chciał się z nią zenić. A nawet gdyby chciał, sprzeciwiła się temu matka Joanny. – Była w nim jakaś złość – powie później o Andrzeju, niepasującym jej do roli zięcia, pani Danuta. Liczyła, że córka, czytana, o ujmującym sposobie bycia, pracująca w agencji ubezpieczeniowej, znajdzie lepszego partnera. I Joanna szukała,



Danuta Januszevska z portretem zamordowanej córki.

także na wspomnianej dyskotecie. Tam 1 maja 1996 r. poznała młodszego o dwa lata Marka W., chłopaka o przeciętnej urodzie, który pracował dorywczo na budowie, za to miał mercedesa „beczkę”. Jakby na złość Andrzejowi Joanna związała się z nim na poważnie.

Już w czerwcu ogłosili zaręczyny i zamieszkali w Dywitach, u rodziców Marka, właścicieli gospodarstwa rolnego. Niebawem Asia odkryła, że rodzina narzeczonego jedynie sprawia wrażenie zamożnej, faktycznie zaś jest mocno zadłużona w bankach. Nawet wprost zapytała wtedy matkę Marka, czy wyludziła kredyt. Spotkały ją za to wyzwiska. Z płaczem wróciła do rodzinnego domu w Olsztynie. Jej mama sądziła, że romans wywietrzyła córce z głowy, lecz dwa dni później Marek przyjechał do Joanny z bukietem kwiatów, odciął się od matki i obiecał miłość aż po grób. Asia przyjęła przeprosiny, ale nie chciała już mieszkać z matką narzeczonego. Pani Danuta wynajęła im kawalerkę przy Partyzantów 12 w centrum Olsztyna.

Awantura na weselu

Dwa miesiące później Asia z Markiem stanęli na ślubnym kobiercu. Panna młoda kupiła obrączki, zapłaciła za jedzenie i alkohol, w części wypity jeszcze przed weselem, które odbyło się w domu pana młodego. Danuta Januszevska szybciej wróciła do Olsztyna, bo nazajutrz miała iść do szpitala. Jednak już o czwartej nad ranem zadzwoniła do niej córka, prosząc, by przyjechał po nią ojczym, bo biesiadnicy się popili, wywiązała się awantura, teściowa rzuciła się na nią z pięściami, spychała ze schodów, a świeżo poślubiony mąż nawet nie stanął w jej obronie.

Zaraz po weselu Marek uderzył młodą żonę ręką, a potem przystawił jej nóż do szyi. Matka namawiała Asię, żeby się rozwiodła, ale obie uznały, że zajmą się tym, gdy pani Danuta wróci ze szpitala. Córka odwiedzała ją tam w następnych dniach, opowiadając z płaczem, że Marek nic nie zarabia, tylko siedzi z kolegą w domu, piją piwo i szydzą z niej. W końcu zdesperowana Joanna przyprowadziła do szpitala męża i oboje zadeklarowali, że się rozwiodą. Do tego czasu on zamieszkał w hotelu. Ostatni raz pani Danuta widziała córkę w piątek, 13 września, wieczorem. Wtedy Asia przekazała jej swoje ostatnie pieniądze w obawie, aby Marek ich nie przepił. Miały się spotkać w sobotę, ale Joanna już nie przyszła.

We wtorek, 17 września, panią Danutę odwiedził za to zięć, powiadając, że w sobotę Asia wyszła na dyskotekę i nie wróciła do domu. Szukał jej po znajomych, ale przepadła bez śladu. Zgłosił więc zaginięcie na policję. Następnego dnia, po wyjściu ze szpitala, mama Asi także rozpoczęła poszukiwania. Bez skutku. Tymczasem rodzina zięcia upowszechniała wersję, jakoby Joanna została uprowadzona za granicę i sprzedana do domu publicznego.

Sprawą zajęła się nawet redakcja programu TVP „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”, w którym Marek W. zaapelował do żony, że jeśli nie chce z nim żyć, niech się rozwiedzie, ale niech wróci do Olsztyna. Wystąpił w golfie osłaniającym szyję, na której – co wyjdzie na jaw później – miał zadrapania.

Utopione ślady zbrodni

Program został wyemitowany wiosną 1997 r., w tym czasie Marek mieszkał już z nową partnerką, Emilią. Bez ślubu, bo formalnie był jeszcze żonaty z Joanną. Życie toczyło się dalej, konkubina urodziła mu dwójkę dzieci i choć wiedziała, że żona partnera zaginęła wkrótce po ślubie, przyjęła wersję o wywiezieniu jej do domu publicznego w Niemczech. Nie spodziewała się, że Marek, mimo że czasami dzielił ją po głowie, mógłby kogoś zabić.

Ale w wakacje 2003 r., czyli siedem lat po zaginięciu Joanny, w drzwi ich mieszkania w Dywitach ktoś włożył kartkę z pytaniem: „Kto wie, gdzie teraz przebywa Joanna Gibner W... (tu pełne nazwisko po mężu)?”. Dalej autor listu groził, że jeśli Marek z Emilią nie wyprowadzą się z domu rodzinnego W. do 15 sierpnia, opiekę nad nimi przejmie państwo (w domyśle – pójdą do więzienia). Poniżej szantażysta umieścił mapkę rejonu Dywit z zaznaczonym jeziorem, dopisując na czerwono: „No i gdzie ona teraz jest???????” Zgaduj zgadula”. Adresaci od razu

się domyślili, że list przestał im Arkadiusz, starszy brat Marka, z którym popadł on w konflikt na tle rozliczeń za prąd. Po kilku godzinach, przy piwku, Emilia zapytała partnera, co właściwie stało się z jego żoną. Odpowiedział: „Nie chciałybyś wiedzieć”. Ale Emilia nie ustępowała i wtedy Marek wyznał jej na chłódno, że udusił Joannę.

Ta odpowiedź nie dawała kobiecie spokoju, gdy – pod wpływem szantażu – wyprowadzili się do Olsztyna. Przy pierwszej okazji Emilia wróciła do tematu. Tym razem Marek ze szczegółami opowiedział, co się stało w kawalerce przy Partyzantów 12. Mówił, że zakochał się w Joannie, która zaszła z nim w ciążę (co nie było prawdą) i dlatego się z nią ożenił. Jednak zaraz po ślubie zaczęła prowadzić rozrywkowy tryb życia, wychodziła wieczorem na dyskoteki i potem Marek musiał jej szukać. Feralnego dnia stracił pracę, był wściekły i w chwili gniewu uderzył żonę najpierw pięścią w głowę, a potem udusił gołymi rękami. Kiedy stwierdził, że Joanna nie żyje, wsadził jej ciało do wersalki (prawdopodobnie jeszcze tam było, gdy w trakcie poszukiwań córki na wersalce usiadła pani Danuta). Po dwóch, trzech dniach zapakował zwłoki do torby podróżnej i z pomocą kolegi ukrył w garażu rodzinnego domu w Dywitach. Później z bratem obciążyli torbę złotem, włożyli do pontonu, Marek wypłynął na jezioro i wrzucił ciało do wody.

Emilia poczuła się zagrożona i złożyła doniesienie na policję. Zatrzyma-

ny Marek W. przyznał się do winy, powtórzył swoją wersję także w prokuraturze i w sądzie, który rozpatrywał wniosek o tymczasowe aresztowanie. Dodał, że Joanna w sobotę spotkała się z poprzednim narzeczoną (co ten potwierdził) i Andrzej „zrobił jej dobrze”. Dlatego Marek wpadł w szal, najpierw uderzył żonę, potem udusił, a pakując do torby ciało Joanny, musiał potłamać jej nogi, bo się nie mieściły. Potem jednak, już w celi, poszedł w zaparte, twierdząc, że takie wyjaśnienia wymusili na nim biciem policjanci. Opowiadał nowe, czasami fantastyczne historie, np. że to jego matka z bratem zabili Joannę i ukryli w zasypanym potem stawie. Jednak policja z pomocą płetwonurków poszukiwała zatopionych zwłok w Jeziorze Dywickim. Bez powodzenia.

Sąd, mimo braku ciała, pierwsze wyjaśnienia oskarżonego uznał jako dowód pośredni i skazał Marka W. na 25 lat więzienia. Obrońca się odwołał i w powtórnym procesie zmniejszono karę do 15 lat, Arkadiusz W. zaś w trzech wyrokach dostał łącznie ponad trzy lata odsiadki.

Gdzie jest ciało Joanny?

Skazany odsiedział karę i gdy wyszedł z kryminatu, wrócił do Dywit. W tym czasie matka Joanny nadal przeżywała traumę, a z braku prawdziwego grobu córki urządziła symboliczny w jej pokoiku. Mniej więcej trzy lata temu do sprawy wrócił miesięcznik „Reporter”, a że jego naczelny Janusz Szostak utworzył Fundację Na Tropie poszukującą zaginionych ludzi, podjął się odnaleźć Joannę. Zaangażował trójkę krakowskich płetwonurków z klubu 5 Fal, którego szef Radosław Jurkowski zdecydował się rozpocząć penetrację jeziora praktycznie za zwrot kosztów. Zlokalizowano 53 miejsca, w których torba ze szczątkami Joanny mogła zostać zatopiona. Jednak tygodniowe przeczesywanie mulistego dna zakończyło się niepowodzeniem. Ekipa z Krakowa nie poddaje się i wróci do Dywit za kilka tygodni.

Niezależnie od wyniku poszukiwań nic się nie zmieni w sytuacji zabójcy. Jego historia już się zakończyła – zmarł w lutym tego roku. ■

Krakowscy nurkowie podczas poszukiwań w Jeziorze Dywickim.



Bronisław Tumitowicz

Można się spierać, kto pierwszy uruchomił w Polsce internet albo kto wysłał pierwszy mejl. Nazwisk jest wiele, ale jeden fakt pozostaje bezsporny – wszystkie drogi prowadzą do Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. To fizycy pierwsi poczuli potrzebę podłączenia siebie, a potem całej Polski, do światowej sieci, chociaż nic nie przychodziło łatwo.

Nocna zmiana w instytucie

Opowieści o początkach wysłuchuję na Wydziale Fizyki, na który zapraszają dwaj ojcowie polskiego internetu. Dr hab. Roman Szwed, specjalizujący się w fizyce cząstek elementarnych, na początku tłumaczy, dlaczego akurat fizycy, a nie np. matematycy, dziś sąsiadzi z przeciwnej strony ulicy Pasteura, jako pierwsi

Mejle przynoszono na dyskietkach, z których sekretarka tworzyła zbiorczy plik.

sięgnęli po ten wynalazek informatyczny. Przecież na Wydziale Matematyki UW działała już sekcja informatyczna. Dr Szwed wylicza przyczyny:

- bo fizykom internet był bardziej potrzebny,
- bo pracowali oni w dużych zespołach, nawet międzynarodowych, i widzieli pilną potrzebę łatwej i szybkiej komunikacji między sobą,
- bo na Wydziale Fizyki już w latach 80. przeprowadzono komputeryzację, zakupiono (przywiezione w plecakach) pierwsze 25 pecetów firmy Inswell,
- bo internet był już na Zachodzie otwarty i był niezależnym standardem.

Fizycy pracujący naukowo w Warszawie mogli dzięki prymitywnym sztuczkom – wówczas był to jedyny sposób – łączyć się z zagranicznymi ośrodkami obliczeniowymi przez tzw. internet wdzwaniany. Kładło się słuchawkę telefonu, który był połączony za pośrednictwem zwykłej sieci telefonicznej z jakimś instytutem zachodnim, na specjalnym urządzeniu, które wysyłało dane numeryczne do odbiorcy dysponującego dużą mocą obliczeniową. W analogiczny sposób odbierano w Polsce przysyłane wy-

niki. Sesja połączenia trwała czasem kilka godzin, na Wydziale Fizyki ustalono więc nocne dyżury.

Naszym fizykom wciąż jednak było mało. Założyli na Uniwersytecie Warszawskim pierwszą sieć komputerową, potem rozszerzaną na inne placówki. Tak rozpoczęła się długa i skomplikowana walka o podłączenie naszej sieci do tej właściwej, WWW, czyli World Wide Web. Do roku 1991 Polska była dla Zachodu niepewnym partnerem, choć już dwa lata minęły od Okrągłego Stołu i pierwszych częściowo wolnych wyborów czerwcowych 1989 r.



Roman Szwed wspomina swoje dalsze losy. Chciał zbudować sieć metropolitalną, ale odmówiono mu grantu, więc zajął się biznesem, który nazywa skokiem w komercję. Założył firmę ATM i stał się pierwszym komercyjnym dostawcą internetu w Polsce. – A zarobienie pierwszych 20 mln zł na sieć światłowodową zajęło mi 10 lat! – dodaje. – W TPSA nie mieli wtedy pojęcia, czym jest światłowód. Powiedzieli, że to nie jest przyszłościowe...

Ten pierwszy mejl

To fizycy pierwsi poczuli potrzebę podłączenia siebie, a potem całej Polski, do światowej sieci

Wędrująca antena

Sprawa internetu dla Polski jednak nie umarła. Pałaczkę od Wydziału Fizyki przejęła Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa, NASK, która początkowo była dziełem Centrum Informatycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Na dyrektora NASK powołano też fizyka, specjalizującego się w astronomii dr. Macieja Kozłowskiego.

Dr Kozłowski trochę bardziej szczegółowo opisuje kulisy starań o internet dla Polski. Pokazuje fotografię z komentarzem: – Za początek internetu w Polsce uważa się 17 sierpnia 1991 r., kiedy to Rafał Pietrak, fizyk z Uniwersytetu Warszawskiego, współpracujący z Krzysztofem Hellerem, fizykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, nawiązał łączność internetową z Janem Sørensenem, pracującym na uniwersytecie w Kopenhadze.

Ale za prawdziwy początek pełnej łączności uważa się dopiero 20 grudnia 1991 r., kiedy dla naszego kraju otworzyły się bramki po stronie USA. Trzeba pamiętać, że internet w Stanach zaczął się ponad 20 lat wcześniej, w 1969 r. Widać jak na dłoni polskie zapóźnienie technologiczne.

Jednak wcale nie czekano u nas beczynnie na zmiłowanie się Wuja Sama. – Nie chcieliśmy stać się skansenem naukowym. Już w maju 1987 r. fizycy z UW uruchomili wydziałowy serwis wymiany komputerowej z sieciami światłowymi. Mejlowaliśmy na potęgę – wspomina dr Kozłowski. – Mejle przynoszono na dyskietkach, z których sekretarka tworzyła zbiorczy plik.

Od pierwszego oficjalnego mejla zaczął się wyższy szczebel rozwoju technologicznego, bo nie używano już archaicznego internetu wdzwanianego, ale na dziedzińcu przy rektoracie Uniwersytetu Warszawskiego zamontowano antenę satelitarną.



Fizycy dr hab. Roman Szwed i dr Maciej Kozłowski mają duży udział w powstaniu polskiego internetu.

W ten sposób przez kolejne cztery lata mieliśmy niezależne łącze obsługujące linię satelitarną Warszawa-Sztokholm. Antena podjęła pracę w marcu 1992 r. i była nastawiona na szwedzkiego satelitę geostacjonarnego Tele-X. W połowie 1996 r. zastąpiono ją nową, ustawioną na dachu Auditorium Maximum. Obsługiwała łącze do USA, gdy już uchylila się żelazna kurtyna dla techniki używanej przez placówki militarne. Wcześniej oficjalne pisma rektora UW (wtedy był nim fizyk prof. Grzegorz Białkowski) spotykały się z eleganckim i zawołanym sprzeciwem strony amerykańskiej. Na przykład: „Są potencjalne trudności w zestawieniu takich połączeń wobec regulacji Departamentu Handlu USA dla użytkowników zaawansowanego sprzętu komputerowego”.

Stara antena, niewątpliwy zabytek techniki, w 2008 r. legła pod płótnem magazynu UW przy ulicy Pasteura. – Ale ją uratowaliśmy – podkreśla dr Kozłowski. – Teraz stoi przy budynku Centrum Astronomicznego PAN w Warszawie, co świadczy o roli astronomów w inicjowaniu i rozwijaniu internetu w Polsce.

Astronomiczne wsparcie

Epopeja starań o podłączenie Polski do światowej sieci internetowej ma wiele etapów i licznych bohaterów, pozytywnych i negatywnych. Z pewnością najbardziej chwalebny jest udział w niej wybitnego polskiego

astronoma pracującego w USA, prof. Bohdana Paczyńskiego (1940–2007). Dr Kozłowski mówi o nim: – Pierwszy po Koperniku.

Prof. Paczyński próbował, korzystając z prywatnych przyjaźni i doskonałych kontaktów w kręgach naukowych USA, wyjednać zniesienie embarga na przyłączenie Polski do WWW. To on mejlował do dr. Kozłowskiego: „Świat się zmienia, a USA nie nadążają”.

Polskich astronomów pracujących w różnych krajach Zachodu było oczywiście więcej i wszyscy w miarę swoich możliwości wspomagali

nasze starania. Ich internetowe adresy były więc dla uczonych w Polsce cennym kapitałem.

Dzięki fizykom z UW powstała w grudniu 1993 r. pierwsza polska graficzna strona www. W naukowym czasopiśmie „Science” ukazała się jeszcze w 1990 r. notatka zapowiadająca, że naukowcy w Europie Wschodniej wkrótce będą mogli współpracować z kolegami z Zachodu, używając sieci komputerowych. Departament Handlu USA poinformował, że nie sprzeciwia się udostępnieniu sieci komputerowej BITNET instytucjom naukowym w krajach Europy Wschodniej.

W tej sytuacji znalazły się w Polsce pieniądze na prace związane z przystąpieniem szkół wyższych i instytucji naukowych do sieci EARN/BITNET. I ruszyła fala. Połączenia z internetem uzyskała większość uniwersytetów i uczelni technicznych, a polscy informatycy nawet pomagali kolegom z innych krajów, np. z Ukrainy i Białorusi, podłączyć się do sieci. Dr Kozłowski zachował pismo z Mińska z 1996 r.: *Uważamyj profiessor. My błogodarny NASK... My sożalejem, czto iz-za otsustwija dienieg ot etogo kanała swiazi priszło otkazasia* (Szanowny profesorze. Jesteśmy wdzięczni NASK... Ubolewamy, że z powodu braku pieniędzy musimy odmówić połączenia z tym kanałem łączności). Ale to już zupełnie inna historia. ■



Kolejne zwierzę czeka na pomoc.

Oto Gracjan. Duży, masywny, ciężki koń. Spędził swoje całe życie w niewielkim gospodarstwie u Pana Józefa. Razem obrabiali małe pole, razem zwozili wozem siano na zimę dla Gracjana. Co rano Pan Józef dreptał do niewielkiej stajenki, gdzie duży i silny Pan Józef witał go cichym rzeniem, wiedząc, że za moment jego żłób napelni się pachnącym owsem. Minęło im wspólnie ponad 10 dobrych lat. Gracjan dojrzał, wydorósł, a dla Pana Józefa był to czas, gdy starość coraz bardziej zbierała swoje żniwo. Dziś, ten blisko 90-letni starszek, choć nadal dziarsko co rano dreptał do stajni, wodę w wiadrze dla Gracjana musiał nosić już na kilka razy, bo pełne ciężko mu znacznie bardziej niż lata temu. Pan Józef wiedząc, że, ze względu na wiek lato i upały będą jeszcze trudniejsze do zniesienia, postanowił poszukać dobrego domu swojemu przyjacielowi.

Gdy tylko po okolicy rozniosła się wieść, że Gracjan jest na sprzedaż, do Pana Józefa zawiątała właściciel lokalnej szkoły jeździeckiej. Nie raz widział, jak Gracjan grzecznie idzie w wozie, liczył, że będzie dobrym koniem do pracy. Panowie dobili targu i Gracjan z małej, wiejskiej stajenki, w której spędził życie, przeprowadził się do ośrodka jeździeckiego. Niestety nie wszystko poszło po myśli nabywcy, bo Gracjan

choć grzecznie pracował w bryczce, nigdy wcześniej nie woził nikogo na swym grzbiecie. I nie miał zamiaru tego robić. Przy kolejnej próbie zakładania siódła wyrwał się, połamał drąg ogrodzenia, raniąc się przy tym dotkliwie. Zirykowany nabywca nie miał zamiaru czekać, aż koń spokojnie, bo sezon wakacyjny już za rogiem. Zawolał lokalnego handlarza i sprzedał mu Gracjana bez skrupułów.

Dziś Gracjan stoi upięty ciasną liną do handlarskiego żłobu. Przychodzi do niego Pan Józef, gładzi go szyi, przeprasza, że nie może go już zabrać. Pieniądze Pan wysłał wnukom, na komunie. Łzy jak grochy spływają na gracjanowe chrapy, a trzęsąca się ręka za każdym razem poluznia zacisniętą ciasno handlarską linę. Nic więcej nie może zrobić. O ratunek dla Gracjana zwróciła się sąsiadka Pana Józefa, a nasza Eko Klubowiczka. Wpłaciła też zadatek, handlarz zgodził się poczekać do 5 lipca na resztę. To niewiele czasu, a kwota za konia nie jest mała, bo Gracjan jest dużym i ciężkim koniem. Potrzeba aż 7300 zł, by Gracjan nie został odwieziony do ubojni, a serce Pana Józefa nie rozpadło się na milion kawałków, że choć nie chciał, to na śmierć wysłał swojego przyjaciela.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem GRACJAN na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Wąlbryńska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regularnie: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

Barbara Jagas

17 mln osób w Polsce może mieć nadciśnienie, jeśli przyjmujemy normy amerykańskie, które obowiązują od listopada 2018 r.

Według Amerykańskiego Towarzystwa Kardiologicznego prawidłowe ciśnienie krwi nie powinno bowiem przekraczać 130/80 mmHg. Inaczej jest w Europie i w Polsce, gdzie jeszcze za normę uznajemy ciśnienie do 140/90 mmHg. Nawet według tych kryteriów mamy w kraju pokąsną liczbę osób z nadciśnieniem – 14 mln. Liczba zachorowań rośnie wraz z wiekiem, najbardziej narażoną grupą są seniorzy po 75. roku życia, których choroba dotyka w 75%.

Nadciśnienie jest schorzeniem naszych czasów, wiąże się z niewłaściwym, siedzącym trybem życia oraz tłustą dietą, co prowadzi do otyłości – winowajcy numer jeden nadciśnienia. Według II Wieloośrodkowego Ogólnopolskiego Badania Stanu Zdrowia Ludności z 2014 r. w Polsce na nadciśnienie tętnicze chorowało 32% dorosłych, teraz choruje 43%, a jak przewidują prognozy, w 2024 r. na tę chorobę będzie cierpieć połowa Polaków.

Niepotrzebne śmierci

Nie chodzi jednak o samo nadciśnienie, liczą się jego skutki. Otóż jest ono najczęstszą przyczyną powikłań sercowo-naczyniowych, które według Światowej Organizacji Zdrowia są pierwszą przyczyną przedwczesnych zgonów na świecie. Dlatego trzeba bić na alarm. Ten, kto ma nadciśnienie i się nie leczy, może do-

Polipigułki skuteczniej obniżają ciśnienie

W Polsce ponad połowa osób z nadciśnieniem w ogóle nie wie o swojej chorobie



wzroku. – Z danych Polskiego Towarzystwa Nadciśnienia Tętniczego (PTNT) wynika, że na nadciśnienie leczy się w Polsce 46,1% chorych, a właściwą kontrolę ciśnienia uzyskano zaledwie w przypadku 23% badanych – mówi dr hab. Filip Szymański, prezes Sekcji Farmakoterapii

Po drugie, współczesna terapia jest dość skomplikowana, ponieważ trzeba brać kilka leków, w dodatku o różnych porach dnia, co dla niektórych, zwłaszcza ludzi starszych, jest niewykonane.

Okazało się, że patentem na zdyscyplinowanie pacjentów jest polipigułka. Wymyślono ją już kilka lat temu. Takie tabletki zawierają kilka leków, najczęściej dwa lub trzy, które dotąd brało się oddzielnie. Polipigułka jest po prostu łatwiej przyswajana przez chorych, którzy nie muszą pamiętać o różnych porach tykania tabletek i teraz biorą lek tylko raz dziennie. Także od strony psychologicznej jest to dla nich łatwiejsze, nie czują się tacy chorzy. – Nasi pacjenci chętniej zażywają jedną pigułkę niż dwie lub trzy, bo duża liczba leków bardziej zniechęca do terapii, szczególnie na początku leczenia. A potem też łatwiej utrzymują się w leczeniu – mówi dr hab. Filip Szymański.

Choroba nie daje objawów, zwłaszcza w początkowym okresie.

stać zawału, udaru, tętniaka, rozwarstwienia aorty i w rezultacie umrzeć.

Jednak w Polsce nikt nie traktuje poważnie tej choroby. Ponad połowa osób z nadciśnieniem w ogóle nie wie, że je ma. A ci, u których zostało ono rozpoznane i się leczą, też robią to nieskutecznie. Tymczasem nieskuteczne leczenie nadciśnienia może powodować również inne schorzenia: uszkodzenie nerek, miażdżycę, retinopatię nadciśnieniową, wskutek której nieraz dochodzi do utraty

Sercowo-Naczyniowej Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego i sekretarz PTNT. Nic dodać, nic ująć, są to po prostu słabe wyniki.

Jedna tabletką

Dlaczego tak się dzieje? Po pierwsze, ta choroba nie daje objawów, zwłaszcza w początkowym okresie, więc nawet osoby z rozpoznaniem nadciśnieniem nie bardzo wierzą, że są chore, i nie chcą brać leków.

W najnowszych wytycznych Polskiego Towarzystwa Nadciśnienia Tętniczego z 2019 r., wzorem zaleceń Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego (ESC) i Europejskiego Towarzystwa Nadciśnienia (ESH), już zaleca się rozpoczęcie leczenia nadciśnienia od terapii skojarzonej – w jednej tabletkie, właśnie po to, by podnieść efektywność terapii. – Wiele państw już tę metodę leczniczą upowszechniło, m.in. Portugalia, gdzie polipigułki zażywa prawie połowa pacjentów z nadciśnieniem, a kontrolę ciśnienia uzyskano tam u 60% osób z tą dolegliwością. W naszym kraju na razie zaledwie 8-12% pacjentów stosuje polipigułki, a kontrolę ciśnienia uzyskano w przypadku jednej piątej chorych – mówi prof. Andrzej Tykarski, rektor Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu i były prezes PTNT.

Polscy lekarze uważają, że sytuację może poprawić tylko nowa polityka refundacyjna państwa w tym zakresie. Ponieważ to ona jest winna temu, że nasi pacjenci nie biorą polipigułek. Poza tym dotąd obowiązywała inna filozofia leczenia – na początku, po stwierdzeniu u chorego nadciśnienia, stosowało się najpierw jeden lek z jedną substancją, a dopiero potem dawano pacjentowi więcej leków. Obecnie preferuje się leczenie skojarzone, a ostatnio w jednej tabletkie. Wyjątkiem są młodzi chorzy, u których ryzyko chorób sercowo-naczyniowych jest jeszcze niskie i w ich przypadku wystarczy

to je dopasować do poszczególnych chorych. – Takie leki są, co prawda, droższe, ale w dłuższym okresie stosowania dużo bardziej opłacalne. Pozwalają bowiem lepiej kontrolować chorobę. Warto w nie inwestować – podkreśla prof. Filipiak.

Patentem na zdyscyplinowanie pacjentów jest tabletką zawierająca kilka leków, które do tej pory brało się oddzielnie.

Lekarze z PTNT wzywają Ministerstwo Zdrowia do zajęcia się refundacją złożonych leków, ponieważ nie mogą leczyć pacjentów zgodnie ze standardami obowiązującymi w Europie. A tam hipertensjologowie (lekarze zajmujący się nadciśnieniem) mają do wyboru dużo więcej nowoczesnych leków.

Leczenie ruchem

Ale nie tylko farmakoterapia jest istotna. Specjaliści powtarzają, że w leczeniu nadciśnienia liczy się także zmiana stylu życia – zapobieganie otyłości, zwiększenie aktywności fizycznej oraz ograniczenie spożycia soli. Światowa Organizacja Zdrowia zaleca, aby być aktywnym ruchowo przez co najmniej 150 minut tygodniowo, np. 30 minut pięć razy w tygodniu. Z kolei nasi kardiologowie idą dalej, zalecając 300 minut ruchu tygodniowo. Powtarza to sam rektor Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, który chwali się, że codziennie przed pracą jest na godzinnym

specjalistów, kiedy ma się nadciśnienie. A także samemu mierzyć sobie ciśnienie. Jeśli zauważymy, że jest ono podwyższone parę razy z rzędu, trzeba już iść do specjalisty albo chociaż do lekarza pierwszego kontaktu. Obecnie norma ciśnienia

skurczowego dla osób do 60. roku życia wynosi 120-129 i rozkurczowego 70-79, a po 65. roku życia – skurczowego: 130-139 i rozkurczowego 70-79. Warto pilnować prawidłowych wyników, bo jak powiada dr Szymański, wzrost o każdy milimetr słupka rtęci powoduje siedmioprocentowe ryzyko zawału, udaru, tętniaka, a także zgonu z powodu chorób sercowo-naczyniowych.

Pamiętajmy, że nadciśnienie jest chorobą i nie można z nim tak po prostu żyć, nic nie robiąc. Trzeba brać leki, nie ma innej rady. A także uprawiać jakąś formę sportu, co sprawi, że ruszanie się nie będzie dla nas takie trudne. ■

Kardiologowie zalecają 300 minut ruchu tygodniowo.

jeden lek z jedną tylko substancją leczniczą. Dlatego jedynym ograniczeniem w ordynowaniu terapii polipigułkowej są braki refundacyjne.

Prof. Krzysztof Filipiak, prezes Polskiego Towarzystwa Nadciśnienia Tętniczego, apeluje do władz o refundację tych leków, których wyższą skuteczność udowodniono na całym świecie. – Polipigułki są nową filozofią leczenia nadciśnienia, zawartą w tegorocznych zaleceniach PTNT, gdzie nacisk kładziemy na to, by choroba była leczona intensywniej niż dotychczas – mówi prof. Filipiak.

Tymczasem w Polsce są refundowane tylko niektóre polipigułki, a powinno być ich więcej, aby można by-

spacerze. – By było to wykonalne, trzeba po prostu wcześniej wstać, ja jestem na nogach już o piątej – uśmiecha się prof. Andrzej Tykarski. Kardiologowie uważają, że najlepsze są spacerowanie, pływanie i jazda na rowerze.

Chociaż tak naprawdę liczy się każda aktywność.

– Nie wszyscy wiedzą, że wystarczy obniżyć ciśnienie o zaledwie kilka milimetrów słupka rtęci, a do tego prowadzi poprawne leczenie i ruch, by znacznie obniżyć śmiertelność sercowo-naczyniową. Dlatego nie bagatelizujemy nadciśnienia – mówi prof. Tykarski.

I tak jak w wypadku innych chorób należy się badać, chodzić do



Jerzyk – śmigając pod obłokami

Żeby zobaczyć jerzyka, wystarczy
latem wychylić się przez okno
w jakimkolwiek mieście



Marek Pióro

O żadnym innym ptaku nie powiemy, że w locie śmiga. Śmigać znaczy pędzić, sięgać wysoko w górę. Od początku maja do pierwszej połowy sierpnia po niebach naszych miast śmigają jerzyki.

„Dzięki długim, mocnym skrzydłom i niezmiennie rozwiniętym mięśniom piersiowym jerzyk lata niebywale szybko i jak strzała prześzywa powietrze, przy czym uderza skrzydłami bardzo gwałtownie – zachwycał się Jan Sokołowski. – Choć ptak skrzydłami nie wymachuje, a raczej wprawia je w drgania jak sprężyny, uwidacznia się w ruchach wielka siła, jak gdyby zamiast zwykłych mięśni miał cięciwy”.

Jeśli ktoś nałożyłby mapę występowania w Polsce jerzyka na mapę miast, zauważyłby, jak ten ptak pięknie wkomponował się w miejski krajobraz. Jerzyk zdecydowanie najliczniejszy jest na Górnym Śląsku oraz w aglomeracjach warszawskiej i trójmiejskiej.

Jedną z najbardziej spektakularnych, a zarazem bezmyślnych akcji pośrednio wymierzonych w jerzyki było w 2008 r. powieszenie monstrualnego baneru Festiwalu Piosenki Polskiej na gmachu urzędu wojewódzkiego w Opolu na potrzeby TVP. Ta wątpliwa ozdoba, bez której showmani z telewizji nie wyobrażali sobie festiwalu, zakryła ponad 20 gniazd jerzyków. Wprawdzie organizatorzy nie otrzymali zgody od wojewódzkiego

konserwatora przyrody w Opolu, ale zwrócili się do Ministerstwa Środowiska i tam ją dostali od ówczesnej zastępczyni dyrektora Departamentu Krajowych Form Ochrony Przyrody! Zdaniem rzecznika festiwalu baner był niezbędny, „bo to element festiwalowej scenografii i nie można go usunąć”. Na szczęście przyrodników poparł wojewoda opolski i zwrócił się do ministra środowiska o natychmiastowe cofnięcie zgody. Minister przychylił się do sprawy i nakazał zdjąć ten feralny „element festiwalowej scenografii”.

Jerzyk najliczniejszy jest na Górnym Śląsku oraz w aglomeracjach warszawskiej i trójmiejskiej.

Jerzyk był pierwotnie gatunkiem górskim. Wraz z rozwojem miast stworzyliśmy dla niego nowe, równie wspaniałe środowisko: wąwozy ulic, niedostępne dla drapieżników szczyty coraz wyższych domów z atrakcyjnymi na gniazda zakamarkami oraz wiele owadów. Jerzyk bez oporów zasiedlił takie miejsce.

Nie ma bardziej wdzięcznego lotnika. Podobno jerzyk w trwającym do 18 lat życiu ośmiokrotnie pokonuje dystans równy odległości Ziemi od Księżyca! Mówi się, że młody jerzyk może latać bez odpoczynku dwa do trzech lat i nawet śpi w locie!

Żeby zobaczyć jerzyka, wystarczy od początku maja do połowy

sierpnia wychylić się przez okno w jakimkolwiek mieście czy miasteczku. Rano człowiek patrzy w niebo i widzi, jak po nim śmigają jerzyki. Po ciemniejącym wieczornym niebie szybko poruszają się czarne punkty – jerzyki. Nic dziwnego, są to w końcu ptaki najwięcej ze wszystkich gatunków przebywające w powietrzu.

Lubię też jerzyki za ciepło i dobrą pogodę. Za ciepło, bo kiedy pojawiają się u nas, można z głębi szafy wyciągać koszulki z krótkimi rękawami i krótkie spodnie. Za pogodę, bo ptaki te mają w sobie jakiś barometr, który każe im się oddalać od wielkich deszczów i burz.

Wystarczy przyrzeć się jego aerodynamicznej sylwetce i długim, sierpowatym skrzydłom, by się przekonać, że to urodzony lotnik. Osiąga mistrzowskie szybkości: przy chwytaniu pokarmu nawet 200 km na godzinę! Prześcignąć go mogą tylko będące w locie ślizgowym kobuz i sokół wędrowny. Ten drobny ptaszek pokonuje wiele tysięcy kilometrów w jedną stronę, aby w jedynym lęgu w maju czy czerwcu złożyć dwa-trzy jaja, a po ich wysiedzeniu i odchowaniu piskląt wrócić na zimowiska. W razie ochłodzenia rodzice wycofują się na południe, a pisklęta zapadają w rodzaj śpiączki (obniża im się wówczas temperatura ciała, zwalnia praca serca), która może trwać nawet dziewięć dni. W tym czasie rodzicom zdarza się żerować w odległości 2 tys. km od gniazda!

Życie jerzyków nie jest jednak idyllą. Stosunkowo liczna do tej pory populacja stoi w obliczu zagrożenia, jakim jest powszechne ocieplanie budynków oraz niwelowanie szczelin i wgłębień w murach. Zdesperowane ptaki zakładają gniazda w gorszych miejscach, gdzie lęgi narażone są na plądrowanie ze strony krukowatych bądź na wypadanie piskląt z gniazd.

Jerzyk karmiący swoje pisklęta chwytą wiele tysięcy owadów i planktonu powietrznego.

Zadziwia mnie, że tak bezwzględnie nie postępujemy z naszymi największymi naturalnymi sojusznikami w zwalczaniu owadów. Jerzyk karmiący swoje pisklęta chwytą wiele tysięcy owadów i planktonu powietrznego. Dla siebie też musi chwycić kolejne tysiące. Czy tak postępuje się ze sprzymierzeńcami, którzy z całych sił umilają nam życie? Cieszy mnie, że nasze sądy w końcu zaczynają wydawać wyroki skazujące tych, którzy dopuszczają się zamurowania żywcem ptaków lub niszczenia lęgów. Kary nie są co prawda wysokie, jednak ich zadaniem jest odstraszenie ewentualnych następców. Martwi natomiast, że spółdzielnie mieszkaniowe nie umieszczają obok miejsc, w których ptaki te mają gniazda, skrzynek lęgowych.

Gdyby ktoś był świadkiem zamurowania jerzyków albo widział niespokojne ptaki bezskutecznie próbujące dostać się do piskląt, niech zacznie działać. Pomoc nie będzie spóźniona, młody jerzyk w stanie odrętwienia przetrwa wiele dni. Plan działania jest prosty.

Po pierwsze, powiadamy policję, której obowiązkiem jest wstrzymanie prac i wylegitymowanie wykonawcy remontu. Wykonawca powinien mieć pisemne zezwolenie, wydane przez Regionalną Dyрекcję Ochrony Środowiska (możemy być pewni, że nie będzie go miał). Bez tego dokumentu prace nie mogą być kontynuowane.

Po drugie, powiadamy Regionalną Dyрекcję Ochrony Środowiska. Najlepiej, bo najszybciej, zrobić to telefonicznie.

Po trzecie, jeśli wejścia do czynnych gniazd zostały zamurowane lub czymkolwiek zastąpione, należy zażądać od policji wezwania straży pożarnej, by ta z kolei otworzyła wejścia dla ptaków.

Wiąże się z tym trochę nerwów, ale prawo jest po naszej stronie. I po stronie jerzyków!

Na szczęście trafiają się też diametralnie odmienne postawy. Państwo młodzi, Kasper i Katarzyna, zażyczyli sobie od gości zamiast tradycyjnych kwiatów pieniędzy, które przeznaczyli na skrzynki lęgowe dla jerzyków. Pomysł Kasi i Kaspra jest godny nagłaśniania i naśladowania.

Jerzykowi, o którym opowiem na koniec, dopisało szczęście. Tego dnia byłem po nocnej zmianie, w dzień nie spałem. Moja żona również czu-



Mały jerzyk w Ośrodku Rehabilitacji Ptaków „Włochatka” w Chorzowie.

ła się zmęczona. Nie powiem, żebyśmy byli zachwyceni telefonem od jej bratanka, oznajmiającego, że na rynku jest jerzyk „z chyba złamanym skrzydłem”. Wstaliśmy jednak od razu. Bratanka i ptaka nie mogliśmy przecież zostawić samych.

Podobno jerzyk w trwającym do 18 lat życiu ośmiokrotnie pokonuje dystans równy odległości Ziemi od Księżyca.

Ptak przemieszczał się po rynku, podpierając skrzydłami. Dostało mi to otuchy. Jest nadzieja! Bo gdyby skrzydło miał złamane, tkwiłby w miejscu. Na nasze i swoje szczęście nie stawiał oporu przy łapaniu i po chwili wylądował w zdobytym po drodze kartoniku. Wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do stacji badawczej Uniwersytetu Przy-

rodniczego w Poznaniu, nazywanej u nas potocznie Wilkami (rzeczywiście trzymano w niej wilki). Kasia w tym czasie zadzwoniła do Jacka Więckowskiego, który uratował niejednego ptaka. Żaden z telefonów nie został odebrany. Wybrałem numer do naszej znajomej weterynarz, pani Karoliny. Także jej telefon milczał. Dopiero wtedy mocno przejąłem się jerzykiem. Był taki lekki, kruchy. Pojechaliśmy do pani Karoliny do domu. I znowu pech, nie zastaliśmy jej. Pojechaliśmy do gabinetu, a pech z nami. Pojechaliśmy więc do Jacka i do jego Wilków. Zrobiło się dramatycznie: na dzwonek do drzwi nikt nie zareagował.

Nie znam się na jerzykach. Nie wiedziałem, co robić. Pomyślałem, że może ptakowi potrzebny jest tylko podrzut i zrobi bzuuuuu! A może

osłabł i trzeba go nakarmić? Tyle że poza twarogiem nie kupiłbym o tej porze w Obrzycku już nic.

Poszedłem do sąsiada Wilków, przedstawiłem sprawę jerzyka, zapytałem o Jacka. W końcu opuścił nas pech. Sąsiad zadeklarował, że odbierze ptaka i przekaże jerzyka. Po chwili oddzwonił Jacek. Opowiedziałem, co się stało. Pojechaliśmy. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że nasz jerzyk nie miał poważniejszych obrażeń, był po prostu wycieńczony. Na stacji został intensywnie dokarmiony i niebawem wrócił na obrzyckie niebo!

Fragmenty książki
Marka Pióro
*Plamka mazurka. Jak ptaki
odmieniły moje życie,*
Marginesy,
Warszawa 2019



Szuter i wełniana czapka

Na Wyspach Owczych nie ma stadionowych burd. To tylko futbol.
Gdy kończy się spotkanie, dziękujemy sobie za mecz

Maciej Brencz

Jeszcze w 1985 r. ligowe mecze piłkarskie na Wyspach Owczych rozgrywano na zwirowych boiskach. Po latach legendarny bramkarz farerskiej reprezentacji Jens Martin Knudsen wspominał:

– Obserwowałem grę Sofusa Hansena w jego wyblakłych niebieskich dżinsach, gdy bronił bramki NSÍ na sztutowym boisku w Løkin [Runavík]. Gdy mecz zbliżał się ku końcowi, jego spodnie były niemal do niego przyklejone. Nogi krwawiły mu aż tak mocno...

Pierwszy farerski klub piłkarski Tvøroyrar Bóltfelag założono w 1892 r. Małą atlantycką nację przyjęto w poczet członków FIFA w 1988 r., a UEFA dwa lata później. Świat dowiedział się o niej już po ich pierwszym meczu o punkty. W eliminacjach do mistrzostw Europy, nie mając jeszcze boiska spełniającego międzynarodowe wymogi, jako nominalni gospodarze grali na stadionie w szwedzkiej Landskrone.

W 1990 r. naprzeciw siebie stanęły gwiazdy austriackiej piłki i pasjonaci futbolu z Wysp Owczych. Napastnik gości Toni Polster skromnie napomknął w przedmeczowym wywiadzie dla farerskiego radia: „Wygramy dziesięć do zera”. Wraz z kolegami na dwa dni przed spotkaniem wybrał się do kopenhaskiego Tivoli i obejrzał mecz Danii z Walią. Austriacy piłkarze może nawet żartowali sobie, że niebawem obok nich po boisku biegać będą rybacy i rolnicy w rozciągniętych wełnianych swetrach i kaloszach z Bóg Jeden Wie, Gdzie Są Te Cafe Wyspy Owcze. Zwycięstwo było dla nich czymś tak pewnym, że nie przeprowadzili nawet przedmeczowego treningu na szwedzkim stadionie.

Dla Farerów spotkanie to miało diametralnie inny wymiar. Nie było koniecznością wynikającą z systemu eliminacji. Było sprawdzianem, czy amatorska kadra gotowa jest na starcie z profesjonalistami. Do historii przeszły motywacyjne słowa islandzkiego trenera Farerczyków, Pállo Guðlaugssona:

– Przywiązanie do miejsca daje nam poczucie bezpieczeństwa. Wasz rodzinny dom jest fundamentem, na którym budujecie swoje życie. Gdzie żyją ukochani – rodzina, przyjaciele. Dzisiaj reprezentujecie wasze korzenie, wasz rodzinny dom, farerski naród. Gracie dla ludzi, którzy zbudowali Wyspy Owcze. Reprezentujecie strwożonych Farerów, którzy siedzą niespokojni przed swoimi

szej fladze. Zabierzcie ją ze sobą na boisko. Ruszcie do boju przeciwko tym aroganckim Austriakom w jednym celu – aby wygrać dla Wysp Owczych. Wiem, że jesteście w stanie to zrobić lepiej niż ktokolwiek inny. Macie okazję, której nie możecie zaprzepaścić.

W farerskiej szatni przez kilka chwil panowała absolutna cisza. Za kilka minut do boju z aroganckimi Austriakami mieli stanąć amatorzy z Wysp Owczych. Wynik 0:5 uznają za najlepszy z możliwych. Dawid kontra Goliat.

**Gracie dla Wysp Owczych.
To zaszczyt, nie obowiązek!**



Farerowie podzieli mecz na pięciominutowe interwały. Te drobne kroki ku ostatniej minucie miały pomóc im psychicznie w ciągłym odpieraniu spodziewanej nawałnicy Austriaków. Tego wieczoru bramki jak natchniony strzegł kierowca wózka widłowego, szalejący na pół etatu na terenie przetwórci ryb w Fuglafjørður. Komentator BBC w trakcie meczu namawiał sir Alexa Fergusona do ściągnięcia go na Old Trafford (z duńskiego Brøndby trafił tam jednak Peter Schmeichel). Drugim narodowym bohaterem został strzelec jedynej bramki – przedstawiciel handlowy firmy z branży budowlanej.

– Żartowali sobie z waszych wełnianych swetrów. A niech dalej sobie żartują – powiedział zawodnikom po meczu szczęśliwy Páll Guðlaugsson.

12 września 1990 r. świat obiegła sensacyjna sportowa wiadomość: Wyspy Owcze – Austria 1:0 w eliminacjach do mistrzostw Europy.

Torkil Nielsen, strzelec zwycięskiej bramki, zanim rozpoczął piłkarską karierę w reprezentacji, został

telewizorami, czekając na upokorzenie. Reprezentujecie Farerów, którzy siedzą na trybunach stadionu, pełni nadziei i wsparcia. Gracie dla Wysp Owczych. To zaszczyt, nie obowiązek! Nie macie takich piłkarskich umiejętności jak oni. Nie jesteście na boisku tak sprytni jak oni. Nie uznają was za poważną drużynę. Nikt was za taką nie uznaje. Pomyślcie o domu. Pomyślcie o farerskiej fladze, wa-



Stadion narodowy Tórsvöllur. Czwarta trybuna jeszcze w budowie.



Okolice stadionu w Nes. To tu kryją się wszystkie niestrzelone bramki.



Stare boisko w Sumbie, obecnie tor treningowy do dryftu.

trzykrotnie szachowym mistrzem swojej małej ojczyzny. Obaj jego synowie poszli w ślady ojca – grają w piłkę, zapowiadają się także na świetnych szachistów.

Trener piłki nożnej, mistrz kraju w gimnastyce, piłkarz ręczny, kierowca wózka widłowego, człowiek kojarzony przez wielu jedynie dzięki czapce z pomponem. Tamtego wieczoru bramkarz piłkarskiej reprezentacji Wysp Owczych. Jens Martin Knudsen. Tak wspomina zwycięstwo nad Austriakami sprzed lat:

– Kiedyś trenowałem przez tydzień z drużyną Arsenalu. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Z powodu lekkiego wiatru i drobnego śniegu odwołano trening. Na Wyspach uznajemy takie warunki za dobrą pogodę – zakładamy szorty i trenujemy. To oczywiście wpływa na to, jak gramy – jesteśmy twardzi i nieustępliwi. Dlatego tak dobrze radziłem sobie w Landskronie, mimo tego że jesteśmy małą nacją. Ukształtowała nas natura, zaszczerpiła nas napędzając nas zaciekość. Jak inaczej moglibyśmy grać przeciwko nacji, które mają nawet 2 mln zarejestrowanych piłkarzy? Na Wyspach jest ich zaledwie 1,5 tys. Wierzymy w naszą siłę. To dzięki niej przetrwaliśmy tutaj kolejne stulecia.

Za pamiętny zwycięski mecz każdy z reprezentantów Wysp Owczych otrzymał po 3 tys. koron. Dla Knudseny stanowiło to raczej słabą rekompensatę za opuszczony dzień pracy w przetwórni ryb, w której zarabiał wówczas 15 tys. koron miesięcznie. Ale nie o tym chyba myślał, stojąc w Landskronie między słupkami naprzeciw nacierającym bez wytchnienia Austriaków.

– Tak, gra jest niekiedy całkiem zabawna. Kiedy stoisz w bramce, czasem przez mgłę nie jesteś w stanie dostrzec tej po drugiej stronie boiska. Ale nie przeszkadza nam to w rozegraniu meczu. Bierzymy wtedy żółtą piłkę – opowiada w filmie dokumentalnym „Okkara – People in the Faroe Islands” Einar Tróndarbjógv, obrońca NSÍ Runavík.

Obecna nowoczesna infrastruktura pozwoliła wykształcić kadrę, która w eliminacjach do Mistrzostw Europy 2016 pokonała Greków. I to dwukrotnie. Jej kapitan, zamiast po zgrupowaniu reprezentacji wracać do swojego klubu na kolejny trening, ▶



Boisko w Husavík.

► przywdział roboczy strój i wrócił na budowę, gdzie pracuje na co dzień. Fróði Benjaminsen, zapytany przez reportera farerskiej telewizji KVF o to, jak się czuje, wracając do pracy po prawdopodobnie największym w historii sukcesie reprezentacji, odpowiedział:

– Jest naprawdę miło. Wszyscy składają gratulacje. A nie zawsze tak jest, głównie słyszy się ironiczne docinki. Teraz jest wyłącznie pozytywnie.

Materiał podsumowuje zdanie: „Życie profesjonalnego piłkarza i amatora futbolu różni się diametralnie, ale niekiedy na boisku nie widać tej różnicy”.

Przeglądając doniesienia na sportowym portalu roysni.fo, trafiam na fotoreportaż z meczu ligowego HB Tórshavn – NSÍ Runavík. Na jednym ze zdjęć w tłumie kibiców poczynania gospodarzy oklaskuje Poul Michelsen – farerski minister handlu i spraw zagranicznych. Obecny przewodniczący separatystycznej i eurosceptycznej partii Framsókn (pol. Postęp) był wcześniej przez 12 kolejnych lat farerskim mistrzem w badmintonie, wygrał piłkarską ligę w barwach HB Tórshavn (strzelił w Klaksvík obie bramki w decydującym o tytule spotkaniu), a także okazał się najlepszy w mistrzostwach tenisa stołowego.

Analizuję biogramy kolejnych farerskich polityków. Kaj Leo Johannesen, były premier – bramkarz HB Tórshavn, w którego barwach przez 20 lat rozegrał blisko 300 spotkań. Otarł się także o narodową kadrę, wtedy jednak pozycja Jensa Martina Knudsen a była niezagrożona. Jego następcą, Aksel Vilhelms-

son Johannesen, był wcześniej napastnikiem KÍ Klaksvík, w którym w 38 spotkaniach zdobył trzy bramki. Unionista Bárður á Steig Nielsen, były minister finansów, strzegł niegdyś bramki szczypiornistów z VíF Vestmanna. Annika Olsen, zanim została panią burmistrz Tórshavn, występowała w kadrze pływackiej. Piastujący stanowisko marszałka farerskiego parlamentu Páll á Reynatúgvu w kwietniu 2018 r. zastąpił

Tego wieczoru bramki jak natchniony strzegł kierowca wózka widłowego, szalejący na pół etatu w przetwórni ryb.

prośbą skierowaną kilkakrotnie do niespokojnych postów w trakcie długiej sesji nocnych głosowań: „Siedźcie na swoich tyłkach”. Wcześniej na pozycji pomocnika bronił barw B71 Sandoy. W 230 spotkaniach strzelił 55 bramek.

– Na Wyspach nie ma czegoś takiego jak stadionowe burdy i zorganizowane bijatyki między grupami kibiców. To tylko futbol. Gdy kończy się spotkanie, dziękujemy sobie za mecz – podkreśla w rozmowie ze mną Pól Arni, miłośnik piłki nożnej, zadeklarowany kibic Liverpoolu i wielki fan Mohameda Salaha. – Gdy byłem młodszy, na Suðuroy mieliśmy cztery kluby piłkarskie. Ale to mecze TB Tvøroyri z VB Vágur były najbardziej zacięte. To dwa największe miasteczka na wyspie, które zawsze między sobą rywalizowały. Dawniej futbolowe starcia często przenosiły się z boiska do pubów. Wystarczyło, że po kilku piwach padło jedno słowo za dużo. Pamiętam, że strasznie bawiły mnie te bijatyki w knajpach.

Dwóch kibiców potrafiło ruszyć na siebie z pięściami. Walka kończyła się, gdy jeden z nich padł na deski. Gdy było już po wszystkim, pili razem piwo i rozmawiali jak starzy przyjaciele.

W sezonie 2018/2019 Jóan Símun Edmundsson został zawodnikiem Arminii Bielefeld. Jego bramka strzelona w debiucie była pierwszą w profesjonalnym niemieckim futbolu zdobytą przez farerskiego zawodnika.

Po słynnym meczu z Austrią doszło na Wyspach Owczych do kuriozalnej i bezprecedensowej sytuacji. Spotkanie farerskiej ligi między Sørvgur a NSÍ oglądało w roku 1991 więcej obcokrajowców niż ludzi z Vágur i przyjezdnych z Eysturoy. Ciekawscy turyści i dziennikarze pragnęli tylko jednego – zrobienia zdjęcia słynnej czapki. A tak naprawdę zwykłej wełnianej narciarskiej czapki Adidasa, z niebieskimi literami zaklejonymi taśmą. Knudsen kupił ją w roku 1981, po tym gdy w meczu juniorów po zderzeniu z innym zawodnikiem stracił przytomność i musiał zostać przetransportowany do szpitala. Aby zadowolić swoją matkę

i lekarza (który nalegał, by młody Jens Martin uprawiał futbol w kasku), zaczął grać w czapce. Po kilku latach uznał ją za swój talizman boiskowego szczęścia i przywdziewał przed każdym meczem. Nie spodziewał się jednak, że niespełna dekadę później czapeczka będzie w oczach świata określać całą jego długą i bogatą karierę. Ba, niektórzy – tak jak Thierry Henry – tylko z nią kojarzyć będą farerski futbol.

Charakterystyczna czapeczka z pomponem i logo Adidasa, w której przez lata grał Knudsen, wzbogaciła w 2017 r. zbiory muzeum FIFA w Zurychu.

Reportaż z książki
Macieja Brenca
Farerskie kadry.
Wyspy, gdzie owce
mówią dobranoc,
Wydawnictwo
Poznańskie, Poznań 2019



Duda negocjator

Po wszystkich głupotach, które opowiadano po wizycie prezydenta Dudy w USA, warto wyjaśnić pewne rzeczy.

Zacznijmy od spraw wojskowych. Otóż media rządowe aż zachłystują się, opisując, ilu to amerykańskich żołnierzy zostanie sprowadzonych do Polski i jak się wzmocni dzięki temu rola Polski.

W rzeczywistości sprawa wygląda trochę inaczej.

Przede wszystkim przypomnijmy, o co zabiegał rząd PiS. Otóż chciał on, by w Polsce stacjonowała amerykańska dywizja pancerna, czyli 10 tys. lub więcej żołnierzy. Miała to być stała baza, czyli żołnierze plus ich rodziny i cała infrastruktura, zlokalizowana w pobliżu Bydgoszczy i Torunia. Baza miała się nazywać, jak proponował prezydent Duda, Fort Trump.

Tymczasem okazało się, że Ameryka ten plan odrzuciła, że żadna stała baza USA nie jest przedmiotem rozważań. Że Amerykanie mogą skierować do Polski dodatkowo około tysiąca żołnierzy, czyli mniej więcej batalion, a nie dywizję. I ten batalion też ma być rotacyjny, czyli przemieszczać się będzie do Polski i z Polski. Podobnie jak 4,5 tys. amerykańskich żołnierzy, którzy już jeżdżą po naszych drogach.

Owszem, obok tego dodatkowego tysiąca żołnierzy rozszerzony został pakiet wojskowej współpracy polsko-amerykańskiej. Obejmuje on również eskadrę dronów rozpoznawczych Reaper, centrum szkoleniowe i pewne ulepszenia logistyczne, ale na tym koniec.

Amerykanie nie zdecydowali się na przekroczenie linii, którą wyznaczył traktat Rosja-NATO z roku 1997. Zakładał on, że na terytorium Polski i innych nowych państw NATO

w Europie Środkowej nie będą mieć stałych baz znaczące siły USA. I Waszyngton tych zapisów się trzyma. Widocznie są ku temu jakieś powody, ważniejsze niż Krym.

Jeśli więc chodzi o nasz region – Ameryka prowadzi tu swoją politykę i nie zamierza ulegać jakimkolwiek naciskom. Wyraźnie widać, że nie chce zaogniać stosunków z Moskwą.

Kolejna sprawa to wizy. Prezydent Trump obiecał, że Ameryka zniesie wizy dla Polaków, i to być może już w ciągu 90 dni. Piękne słowa, chociaż radość mieszkańców Podhala i Podlasia może być przedwczesna.

Otóż obietnica prezydenta oznacza, że Ameryka może zawiesić wizy dla Polaków w ramach projektu Visa Waiver Program. Ale podróże bez wizy będą dotyczyć tylko pobytów do 90 dni. Na dłuższe wiza będzie jak najbardziej potrzebna. Ponadto VWP nie oznacza, że Polacy będą mogli wjeżdżać do USA, kiedy będą chcieli. Bo wiza jest tylko promesą wpuszczenia, a o tym, czy ktoś wjedzie do USA, czy nie, decyduje (i decydować będzie) urzędnik US Customs and Border Protection (Służby Celnej i Ochrony Granic Stanów Zjednoczonych). A od jego decyzji nie ma odwołania.

I ostatnia rzecz – gaz skroplony. Mamy go kupować w USA. Tylko że jego cena w Świnoujściu będzie o 50% wyższa niż cena gazu europejskiego (ze względu na koszty transportu i regazyfikacji). Oczywiście dla PiS to nie ma znaczenia. Jego politycy wołają: Bezpieczeństwo nie ma ceny! Zapytajmy więc: A bezpieczeństwo ekonomiczne? Takie, że polskie firmy nie muszą płacić o 50% więcej?

O tym Duda nie myślał...

Attaché



Wystawa poświęcona historii surfingu, zatytułowana „Surfowanie po surfingu”, w Musée d'Aquitaine w Bordeaux.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- wiele ich w sklepie z rybkami
- materiał rzeźbiarski i dekoracyjny
- sposób na tworzenie pseudonimów pisarzy
- szczyt rozkwitu
- na niej walczyli gladiatorzy
- wielka flota wojenna

- magistrala komunikacyjna
- niewierzący
- wyspa między Jawą a Lombok
- słynna amerykańska lalka
- fortuna, majątność, obfitość
- gajowy albo demon lasu

- dodatkowa praca jedynie dla zarobku
- wdzięk, urok
- bies, diabeł
- nie tak elegancki jak pióro
- bezzwrotna pomoc finansowa ze środków publicznych
- pod twardą powłoką mają słodką masę
- szybki bieg, szybkie zmiany, gonitwa myśli
- do zagotowania wody w szklance
- japońskie bukietarstwo
- wwóz towarów do kraju
- muzyka Branforda Marsalisa
- wśród ewangeliczek

- wzmocnia cios pięścią
- Václav, poprzednik Miloša Zemana
- ziemniaczane, nadziewane śliwkami
- herb Rocha Kowalskiego
- zastój, zubożnienie
- pożądane jak najwyższe na liście wyborczej
- oficjalne upomnienie
- czasem wieje nią z ekranu
- zasiadają na Wiejskiej lub w Brukseli
- podawane w pokalu
- jak ją sobie rozłożysz, tak się wypiszesz
- zasób drzemliących możliwości
- łowiony tęczyowy lub potokowy
- grządką cała w kwiatkach
- „plecy” orla
- przetapiana w hucie

- na złotym przemierzał niebo Helios
- bywa zakończona gargulcem
- kabaretowa to skecz
- na bungee – dla odważnych
- papuguje tych, którzy mu imponują
- grzejna lub figura akrobacji lotniczej
- płynność i potoczność w mówieniu, pisaniu
- mały, szybki okręt wojenny
- gody mleczaka i ikrzycy
- Wilhelm z kuszą
- android z filmu Jamesa Camerona
- sztuczne złoto
- herbata z pięcioma łyżeczkami cukru
- ciśnień albo widokowa
- glistnik jaskółcze...
- firanka nimi przypięta

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-914”. Do rozlosowania książki „Pieniądze mojej pani” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązanie wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 czerwca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-911” z 9 czerwca: *Młodość często szumi.*
Nagrody otrzymują: Ewa Cichońska z Pyskowic, Alina Tatar z Cieszyzna, Bogumiła Wasilewska z Bonina.

PENETRACJE

POLITYKA

DANIEL PASSENT,
KOMENTATOR

Róbmy swoje. Nawet jeżeli przeagramy, to liczy się każdy punkt. W tym kraju i z tymi wyborcami będziemy żyć. (Jeżeli Opatrzność pozwoli...). Mamy prezydenta, który na Westerplatte demonstracyjnie odwracał się tyłem do polskiej premier, premiera, który sądzi, że wyborca nie potrafi dodać majątku męża i żony, specjalistę od boksu, który jako dyrektor muzeum w Gdańsku nie pozwala śpiewać piosenki „Ciemna noc”. Faktycznie, ciemna.

RES HUMANA

DR ADAM BODNAR,
RZECZNIK PRAW
OBYWATELSKICH

Bronięm i będę bronił niezależności sądów. Będę to czynił niezależnie od mojej oceny, że nie wszystko w tych sądach dobrze działa. Natomiast uważam, że moja rola polega też na tym, aby przybliżyć sądy obywatelom, walczyć o ich dostępność. Dlatego zawsze dużą część swoich wystąpień poświęcam podkreślaniu wartości komunikacji. Mówię: „Drogie Sądy, musicie wytłumaczyć obywatelom, po co jesteście”. I wiem, że w tej mierze dokonują się dobre zmiany.

POLSKA

PAWEŁ WOJTUNIK,
BYŁY SZEF CBA

Z historią Falenty związane są wielkie emocje, z niemal bohatera

PiS stał się dla polityków tej partii kłamcą. Publikacja kolejnych nagrań była dopasowana do kalendarza politycznego i działało to na korzyść PiS. Nagrania mojej osoby zostały upublicznione tydzień przed II turą wyborów prezydenckich i mogły mieć negatywny wpływ na ich wynik, bo różnica między Dudą a Komorowskim była niewielka. Na początku nagrania upubliczniało „Wprost”, ale później regularnie robił to red. Gmyz. Gdzie pracuje red. Gmyz? I jakie redakcje opublikowały te nagrania później? Redakcje TVP czy TVP Info.

WO

SONIA BOHOSIEWICZ,
AKTORKA

Pijany mężczyzna to rozkoszny łobuziak, pijana kobieta to szmata. On jest uwodzicielem, ona dziwka. Jeśli dojrzała kobieta zwiąże się z młodym chłopakiem i uczyni go prezesem jednej ze swoich spółek, mówimy: „Co za rozpustna zdzira i biedny, wykorzystany chłopiec”. Ale kiedy biznesmen bierze sobie dziewczynę, chodzi z nią do łóżka, a potem daje jej firmę w prezencie, to on jest fajny, wspierający. A ona jest zdzirą, która go wykorzystwała. Co gorsza, tak to postrzegają nie tylko mężczyźni, ale też kobiety. Zmiany w myśleniu potrzebujemy wszyscy.

Aby język giętki...

PROF. TADEUSZ BARTOŚ
O ABP. MARKU JĘDRASZEWSKIM

Postać odpychająca swoimi manierami, mentalnością, sposobem tego, co i jak mówi. Taki tępy satrapa niskich lotów.

GRZEGORZ SCHETYNA O DONALDZIE TUSKU

Jest liderem tworzącym politykę jednoosobowo. Ja wolę pracować zespołowo.

BARBARA LABUDA O PODRĘCZNIKACH

Włożyłyśmy jako kobiety wielki wysiłek w emancypację, a teraz jesteśmy z tej historii wykasowane.

LUDWIK DORN
O KRZYSZTOFIE SZCZERSKIM

Stał się stuprocentowym oportunistą. Powie wszystko, co każą.

GRAŻYNA TORBICKA O KOBIECZOŚCI

Połączenie przeciwieństw. Połączenie wrażliwości z odpornością. Delikatności z twardością.

KASIA SOKOŁOWSKA O KOBIECZOŚCI

Jako „poważny reżyser” zakładałam spodnie i golf. Chciałam być bardziej męska od ekip technicznych, którymi zarządzałam.

ZBIGNIEW BONIEK O REPREZENTACJI

Nie ma nic gorszego niż cicha, pokorna szatnia, w której głos trenera odbija się od pustych ścian.

MAJA OSTASZEWSKA O MIĘSIE

Ja dzięki powodowanej etyką decyzji moich rodziców nie jem go całe życie.

EWA EWART O WSTAWIANIU

Zaczynam od pięciu rytuałów tybetańskich. Nic tak dobrze nie wpływa na samopoczucie jak ruch.

KAROL OKRASA O JAJKU NA MIĘKKO

Jajko należy wrzucić do gorącej wody na trzy, trzy i pół minuty w zależności od wielkości i tego, jaką ma temperaturę, jeśli było w lodówce.

DOROTA KOLAK O MELANCHOLII

Gadułą nie jestem. Mam problem ze zwierzeniami.

TOMASZ ORGANEK O DISCO POLO

Nie cierpię wszystkich discopolowców. Ich muzyka jest tak skrajnie nieestetyczna, że nie mogę sobie z tym poradzić.



Wykrywacz kłamstw na wystawie sprzętu informatycznego i technologii obronnych w Pekinie.

FOT. AFP/EAST NEWS

Hamburger? Dziękuję, postoję

Prof. Dipayan Biswas z Uniwersytetu Południowej Florydy udowodnił, że jedzenie na stojąco może wspomagać racjonalną dietę. Badacz zależności między zmysłem równowagi a zmysłem smaku odkrył, że stanie nawet przez kilka minut wycisza kubki smakowe. W efekcie niezdrowe pokarmy wydają się nie aż tak kuszące, a nawet nieprzyjemne w odbiorze, zdrowe zaś stają się smaczniejsze. Do tych wniosków doprowadziły naukowca eksperymenty, w ramach których siedzących i stojących ochotników karmiono m.in. chlebkami pita oraz ciastkami.

Gdzie baba nie może, tam diabła pośle?

Świątynia Szatana, oficjalny amerykański związek wyznaniowy, pozwała do sądu stan Missouri o obrazę uczuć religijnych swoich członków z powodu radykalnego zastrzeżenia przepisów antyaborcyjnych. Zdaniem wspólnoty, która promuje ateizm oraz wartości oświecenia, nowe regulacje są niezgodne z konstytucją, gdyż definiując początek życia zgodnie z przekonaniami chrześcijańskimi, faworyzują jedną z religii. Sataniści walczą także m.in. z rozdawaniem Biblii w szkołach poprzez kontrolportaż kolorowanek o diabolicznej tematyce. W ten sposób udało im się zastopować rozpowszechnianie Pisma Świętego w kilku placówkach oświatowych.

Pieczarki wyklęte

Mieszkańcy stołecznego Ursynowa stanowczo sprzeciwili się nadaniu ich ulicom nazw: Pieczarek, Olszówek i Huby. Na mapie dzielnicy można już znaleźć m.in. ulicę Maślaków oraz Rydzową, ale protestujący zwrócili uwagę, że istniejące skupisko grzybowych adresów jest oddalone od ich posesji o co najmniej 1 km. „Twierdzenie, że nazwy

Kobieta bez kokieterii to jak kwiat bez woni, twierdziła Gabriela Zapolska. Wyścigi konne Royal Ascot oraz Prix de Diane na torze w podparyskim Chantilly.

pospolitych, pasożytniczych i trujących grzybów nawiązują do nazw okolicznych ulic, jest więc pozbawione podstaw i nieuprawnione”, napisali w stanowisku. Tłumacząc, że planowane zmiany naruszają ich prawo do zamieszkiwania przy ulicach noszących godne nazwy. Ciekawe, czy truflom też by odmówili?



Reklamówki wstydu

Supermarket w Vancouver w nietypowy sposób wyrabia w swoich klientach proekologiczne nawyki. „Trudno jest czasem pamiętać o torbie wielokrotnego użytku. Przeprojektowaliśmy nasze jednorazowe torby tak, byście już nigdy nie zapomnieli”, tłumaczy ideę akcji East West Market. Z foliówek zniknęło logo sklepu, a zamiast niego pojawiły się fikcyjne znaki towarowe, mające wywoływać zakłopotanie korzystających z nich osób. Są to m.in. wypóżyczalnia z perwersyjnymi filmami dla dorosłych czy producent maści na kurzajki. W polskich realiach mogłyby to być nazwy największych partii politycznych.

Prasowanie giganta

Na firmę Nike spadła lawina internetowej krytyki za wygląd nowych butów sportowych dla kobiet. Zdaniem części potencjalnych użytkowniczek model Air Max FF 720, promowany m.in. przez angielską piłkarkę Fran Kirby, zbyt przypomina... żelazko. Obok zarzutów natury estetycznej pojawiły się zastrzeżenia nawiązujące do problemu stereotypowego postrzegania ról płciowych. Rzeczniczka feministycznej grupy Not Buying It (Nie Kupujemy Tego) sarkastycznie skomentowała, że firma „z pewnością szkuje identyczny model dla mężczyzn”. Dementujemy: z naszych informacji wynika, że nowe najki dla panów będą przypominały mopa.

MEMY BEZ ŚCIEMY





ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,

Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik

Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytór: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Natalia Czarnecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Pawłowie byliby dumny

Pawłowie to nowy gadżet dla uskarżających się na brak wystarczająco silnej woli. Bransoletka sterowana za pomocy aplikacji na smartfon razi użytkownika prądem o napięciu nawet do 350 V za każdym razem, gdy nie wytrwa w powziętym postanowieniu, np. dotyczącym czasu spędzanego przed komputerem lub liczby pochłanianych kalorii. Sprzęt tępiący złe nawyki kosztuje 199 dol., a jedno naładowanie podobno starcza na 150 kopnięć.

Siad, waruj i kupuj

W sklepie internetowym brazylijskiej sieci Petz psy mogą (prawie) samodzielnie robić zakupy. Wystarczy skierować kamerę internetową na pysk zwierzęcia, a sztuczna inteligencja rozpozna, które produkty wywołują u niego największe zainteresowanie – i automatycznie doda je do koszyka. Właścicielowi pozostaje wówczas jedynie potwierdzić wybór pupila i oczywiście zapłacić.





Tomasz Wiater



PATRONAT PRZEGLĄDU

Nowe wystawy w warszawskim Muzeum Karykatury

„Kolorowe odcienie szarości” to wystawa indywidualna Macieja Trzepakki, autora rysunków, ilustracji książkowych, felietonów rysunkowych i komiksów. Tytułowe odcienie nawiązują do różnorodności tematycznej prac i wywoływanych przez nie odczuć. „Bronią w rękach” bohaterów Trzepakki jest zresztą humor o „czasem prawie czarnej barwie”, jak wyjaśnia kurator Elżbieta Laskowska.

Z kolei wystawa „Wiater w oczy” jest przeznaczona tylko dla widzów dorosłych. Zgromadzono na niej oryginalne obiekty Tomasza Wiatera wybrane z jego kolekcji oraz rysunki i przygotowane specjalnie na tę okazję formy rzeźbiarskie ze zbiorów Muzeum Karykatury. W sumie ok. 300 prac. Formy rzeźbiarskie można nie tylko oglądać, lecz także ich dotknąć. Zwiedzający mogą też zrobić sobie zdjęcie z Pałacem Prezydenckim w tle.

**Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Kozia 11
do 1 września**



Maciej Trzepakka



25 Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

www.jazznastarowce.pl

Rynek Starego Miasta,
Warszawa
soboty, godz. 19⁰⁰

Wstęp wolny

6 lipca

Enrico Rava Special Edition

13 lipca

Simsa Fünf Quintet

20 lipca

China Moses Group

27 lipca

Ashley Henry Quartet

3 sierpnia

Gary Guthman Quartet & Sasha Strunin „Białoszewski Autoportrety”
Wojtek Mazolewski Quintet „Komeda”

10 sierpnia

Adam Bałdych Quartet „Sacrum Profanum”

17 sierpnia

Terje Rypdal Group

24 sierpnia

Aga Zaryan Quartet „High & Low”

31 sierpnia

Courtney Pine Band „House of Legends”

Patronat Honorowy:
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Prezydent m. st. Warszawy
Marszałek Województwa Mazowieckiego

Dyrektor generalny:
Krzysztof Wojciechowski

Organizator

Partnerzy

Partnerzy

Partnerzy

JAZZ ART
FUNDACJA



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



• TEATR CAPITOL •

orzeźwiające drinki • klimatyzowane sale

Capitalne lato z Gwiazdami!



GRAMY PRZECZ CAŁE WAKACJE



O co biega?



Kiedy kota nie ma...



ALBI
od ZARAZ



**WYKRYWACZ
KLAMSTW**



Dwie PARY do PARY



**DAJCIE MI
TENORA!**
KEN LUDWIG

• KUP



• www.teatrcapitol.pl

